



Sabina Waszut

Zielony
byfyj

S a b i n a W a s z u t

Zielony
byfyj



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Oliwia
Czerwiec 2006

Klucz zgrzyta w zamku. Zapadki się unoszą. Setny, tysięczny raz. Dbano o ten zamek, oliwiono, dogładano. Wiem, że się nie zatnie, że pozwoli mi wejść.

Nie wiem tylko, czy tego chcę.

Przyglądam się drzwiom. Farba łuszczy się tuż przy framudze, pod brązową jest biała, pod nią czerwona. Kolorowe plamy.

Dziadek wstawił te drzwi, gdy wrócił z wojny. Poprzednie rozwalili Mongołowie w styczniu 1945 roku. Tak wchodzili tu wyzwalać. Potem przez wiele lat otwierali i zamykali te drzwi inni ludzie. Obcy. Wchodzili i wychodzili. Odnajdywali za nimi bezpieczeństwo domu.

Znów dotykam klamki. Chłodny metal mógłby opowiedzieć wiele historii. Jedna z nich właśnie się zakończyła. Popycham drzwi, choć boję się pustki za nimi.

Piotruś nie wie, że tu dziś przyszłam. Byłby na mnie zły. Martwi się i nie mam mu tego za złe. Musi zrozumieć, że nie mogłam inaczej.

Może powinnam zabrać tu mamę, może we dwie byłoby nam różnie? Może. Nie mam jednak odwagi pokazać jej mojego smutku, sama ma go teraz aż nadto. Swój przeżyję bez świadków. Tutaj, w mieszkaniu babci Zosi.

Drewniana podłoga skrzypi. Próbuje stąpać jak najostrożniej. Nie chcę zakłócać spokoju, choć przecież nikt tu już nie odpoczywa, nikt nie śpi na wersalce ustawionej pod ścianą.

Uchyłam okno. Czerwiec jest upalny. Zerkam na plac pomiędzy domami, wydaje się wyjątkowo spokojny. Dochodzi południe, dzieci są jeszcze w szkole. Pewnie walczą o oceny na świadectwie. Dorośli siedzą w pracy. A starzy, tych przecież mieszka tu teraz najwięcej, pochowani przed słońcem w swoich izbach, odpoczywają, gotują, rozmawiają. Żyją.

Zagryzam wargi. Ociężałam siadam na krześle odsuniętym od stołu. Zasłaniam dłońmi twarz. Próbuje się uspokoić, wiem, że silne emocje są w moim stanie niewskazane.

Nie można powiedzieć, że się tego nie spodziewaliśmy, że to, co się stało tydzień temu, było dla nas szokiem.

Babcia Zosia chorowała od kilku miesięcy. Choć właściwie nie było to żadne konkretne schorzenie. Po prostu tuż po swoich osiemdziesiątych czwartych urodzinach zaczęła słabnąć. Coraz rzadziej wychodziła z mieszkania, z coraz większym wysiłkiem pokonywała schody. Upuszczała szklanki z herbatą. Nie potrafiła przygotować dla siebie najprostszego posiłku. Była wściekła na to niedołęstwo. Nie przywykła do bycia obsługiwaną.

Oczywiście mama zabrała ją do lekarza, ale przepisał jedynie leki na wzmocnienie i pożegnał słowami, że wiek ma swoje prawa i nic nie uchroni nas przed starością.

A potem, pierwszej czerwcowej niedzieli, babcia Zosia ucięła sobie drzemkę zaraz po obiedzie i już się z niej nie obudziła.

To jest dobra śmierć, mówił ksiądz. Przynajmniej sobie jeszcze porządnie podjadła,

pocieszali nas sąsiedzi.

Pewnie mieli rację, pewnie rację ma też wuj Antoni, najmłodszy brat babci, który przyjechał na pogrzeb z Niemiec. Na stypie cały czas mi tłumaczył, że babcia zmarła, aby ten mały ktoś, kto rośnie we mnie już od sześciu miesięcy, mógł szczęśliwie przyjść na świat. Mówił, że taka jest kolej rzeczy, starzy ustępują miejsca młodszym, odchodzą, aby nowe życie mogło się rozpocząć. I choć tak trudno to sobie wytłumaczyć, choć to zupełnie nieracjonalne, uwierzyłam mu, mimo że bardzo chciałam, aby moja babcia zobaczyła jeszcze prawnuka, aby się siebie doczekali.

Stypa nie była smutna, tak to bywa, gdy na starego człowieka sphywa dobra śmierć. Była natomiast pełna wspomnień i opowieści. Ciocia Helenka i wuj Antoni, dwoje z czworga rodzeństwa, przypominali sobie dzieciństwo, młodość, a potem wojnę i to, co przyszło po niej. Kalka minionego czasu łagodzi nawet najtrudniejsze chwile. Nadaje im miękkości, łagodności. Wiele było podczas tych wspomnień anegdot, wiele uśmiechów i tylko odrobina łez ocieranych w haftowane chusteczki, jakich używają już tylko starzy ludzie.

Przypominano sobie historię rodzinnego domu, który babcia zdołała odzyskać dopiero kilka lat temu i w którym spędziła ostatnie chwile swojego życia.

– I co teraz będziecie chcieli zrobić? – zapytała ciocia Helenka. Jej otoczona zakonnym welonem twarz była zatroskana.

Mama wzruszyła ramionami. Ponieważ rodzeństwo babci już dawno zrzekło się praw do dziedziczenia, teraz to ona i wujek Zbyszek byli głównymi spadkobiercami, ale wujek mieszka w Chicago i domy niewiele go interesują. Nie ma do nich sentymentu.

– Może sprzedamy, nie stać nas na remont, który jest konieczny. To wszystko zaczyna się walić. Nie chcieliśmy tego robić ze względu na mamę, ale teraz...

Ciocia westchnęła, mama również. To była trudna decyzja. Ten dom, a raczej dwa domy i plac pomiędzy nimi były dla rodziny Trauterów całym życiem. Najpierw przekleństwem, a potem wszystkim, co mieli. Odebrane przemocą, okazały się raną, która nie goiła się przez wiele lat.

Domy stały się własnością rodziny Trauterów w okolicznościach, o których babcia Zosia nawet po latach opowiadała niechętnie. Pradziadek, dobry, ale naiwny człowiek, uległ namowom oszusta i pożyczył wszystkie oszczędności życia mężczyźnie, którego nie znał, a który podczas każdej wizyty bił pokłony i robił znak krzyża tak często, że nawet kilkuletniej wówczas Zosi wydało się to podejrzane. Jej ojcu niestety nie.

Rodzina pieniędzy nigdy nie odzyskała i, aby ocalić cokolwiek, w zamian za marzenia przyjęła domy, które już wówczas były sypiącymi się ruderami. Pradziadek swoimi rękami i rękami swoich małych dzieci naprawiał, zalepiał, remontował, aby dało się żyć. A potem, potem w tych domach się zakochał. I chyba nie tylko on.

Rozglądałam się po izbie. Dziś jestem tu pierwszy raz od stypy, na stole stoją jeszcze filiżanki z niedopitą kawą i talerz z okruskami ciast. Gdy goście wyszli, ani ja, ani mama nie miałyśmy siły zostać choć chwilę dłużej, aby posprzątać.

Mimo że babcia mieszkała tu zaledwie kilka lat, znam doskonale każdy kąt, zawartość każdej szuflady. Wszyscy odradzali babci przeprowadzkę, przecież mieszkanie, w którym spędziła razem z dziadkiem kilkadziesiąt lat, było wygodniejsze,

przestronniejsze. To tam wychowywała się moja mama i wujek, to tam babcia i dziadek w końcu zaznali odrobiny spokoju. Mieszkanko, w którym teraz siedzę, to tylko jedna duża izba i mikroskopijna łazienka, niedawno dopiero dobudowana. Wciśnięto ją w kąt, oddzielając jedynie cienkimi ścianami z karton-gipsu i zamykając najtańszymi drzwiami. Wcześniej biegało się do ubikacji na plac.

Ciocia Agnes często opowiadała mi, że babcia zobaczyła dziadka po raz pierwszy, gdy ten późnym wieczorem pędził w jednym laciu przez plac za potrzebą. Wersja babci była nieco inna. I jakimś cudem właśnie to maleństwo, część zaniedbanego domu, okazała się bliższa sercu babci. Może dlatego, że właśnie tutaj przeżyli z dziadkiem Władkiem pierwsze wspólne dni jako mąż i żona. Tutaj się żegnali i odnaleźli po wojnie. I w końcu stąd zostali wyrzuceni – za to, że rodzina babki pochodziła z Niemiec, dziadek walczył w zbyt wielu armiach, a na jego żołnierskich czapkach były różne orły.

Babcia nie posłuchała ani córki, ani syna, ani zięcia. Przeprowadziła się. O dziwo, rodzina szybko przywykła do nowego miejsca zamieszkania seniorki. Wszyscy je polubiliśmy. Tutaj, nierozdzieleni pokojami, bez możliwości ukrycia się, rozmawialiśmy najczęściej. Tak się złożyło, że również właśnie tutaj razem z Piotrkim powiedzieliśmy babci i moim rodzicom o planowanym ślubie i tutaj położyliśmy na stole pierwsze zdjęcie USG naszego dziecka. Babcia nie mogła się nadziwić. Przyglądała się widocznej na zdjęciu fasolce, gładziła wydruk palcem, uśmiechała się. Myślę, że przypominała sobie wszystkie swoje ciąży, które nie zawsze kończyły się szczęśliwym rozwiązaniem.

Mimo że okna izby wychodzą na podwórko, słońce rozświetla wnętrze. Wędruje złotymi smugami po deskach podłogi, tworzy mieniące się tęczą plamy na szybkach starego byfyju.

Byfyj, babciny kuchenny kredens, jest zielony. Nietypowy, bo śląski byfyj, tak jak i inne kuchenne meble, powinien być biały. Ma to podkreślić czystość gospodyni.

Znam tę opowieść. Słuchałam jej wiele razy.

Kredens w zielonym kolorze był marzeniem babci. Dziadek pomalował go w dniu narodzin mojej mamy. Śmierdziało farbą, gdy rodziła.

To były dla nich straszne czasy. Wyrzuceni z mieszkania, zajmowali zrujnowaną suterynę w najnędzniejszej dzielnicy. Zielony kredens dodawał im nadziei. Potem powędrował z nimi do nowego mieszkania. Kilka lat temu mebel wrócił z babcią tutaj. Na stare śmieci. Co z nim teraz będzie? Co się stanie ze wszystkimi stojącymi tu sprzętami. Zostały same, osierocone, bezpańskie.

Wstaję z krzesła i podchodzę bliżej, za szybkami kredensu stoją filiżanki, które dziadkowie otrzymali w prezencie ślubnym. Niewiele ich już zostało. Potłukły się podczas licznych przeprowadzek, wyszczerbiły, dekorując wigilijne i urodzinowe stoły. Wyblakły na nich różyczki i listki. W witrynkach stoją również kieliszki i szklanki w plecionych koszyczkach. Teraz nikt już takich nie używa.

Wiem też, co znajdę w szufladach. Sztućce i kuchenne ściereczki. Tłuczek do mięsa, wałek do ciasta. W bocznych po lewej stronie – talerze i garnki. W tych po prawej – przybornik na igły i nici, puszkę po kawie pełną guzików. Na najniższej półce duże pudło ze zdjęciami. I mniejsze, ze wspomnieniami.

Klękam i wyciągam kartony. Czuję, jak ze wzruszenia drży mi broda, gdy ściągam

wieko większego. Pełno w nim fotografii. Kolorowych i czarno-białych. Starych o ząbkowanych brzegach i tych całkiem nowych, zrobionych na błyszczącym papierze. Sięgam po jedno ze zdjęć.

Wokół starszej kobiety o przyjaznym uśmiechu stoi kilkanaścioro dzieci. Każde z nich trzyma w rękach tytę, tradycyjny rożek ze słodkościami. To zdjęcie z uroczystości rozpoczęcia szkoły. Dzieci to pierwszoklasiści. Twarz jednej z dziewczynek otoczona jest kółeczkiem, zrobionym czerwonym mazakiem. Wiem, kto to, znam te rysy, podobne widzę w lustrze każdego dnia.

– Cicho, obudzisz ją – szepczę, gdy Władek, wchodząc do sypialni, potyka się o próg i z całym impetem uderza łokciem o szafę. Na szczęście w porę odzyskuje równowagę i nie upuszcza tego, co niesie w rękach. Oboje zastygamy bez ruchu. Nasłuchujemy. Dobrze, że Małgosia, zmęczona emocjami ostatnich dni, śpi jak kamień.

– Gdzie położyć? – pyta mnie mąż.

– Może na fotelu. – Zastanawiam się. – Zobaczy zaraz, jak wstanie.

Władek podchodzi do nakrytego kraciastą narzutką fotela, jednego z nielicznych mebli, które przywędrowały tu z nami z poprzedniego mieszkania, i kładzie na nim tytę. Dopiero teraz widzę, jaka jest ogromna. Góra wystaje sporo ponad oparcie fotela. Sreberko, którym jest oklejona, błyszczy w świetle ulicznej lampy zagląającej nam do okna każdej nocy.

– Piękna – mówię.

Nie walczę z łamiącym się głosem, nie tłumię wzruszenia. Wiem, że Władek czuje teraz to samo. Ani ja, ani on, ani nikt z naszego rodzeństwa nie ma tak pięknych wspomnień z pierwszego dnia szkoły, jakie będzie miała Gosia.

Cicho zamykam drzwi sypialni. Wąskim korytarzem, po którego obu stronach stoją jeszcze niewypakowane pudła, idziemy do kuchni. Nie jest duża, ale zmieściło się w niej wszystko, co potrzeba, a przede wszystkim stanął zielony byfyj. To drugi mebel przywieziony tu z suteryny. Spędziliśmy w niej ostatnie siedem lat. Tam, w jednej izbie, do której prawie nigdy nie wpadało słońce, bez żadnych wygod, z grzybem wylewającym się na ściany, nasza córeczka spędziła swoje pierwsze lata. Kazali nam się tam przenieść w czterdziestym szóstym, a i tak okazano nam tym wielką łaskę, równie dobrze mogliśmy zostać wywiezieni albo osadzeni w obozie. W ten sposób traktowano rodziny takie jak nasza. Nie wiem, kto bardziej zawinił: ja, że byłam Niemką z drugą folkslistą, czy Władek, bo był mężem Niemki, a do Polski z wojny wrócił z armią Andersa. Jedynie z łaski pozwolono nam przeżyć. Mieliśmy być za to wdzięczni.

Siadam za stołem, Władek ze szklanką kompotu opiera się o piec.

– On będzie miał lepiej – mówi i patrzy na mój brzuch.

Mimo ogromnego strachu i ciągłego powrotu wspomnień o chłopcu, który urodził się martwy, bo zgnięli go we mnie w kolejce po mięso wołowe na rosół, znów jestem w ciąży. To dopiero szósty miesiąc, wszystko może się przydarzyć, ale staram się myśleć, że w końcu odpokutowaliśmy, że wraz z nowym mieszkaniem wchodzimy w nowe lepsze życie. Dwa pokoje, kuchnia i łazienka z bieżącą wodą. Dla nas to pałac.

– Będzie się Gosi podobało. – Próbuję myśleć o jutrzejszym dniu, nie chcę, aby Władek znów zobaczył lęk w moich oczach. Nie powinno go tam być. Wiem. On tak bardzo się stara, abyśmy w końcu byli naprawdę szczęśliwi. Tylko czy mogą istnieć całe dni, tygodnie, lata bez zmartwień, bez lęku? Nie wiem. Nie mam w tym doświadczenia. Wciąż się boję, że za chwilę wydarzy się coś, co zetrze nam z twarzy jeszcze niepewne uśmiechy.

To nieprawda, że jestem wieczną pesymistką, że życie widzę w ciemnych kolorach, ja po prostu zawsze, gdy dzieje się coś wspaniałego, czekam, aż los ustawi odważnik na drugiej szali wagi.

– Szkoda, że nie mogę z wami jutro pójść. Kierownik nawet nie chciał słyszeć o wolnym dniu. Stwierdził, że Gosia beze mnie poradzi sobie równie dobrze, a trochę bombonów[1] z tyty też na pewno mi zostawi.

Śmiejemy się.

– Tego jest tyle, że na pół roku wystarczy. Agnes musiała całą wypłatę wydać na paczkę, no i jest jeszcze to, co ty wczoraj jej kupiłeś. Oboje ją rozpieszczacie. Gosia tej tyty nie uniesie.

– Uniesie, uniesie. Słodczyce niesie się lekko. Może będzie ktoś z gazety na rozpoczęciu, to chociaż na zdjęciach ją zobaczę.

– A ma być ktoś od was?

Wiem, że drukarze nie bratają się zbyt z pismakami, bo oni zawsze nosy trzymają wysoko, ale akurat Władek potrafi się dogadać ze wszystkimi, mało kto ma taki dar przekonywania do siebie ludzi, więc może coś wie.

Wzrusza ramionami.

– To przecież jedna ze szkół, która pozbywa się religii – mówi przez zaciśnięte zęby. – Może ją odwiedzą, aby wychwalić w gazecie. Że też to akurat musi być nasz rejon. – Cmoka niezadowolony.

– To dobra szkoła – przypominam, choć Władek wie o tym doskonale. Wie też, że przy kościele już przygotowują salki, gdzie popołudniami będą nauczać dzieci ze szkół, z których ten przedmiot usunięto. Mimo to boli go ta sytuacja i denerwuje go, jak dalece państwo zmienia naszą kulturę i wieloletnią tradycję. Mnie to wydaje się po prostu dziwne. Przecież wiadomo, że ludzie najbardziej buntują się przeciw tym, którzy coś odbierają, którzy próbują zmieniać niezmiennalność. Partia narobi sobie tylko nowych wrogów.

Oczywiście nigdy nie ośmieliłabym się powiedzieć tego, co myślę, głośno. Władek mówi. Zbyt często. Gdy spotykamy się z Anią i Paulkiem, naszymi przyjaciółmi z dawnych czasów, zacięte dyskusje trwają do bladego rana. To niebezpieczne, szczególnie teraz, gdy Gosia idzie do szkoły. Przecież dziecko słyszy i rozumie więcej, niż się wydaje.

Myśl o córce przypomina mi, że mam jeszcze coś do zrobienia. Wstaję i sięgam po koc przewieszony przez jedno z krzesel.

– Muszę wybiglować[2] Małgosi sukienkę na jutro – mówię, patrząc na Władka. Ma zacięty wyraz twarzy, wiem, że znów myśli o sprawach zakazanych.

Rozkładam koc na stole, nakrywam czystym prześcieradłem i włączam żelazko. Jest prawie nowe, dostałam je ostatnio od Władka na urodziny. Choć nie lubię zmian i tej wkraczającej wszędzie nowoczesności, muszę przyznać, że pewne rzeczy bardzo ułatwiają codzienne czynności. Jeszcze niedawno używałam starego żelazka na duszę, które dostałam w posagu. Było ciężkie i nieporęczne. Prasowanie zajmowało całe wieki.

Nowe nagrzewa się szybko. Gładko sunie po króciutkiej granatowej sukience z białym marynarskim kołnierzykiem. Jest śliczna. Szyłam ją jeszcze na starym

mieszkanii. Tu, mimo tylu pokoi, na razie nie umiem się zorganizować i znaleźć miejsca na rozłożenie maszyny i wykrojów. Wszystko jest nowe. Piękne, ale jeszcze obce.

– Za czym tęsknisz? – pyta Władek, stając za moimi plecami.

Z przygryzienia wargi, przeczesania włosów, gestu, ruchu, spojrzenia... Po trzynastu latach małżeństwa z drobiazgów potrafimy wyczytać to, o czym drugie z nas zaledwie pomyślało.

Pytanie Władka, choć wydaje się dziwne, wcale takim nie jest. Tęskni się do rzeczy, które się oswoiło. A oswoić można wszystko, nawet piwnicę śmierdzącą kocimi odchodami.

Odstawiam żelazko na nóżkę. Zastanawiam się przez chwilę.

– Tęsknię za Anią, za zbiegającym po schodach Ignasem, za ławeczką przed domem, na której łąpałyśmy słońce. Za naszymi ciągłymi rozmowami.

– Przecież będziecie się spotykały.

– Wiem, ale to już nie to samo.

Władek odwraca mnie do siebie.

– To minie, Zosiu. A do lepszego zawsze łatwiej się przyzwyczaić. Pamiętasz nasze pierwsze dni tam, w tamtym mieszkaniu?

Wolałabym nie pamiętać, choć przecież właśnie wtedy, kilka dni po naszej przeprowadzce, poznałam Annę i odkryłam, że jestem w ciąży. Dobro i zło zawsze idą obok siebie. Jakby trzymały się za ręce.

Wzdycham, wdychając równocześnie zapach niewyschniętej jeszcze dobrze farby. Spieszono się, aby oddać domy na czas.

Przytulam się do ramienia męża. Czasem aż nie mogę uwierzyć, ile już przeżyliśmy. Ile mamy za sobą.

– Mamo! Mamo! Widziałaś to? Mamo! Zobacz, jaka ogromna.

Otwieram oczy dokładnie w chwili, kiedy Gosia wbiega do pokoju, w którym śpimy z Władkiem. Zerkam na zegarek. Jest wpół do szóstej. To Władek musiał zbudzić Gosię, gdy wychodził do pracy. Mnie nie obudził. Gdy jestem w ciąży, zawsze śpię jak kamień.

Przeciągam się i uśmiecham do podekscytowanej córki. Gosia stoi przy łóżku, trzymając w rękach olbrzymią tytę. Mam wrażenie, że gdyby postawiła ją na sztorc, byłaby większa od niej.

– Piękna – mówię. – Ale pośpijmy jeszcze troszkę. Mamy czas.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że choć nie wiem, jakich bym próśb i gróźb użyła, Gosia jest zbyt rozemocjonowana pierwszym dniem szkoły, aby mogła położyć się obok mnie i zasnąć choć na pół godziny.

– A co jest w środku? Wiesz, mamo? Co tam jest?

– Nie waż się odwiązywać! – Grożę palcem, gdy zaczyna majstrować przy wielkiej wstążce, którą związana jest bibuła zamykająca róg pełen słodczy. – Chodź, zrobimy śniadanie – mówię, zwlekając się z łóżka. – Chcesz, ugotuję grysik. Mam sok malinowy. Prawdziwy. Babcia wczoraj dała nam butelkę.

Czas płynie zbyt wolno. Zjadłyśmy śniadanie, ubrałyśmy się. Gosia w swojej granatowej sukience wygląda ślicznie. Ja w ciążyowej – grubo. Ania powtarza, że to będzie

dziewczynka. Gdy teraz patrzę w lustro na swoją brzydką cerę i włosy bez blasku, zaczynam jej wierzyć; w końcu mówi się, że dziewczynki zabierają matce urodę.

Pociągam usta bladoczerwoną szminką i uśmiecham się do swojego odbicia. Od razu lepiej.

– Mamo, która godzina?

Gosia ciągnie mnie za rękaw. Od kilkudziesięciu minut biega niecierpliwie po domu. Wygląda raz przez okno w kuchni, raz w dużym pokoju. Boję się, że z nerwów jeszcze dostanie gorączki.

Zerkam na zegarek.

– Zakładaj buciki – decyduję. – Pójdziemy dłuższą drogą. Jest ładna pogoda.

Do rozpoczęcia uroczystości związanych z początkiem nowego roku szkolnego została jeszcze godzina, ale do przejścia mamy spory kawałek. Właściwie można by było wsiąść w autobus i przejechać dwa przystanki, ale chcę coś zrobić z nadmiarem czasu. Idziemy pieszo.

Po wyjściu z domu, najpierw musimy przedostać się przez plac budowy rozciągający się wokół nas.

Po lewej stronie, po prawej stronie, przed nami i za nami trwa budowa domów takich jak ten, do którego wprowadziliśmy się tydzień temu. Był jednym z pierwszych oddanych, spóźniony prawie o rok. Dużo czasu minie, zanim osiedle zacznie przypominać to, które widziałam na rysunkach wydrukowanych wiele tygodni temu w lokalnej gazecie. Zielone skwerki, sklepy, przedszkola, szkoła. To wszystko mogę sobie na razie tylko wyobrazić.

Idąc dalej, wchodzimy do starej części dzielnicy. Tu czuję się bardziej swojsko. Stare kamienice przywołują wspomnienie domu, w którym dorastałam, tego, który nam odebrano.

W tamtym domu poznaliśmy się z Władkiem, przed nim uczył mnie jeździć na rowerze i pocałował w „ogrodzie”, w którym później powstała kuźnia. Tam, na placu, odbyło się nasze wesele i właśnie stamtąd, wiele lat później, wyprowadzano trumnę z ciałem ojca, a rok temu po raz ostatni znoszono po schodach moją teściową.

Co prawda mama i Antoś nadal mieszkają w starym domu. Jeszcze do niedawna dzielili małe mieszkanie z dwójką dokwaterowanych sublokatorów. Ale nic tam nie jest już nasze. Wszystko obce. Dziwnie chłodne.

– Mamo, poniesiesz mi troszkę?

Nieprzytomnie zerkam na Gosię. Ma spocone czoło. Natychmiast biorę z jej rączek tytę. Że też wcześniej o tym nie pomyślałam. Moje grzeczne dziecko bez słowa skargi niosło ten ciężar już od dobrych trzydziestu minut.

– Ale przed szkołą mi oddasz – stwierdza, wybiegając przede mną. Jej dwa warkoczyki, zakończone białymi kokardami, podskakują wraz z nią.

– Po południu przyjdzie do nas Ania z Ignasiem! – wołam. – Upiekłam ciasto ze śliwkami. Twoje ulubione.

Gosia kiwa główką na znak, że słyszy, co mówię, ale choć bardzo lubi bawić się z Ignasiem, nie widać po niej nadmiernego entuzjazmu. Zapomniałam, że dla sześciolatki „po południu” to szmat czasu. Szczególnie gdy tyle innych przyjemności jeszcze przed

nią.

Rozpoczęcie roku szkolnego trwa krótko. Najpierw oficjalna przemowa dyrektora szkoły, który za ledwie jednym zdaniem, wywołującym cichy pomruk niezadowolenia, informuje rodziców, że od tego roku religia znika z planu lekcji.

Potem spotkania w klasach z nauczycielami. Dzieci siadają w ławkach, przed każdym stoi taki sam metalowy garnuszek z uszkiem. Będą piły mleko na dużej przerwie. Leży też jabłko, pewnie na osłodę pierwszego szkolnego dnia. Rodzice, a właściwie matki, stają przy oknach lub w tyle przy szafach, wypełnionych pomocami szkolnymi. Rozglądam się ukradkiem, przypatruję twarzom, ale nie znam nikogo. Mam nadzieję, że więcej tu takich „nowych”, że Gosia nie będzie się źle czuła wśród dzieci, które być może znają się dobrze z podwórka. Na razie moja pierwszoklasistka ma zaciśnięte usteczka i wzrok utkwiony w tablicy. Chce, aby wszyscy mieli ją za odważną i pewną siebie. Jak zawsze.

Gdy drzwi klasy otwierają się i do środka wchodzi starsza kobieta, która z całą pewnością będzie wychowawczynią mojej córki, zamieram. Ta twarz jest mi znana. Tylko dlaczego akurat ona?

Mirosława Siwczyk. Nauczycielka Antosia, która przejęła klasę mojego brata w ostatnim roku przed wybuchem wojny. Zaczęła pracę w niemieckiej szkole i wymagała od niemieckich dzieci posługiwania się czystą polszczyzną. Za każdy błąd ortograficzny, za każde niemieckie słowo usłyszane na lekcji albo na przerwie biła linijką po rękach.

Antoś przychodził czasem z tak opuchniętymi paluszkami, że nie mógł ich zgiąć. I teraz ta kobieta ma zostać wychowawczynią mojej córeczki? Jestem zdruzgotana. Pochylam głowę i słucham, jak słodkim, nieco piskliwym głosem zwraca się do dzieci. Jest aż przesadnie miła. Czy tylko ja wiem, że kłamie?

Boję się, że mnie pozna. Boję się, że przeze mnie Gosia będzie miała kłopoty już od pierwszego dnia. Znów wracają wspomnienia, znów zaczynam się czuć jak ktoś gorszy, ktoś, kto nie powinien był tu zostawać. A myślałam, że duchy przeszłości już mi odpuściły. Już wymazałam swoją niemieckość, spaliłam ją wraz ze wszystkim, co ją potwierdzało.

Gdy nauczycielka zaczyna zwracać się bezpośrednio do nas, już nie mogę mieć opuszczonej głowy, już nie mogę udawać, że szukam czegoś w torebce. Patrzę, jak Mirosława Siwczyk z zainteresowaniem przygląda się rodzicom. Płynię wzrokiem po sali. Muszę wyglądać na przerażoną, gdy w końcu nasze spojrzenia się spotykają. Wiem, że zaraz się zorientuje, wiem, że zaraz wykrzyczy moje panięńskie nazwisko, wypomni pochodzenie i wyrzuci z klasy mnie i Gosię. Ale pani Siwczyk uśmiecha się tylko delikatnie i zaczyna przyglądać się wysokiej kobiecie stojącej obok mnie. Czy to możliwe, aby mnie nie poznała? Czy naprawdę mogła zapomnieć?

Postanawiam sobie, że jeszcze dziś porozmawiam o tym z Władkiem i to on będzie chodził na wywiadówki, ja już się tu nie pojawię.

Po spotkaniu w klasach dzieci są proszone na korytarz, aby na tle zielonej płachty z napisem „Witaj, Szkoło” oraz zdjęciami Bolesława Bieruta i Józefa Stalina zrobić sobie pierwszą klasową fotografię. Stojąc z dala od reszty rodziców i Mirosławy Siwczyk, która przysiadła na krzeselku otoczona dziećmi, przyglądam się fotografom. Jest ich kilku,

a więc zdjęcie na pewno ukaże się również w którejś z gazet. Władek miał rację.

Gdy wychodzimy ze szkoły, oddycham z ulgą, ale nie potrafię odzyskać dobrego humoru. Idąc koło Gosi, która cały czas zasypuje mnie opowieściami, myślę o nabrzmiałych, zsiniałych palcach Antosia. Obwiązywałam mu je szmatką zamoczoną w occie, aby opuchlizna zeszła i aby mniej bolało. Aż mi niedobrze od tych wspomnień, wiem, że są zupełnie niepotrzebne, Antoni już pewnie niczego nie pamięta.

Teraz tymi samymi palcami formuje dekoracje na swoich wypiekach. Jeszcze nie ukończył szkoły gastronomicznej, a już jego ciasta zaczynają być znane w mieście. Kobiety zamawiają u niego torty na geburstagi[3] i kołocze na święta. Przynoszą jajka, mąkę, cukier, a potem wkładają pieniądze do kieszeni fartucha, nawet jeśli nie chce ich przyjąć. Boję się czasem, że ktoś może na niego donieść, posądzić, oskarżyć o to, że jest spekulantem, ale przecież Antek i tak będzie piekł, nawet gdyby miał to potem jeść sam.

– Wujek przyjechał! – Czuję, jak ręka Gosi wysuwa się z mojej. Pograżona w myślach nie zauważyłam, że już prawie doszliśmy do domu.

Trochę zdezorientowana patrzę w kierunku, w którym pobiegła moja córka, szukam Antka, ale zamiast niego przed drzwiami domu stoi ktoś, kogo dziś na pewno się tu nie spodziewałam. Józef. Brat Władka.

Podchodzę i widzę, jak Gosia próbuje, nie wypuszczając z rąk tyty, którą tym razem sama niosła całą drogę ze szkoły, objąć Józefa i jak on odwzajemnia ten gest. Uśmiecham się mimowolnie.

– Moja ukochana bratowa – mówi nazbyt głośno, gdy zbliżam się do nich.

– Jedyna – przypominam, by ostudzić jego zapędy do słodzenia mi.

Józef kwituje moje słowa uśmiechem, wie, że nie działają na mnie jego komplementy.

– Znów pojawiaasz się niespodziewanie. Jak na chrzcinach. – Nie wiem, czy mój głos nie brzmi zbyt szorstko, zbyt oskarżycielsko, w sumie wcale tego nie chcę. Cieszę się, że przyjechał.

– I znów, tak jak wtedy, zaprosisz mnie na obiad. – Józef nigdy nie bywa zbity z tropu. Tę cechę dzieli z Władkiem. Zawsze pewni siebie, nawet jeśli ta pewność to zupełna głupota.

– Dziś jest poniedziałek. Nie gotowałam obiadu, został z wczoraj.

– A co?

– Trochę rosołu i kluski z sosem. Potem będzie tort dla Gosi, ale... – urywam.

– Ale?

– Na tort i kawę ma przyjść Anna i Paulek.

Na twarzy Józefa pojawia się grymas rozbawienia.

– Dalej mnie nie lubią?

Wzruszam ramionami. Co mam mu odpowiedzieć? Że Paulek pewnie nie będzie chciał usiąść przy jednym stole z „komuchem”? Że nawet Anna go nie powstrzyma przed wszczęciem kłótni? Na ostre słowa Paulka Józef odpowie jeszcze ostrzejszymi. A Władek będzie pomiędzy nimi. Trudno jednocześnie okazywać wsparcie przyjacielowi i lojalność wobec brata.

Józef Zaleski pojawił się w moim życiu siedem lat temu. Wcześniej był tylko

cieniem, który czasem mącił spokój Władka i jego matki. Niewiele o nim mówiono. Ponoć pewnego dnia po prostu wyjechał, uciekł do Warszawy albo jeszcze dalej, aby wspierać komunistów. Zniknął na wiele lat. Władek nie mógł mu wybaczyć kilku rzeczy; jak się później okazało, przekonania Józefa były najmniej istotną z nich. Bardziej bolało to, że go zostawił, choć miał zastępować ojca.

Nie wiedziałam, że w tych najgorszych, powojennych miesiącach, gdy prawie umieraliśmy z głodu, Władek na jeden krótki moment schował do kieszeni całą swoją dumę i aby ratować nas przed wywózką w głąb Niemiec albo osadzeniem w obozie, zdecydował się napisać list do Józefa.

Odpowiedź, którą przypadkiem znalazłam, była podszyta ironią i wyrzutami. Musiała sprawić Władkowi niewyobrażalny ból. Choć w liście Józef obiecał pomóc, nie liczyłam na nic prócz najgorszego, a jednak, mimo że zabrano nam domy, nie wygnano z Polski, tylko umieszczono w norze bez wygód. Czy sprawiła to ręka Józefa i czy ta ręka chciała nam pomóc, czy może jeszcze bardziej pogłębić, tego nie wiem do dziś. I pewnie nigdy nie będę miała na tyle odwagi, aby o to zapytać. Tak jak pewnie nigdy nie zapytam, dlaczego kilka miesięcy później Józef zjawił się na chrzcie Małgosi. Dlaczego wszedł w nasze życie, choć wcale tego nie chcieliśmy.

Syn marnotrawny powrócił, siejąc zamęt.

A potem moja teściowa zachorowała. Obcięto jej nogi. Władek i Józef oskarżali się wzajemnie o niedopilnowanie matki, o złe decyzje, o brak serca.

Jeszcze później, w pamiętną zimową noc, po rozmowie tak brutalnej, że do dziś czuję ukłucie w żołądku, gdy przypomną mi się zdania, którymi w siebie rzucali, w tamtą noc rzucili się też sobie w ramiona. Wybaczyli. Pojednali. Choć nikt z nas nie wiedział jeszcze, czy to tylko chwila, czy prawdziwa zmiana.

Teściowa umarła. Relacje braci osłabły, oddalili się od siebie. Ale nie ma już złości, wszystko zostało wypowiedziane. Gosia w końcu może się bawić lalkami przysyłanymi przez wujka z Warszawy.

Wciąż różnią nas poglądy, lecz i te się zmieniają. Józef, choć nadal jest w partii, nie wykrzykuje już ideologicznych haseł, czasem mam wrażenie, że zaczął się ich wstydzić. Nigdy się do tego nie przyzna. Nie wiem, czy ze strachu, czy z dumy.

– Obiecuję, że nie będę się wdawał w dyskusje z waszymi przyjaciółmi. – Józef kładzie rękę na piersiach, jakby to miało sprawić, że mu uwierzę.

Wzdycham i otwieram drzwi, gestem zapraszając, aby wszedł.

– Musiałem w końcu zobaczyć to wasze gniazdo, a Władek sam napisał mi w liście adres. Poczuję się zaproszony – mówi, gdy wchodzimy po schodach na pierwsze piętro.

– Poza tym nie mogłem przepuścić tak ważnej uroczystości – dodaje, ciągnąc idącą przed nim Gosię za warkoczyk.

Nie wiem, czy bracia wiedzą, jak bardzo są do siebie podobni. Bez względu na to, co przeżyli i w jak okrutne wydarzenia wplątywał ich los, w środku wciąż żarzy się chłopięca energia. Przed oczyma widzę Władka sprzed wielu lat. Zbiega ze schodów w kaszkiecie zawadiacko przekrzywionym na jedną stronę. Obaj wciąż z tych schodów zbiegają, nie bacząc na włosy coraz mocniej przyprószone siwizną. Wciąż są młodzi.

– Ale ty jesteś sentymentalna – stwierdza Józef, gdy wprowadzam go do kuchni.

– Po co ci ten stary byfj? Pewnie jest całkiem przegniły od wilgoci tamtego mieszkania. Nie pasuje tutaj.

Wzruszam ramionami. Nie będę przecież wyjaśniała, że to ta zieleń dawała mi nadzieję na lepsze jutro. Nie pozbędę się jej teraz, gdy to lepsze jutro nadeszło.

– Zobacz, wujku, ile bombonów! – Gosia wbiega do kuchni, trzymając w obu rączkach paczki z cukierkami. Tyta została rozpakowana.

– Cukierków – poprawia ją Józef. – Idziesz do szkoły, musisz mówić po polsku.

Zaciskam zęby. Znów przypominam sobie Siwczycową. Jestem niespokojna, choć przecież wiem, że Gosia mówi ładnie i czysto. W porównaniu z innymi dziećmi nie zdarza jej się często używać śląskich słówek, a co ważniejsze – niemieckich. Na pewno nie będzie miała problemów w szkole. Oboje z Władkiem rozmawiamy w domu po polsku.

Czasem myślę, że już zapomniałam, jak brzmią niektóre słowa w moim ojczystym języku. Gdyby nie listy od Gerdy i Agnes, gdyby nie wieczorny pacierz, który odmawiam w myślach wyłącznie po niemiecku, bo mówiony inaczej nie jest dla mnie modlitwą, zapomniałabym już prawie, skąd pochodzę.

– No i popatrz, jak szybko buduje się ta nasza nowa Polska – mówi głośno Józef, przechylając się przez szeroki blat przylegający do okna. Pod nim znajduje się szafka z wywietrznikami w ścianie dzielącej mieszkanie od podwórza. Jak mówi Władek, to rozwiązanie zapewnia lepszy przepływ powietrza i sprawia, że jedzenie się nie psuje. Kolejna techniczna nowość.

– Czasem aż za szybko. Ciągłe hałasują, nie da się odpocząć – odpowiadam i nagle robi mi się żal Józefa. Ostatkiem sił próbuje trzymać się idei, dla której tak wiele poświęcił.

Oliwia

Czerwiec 2006

– A co ty o tym myślisz, Oliwko? – Wujek Zbyszek uśmiecha się do mnie z monitora laptopa. Jest już u siebie, za oceanem. Musiał wyjechać zaraz po pogrzebie babci, więc nie było okazji, aby porozmawiać o domach. Wiadomo, że wujek poprze każdą decyzję, którą podejmie mama, wypadało jednak zacząć tę rozmowę, wypadało zapytać. Siedzimy więc w kuchni w wynajmowanym mieszkaniu i rozmawiamy przez Skype'a.

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Babcia mieszkała tam zaledwie od kilku lat, a jednak będzie mi żal tych domów.

– Ja pamiętam je tylko z wizyt u twojej prababki, po jej śmierci już tam nie chodziliśmy. – Wujek się zamyśla. – Czasem przypominają mi się czerwone schody prowadzące na piętro, chlewiki na placu i trzepak, na którym nauczyłem się robić fikołki. Tego mieszkania, do którego rodzice wprowadzili się zaraz po ślubie, i w którym teraz ponownie zamieszkała matka, chyba nie widziałem ani razu. Nie licząc stypy.

– To nawet nie mieszkanie – wtrąca się do rozmowy mama. – Jedna izba. Teraz trudno wyobrazić sobie rodzinę w takiej kliteczce. Ale Oliwka ma rację, bardzo się przez te kilka lat zżyliśmy z tą izdebką. Odwiedzałam mamę prawie codziennie. Organizowaliśmy urodziny, nawet raz Wigilię. Jest tam coś, co przyciąga.

– Trudno będzie wam zostawić jedno mieszkanko, jeśli sprzedacie dom. Ilu tam jest lokatorów?

– Sześć rodzin.

– Płacą za wynajem?

– Niewiele. Nie mogę pobierać opłat za tak złe warunki, a nie mam za co ich poprawić. Zresztą nie wiem, czy jest sens w to inwestować. To nie jest piękna kamienica, nie jedna z tych, co stoją przy głównej ulicy. Takie teraz zaczynają być modne. Znow bogaci się wprowadzają.

– Jak myślisz, co zrobi ten, kto kupi domy?

– Nie wiem, czy w ogóle ktoś kupi, a jeśli tak, to pewnie wyburzy. Tam jest dużo placu[4], bo przecież były jeszcze ogród i kuźnia. Dobre miejsce na jakiś supermarket.

– Mama wzdycha.

Gdy tego słucham, coś ściska mnie za gardło. Nie wiem, czy to cięża i buzujące we mnie hormony sprawiają, że muszę hamować łzy.

– Te odzyskane domy przyniosły same kłopoty. Trzeba było matce zabronić.

– To akurat nie twoje kłopoty, Zbyszku. – Głos mamy staje się nieprzyjemnie szorstki. Jest trochę zła na brata.

W opowieściach babci Zosi wujek był zawsze tym dzieckiem, które przysparzało mniej problemów. Doskonały uczeń. Cichy i rozsądny. Pozostał idealnym synem nawet wtedy, kiedy mimo zaawansowanej już choroby dziadka z dnia na dzień postanowił wyjechać z Polski. Osiadł w Stanach, gdzie dość szybko założył rodzinę i dorobił się pięknego domu na przedmieściach. Co prawda, po śmierci dziadka zaprosił do siebie

babcię i nalegał, aby zamieszkała z nim i jego rodziną. Ale babcia źle się tam czuła, bariera językowa pomiędzy azjatycką żoną wujka i dziećmi, których praktycznie nie uczono mówić po polsku, była nie do pokonania. Seniorka szybko wróciła. Sporo było z tym zamieszania i nerwów. Kilka tygodni temu wujek znów wprowadził w nasze życie chaos, tym razem wyznając siostrze, że się rozwiódł z żoną. Wszyscy uznaliśmy, że tej wiadomości babcia nie powinna usłyszeć. Odeszła nieświadoma, ale też spokojna, wierząc, że jej dzieci mają szczęśliwe rodziny.

– Przepraszam. – Wujek reflektuje się w porę. – Wiem, że to było ich życzenie, marzenie. Wiem. Tylko co teraz, dziewczyny? Musicie podjąć decyzję.

– Już podjęłyśmy. – Mama ściska mnie za rękę. – Wystawimy na sprzedaż, gdy tylko załatwimy wszystkie formalności spadkowe.

Robi mi się nieprzyjemnie zimno. Szyja, plecy, w końcu i brzuch pokrywają się gęsią skórką. Maluszek kopie z całej siły i boleśnie wciska mi piąstkę albo stópkę pod żebro. Jemu też nie podoba się ta decyzja.

– Muszę już iść – mówię do wujka i mamy. – Dziś mam popołudniową zmianę w przychodni.

Wujek macha mi na pożegnanie. Całuję mamę w policzek i zostawiam ich. Niech sobie spokojnie porozmawiają, teraz, gdy najważniejsze i najtrudniejsze zostało już powiedziane.

Wsuwam buty, zjeżdżam windą i wychodzę na osiedlową uliczkę, po obu stronach której stoją wysokie bloki, podobne jak dwie krople wody do tego, w którym sami mieszkamy. Bezduszne sypialnie, bez historii, bez wspomnień. Choć spędziłam tu kilka dobrych lat, choć tu stworzyliśmy z Piotrusiem rodzinę i tu będzie stało pierwsze łóżeczko naszego dziecka, nie lubię tego miejsca. Czuję się w nim zupełnie bezimienna, jakbym nie istniała. Ludzie, których mijam, w większości mają obce twarze, czasem kojarzę któregoś z sąsiadów, ale nawet z tymi najbliższymi zamieniłam zaledwie kilka słów.

Wiedziona nagłym impulsem wyciągam z kieszeni telefon i dzwonię do szefa. Bez problemu otrzymuję wolny dzień. Już i tak od wielu tygodni zajmuję się jedynie papierkami. Nikt nie chce mnie narażać na podrapania i ugryzienia, które przecież weterynarzowi mogą się zdarzyć każdego dnia.

Zamiast do pracy idę w kierunku babcinych domów. Z każdym kolejnym krokiem zły nastrój znika.

Na placu między domami ruch. Dwaj chłopcy grają w piłkę. Na ławeczce siedzi młoda kobieta, obok niej śpi dziecko w spacerowym wózku. W oknach tłoczno. Kilka starszych kobiet, wspartych o poduszki, klaczą[5] ze sobą w najlepsze. Tu czas się zatrzymał albo biegnie zdecydowanie wolniej.

Tym razem dobrze wiem, którą fotografię chcę odnaleźć wśród wielu innych. Jest zniszczona, była oglądana wiele razy, dotykana, głaskana. Niemowlę musi mieć zaledwie kilka dni. Teraz to normalne, że robi się dzieciom zdjęcia zaraz po urodzeniu, ale raczej nie widuje się takich zdjęć zrobionych pięćdziesiąt lat temu.

Zosia
Grudzień 1952

– I po co ją w to ubierasz? Najładniejsza sukienka. Czyje urodziny świętujemy?

– Ma akademię w szkole. Występuje na niej. Musi ładnie wyglądać.

– Ma też inne sukienki. Mniej szykowne. – Władek aż czerwienieje na twarzy ze wzburzenia. – Po co aż tak?

– Nie chcesz, żeby twoja córka ładnie wyglądała? – Próbuję zachować spokój.

– Zobacz, jak jej w tym ślicznie.

– Dziś nie ma po co aż tak się stroić. Manifestujesz poparcie dla władzy.

– Niczego nie manifestuję! Chcę tylko, żeby nasze dziecko dobrze się czuło.

Władek podchodzi do mnie, łapie za ramiona i odwraca tak, abym musiała na niego spojrzeć.

– Dzisiaj są urodziny Józefa Stalina – mówi powoli, jakby tłumaczył coś nierozgarniętemu dziecku. – Małgosia nie musi dziś czuć się dobrze. Nikt nie musi.

Zamykam oczy i wzdycham ciężko. Miałabym ochotę postukać się palcem w czoło, ale dla świętego spokoju proszę Gosię, aby przyniosła spódniczkę i białą bluzkę. Nie chcę się kłócić z Władkiem, a Gosi i tak jest wszystko jedno, co włoży. Najchętniej zamiast na akademię i do szkoły poszłaby z Kaziem i Januszkiem pograć w piłkę na podwórku. Odkąd poznała tych chłopaków, synów naszej sąsiadki z piętra wyżej, piłka stała się jej ulubionym zajęciem.

W całym naszym domu mieszka tylko jedna dziewczynka, Stasia – córka Kiesiów z parteru. Ale zamiast wspólnie się bawić, częściej się kłócą, bo ani Gosi nie po drodze z lalką, ani starszej o kilka lat Stasi z piłką. Chłopczyca mi z Gośki wyrośnie i tyle. Mam nadzieję, że lada dzień sprowadzę jej na świat siostrę.

Jego imię jest dziś na ustach nas wszystkich. Kochamy go i dziękujemy za nowy świat, który dzień po dniu budujemy.

Ze stojącego na byfju radia dobiegają nas dźwięki przemówienia. Władek natychmiast mnie puszcza, podchodzi do radia i uderza w wyłącznik z taką siłą, że odbiornik się wywraca. Wyrwany z gniazdka kabel spada na podłogę, pociągając za sobą radio. Władek łapie je w ostatniej chwili. Gdyby się spóźnił, moglibyśmy już tylko bezsilnie patrzeć na szczątki urządzenia, dzięki któremu co wieczór mój mąż słucha nielegalnych audycji Wolnej Europy.

Samo zło z tej polityki. Zło, strach i wojny.

Dziś Władek ma drugą zmianę, chce sam odprowadzić Gosię do szkoły, abym nie musiała się ubierać. Nogi mam tak spuchnięte, że ledwie chodzę. Poza tym nie mieszczę się już w płaszcz, który uszyłam sobie dwa miesiące temu. Z Gosią miałam mały brzuch, teraz boję się, że mogę urodzić bliźniaki.

Pomagam córce się ubrać, poprawiam Władkowi szalik i przytulam się do niego.

– Przepraszam – mówi mi do ucha. – Kłócimy się o rzeczy, na które nie mamy wpływu.

W odpowiedzi przytulam się jeszcze mocniej. Tak mocno, jak pozwala mi na to

wystający brzuch. W ciąży stałam się bardzo wrażliwa.

– Odprowadzę Gosię i pójdę jeszcze na targ do metalowego. Kupię śruby, deski też gdzieś załatwię i zrobię półkę, żeby radio nie stało na kredensie. Chwila nieuwagi i spadnie.

Śmiejemy się oboje.

– Wyjdźcie już, bo Gosia się zapoci – mówię w końcu i wypycham ich lekko z mieszkania, zamykam drzwi i podchodzę do okna, aby popatrzeć, jak idą. Nie podoba mi się, gdy widzę, że Władek ściąga z pleców Gosi teczkę i niesie ją w rękę. Nie powinien tak jej rozpieszczać. Sąsiedzi zaczną plotkować, że źle dziecko wychowujemy. A jednak uśmiecham się, odchodząc od okna, a niech obgadują. Czy to komuś w czymś przeszkadza?

Ból przychodzi niespodziewanie. Zastaje mnie przy ścieleniu łóżek. Siadam, wyginam plecy i liczę. Ostatnio Ania kazała mi liczyć, jak długo trwa skurcz. To pomaga, przynajmniej na początku.

Eins, zwei, drei...

Mija szybko. Nie jestem pewna, czy już się zaczęło. Może tylko jeden przyszedł?

Drugi zapewnia mnie, że dziś, najdalej jutro, moje dziecko będzie na świecie.

Ale wciąż mam jeszcze dużo czasu. Poczekam, aż przyjdzie Władek i pobiegnie po akuszerkę. Wolałabym, aby to Ania odbierała poród, ale wiem, że o ósmej rano jest w pracy, będzie mogła mi pomóc najwcześniej za kilka godzin. Może zdąży.

Kolejny skurcz jest tak silny, że z krzykiem, którego nie potrafię stłumić, klękam i wbijam paznokcie w ramę łóżka.

Czwarty przychodzi, nim udaje mi się wstać. Wpadam w panikę. To wszystko dzieje się za szybko. Powinnam mieć czas. Powinnam czuć te narodziny przez wiele godzin. Dziecko musi pokonywać drogę na świat powoli, centymetr po centymetrze.

Kolejny skurcz. Nie spiesz się tak, maleńka, nie dam rady tu sama. Poczekaj.

Muszę wstać, dojść do drzwi, otworzyć je i wołać o pomoc. Przecież nie mogę, Boże, nie chcę urodzić na podłodze.

Ból rozrywa mi plecy. Gdy rodziłam Gosię, myślałam, że umieram, teraz już wiem, że to normalne. Ale ta wiedza również nie pomaga.

Dziecko chce wyjść. Nie dam rady tego powstrzymać.

– Władek, gdzie jesteś? – płaczę. – Proszę, pomóż mi.

Nagle przychodzi mi do głowy myśl, która jest silniejsza niż ból i strach. To dziecko przyjdzie na świat w dzień urodzin Stalina. Mój mąż będzie na mnie zły.

Znów krzyk, już nie wiem, czy wydobywa się ze mnie. Wczołguję się na pierzyny, których nie zdążyłam schować. Już nie myślę, już nie czuję. Wiem, że muszę urodzić. Wypchnąć je z siebie. Teraz, tutaj. Moje dziecko przychodzi na świat.

Jak przez mgłę widzę, że Władek staje w drzwiach. Jest blady jak ściana. Nie wiem, czy jest rzeczywisty, czy to tylko moje pragnienie.

– Pomóż mi – jęczę i wyciągam do niego rękę. – Przepraszam! – krzyczę i zaciskam palce na ramieniu Władka. Dyszę z wysiłku, ale wiem, że moje, nasze dziecko zaraz będzie na świecie.

– To chłopiec. – Słyszę stłumiony i odległy głos Władka. – Zosiu, mamy syna.

Nie wiem, czy zemdlałam, czy zasnęłam. Nie wiem, ile czasu minęło. Otwieram oczy. Wciąż leżę na łóżku, ale już nie na jego skraju, wczepiając palce w materac. Ktoś położył mnie na poduszkach i okrył kocem.

Obok mnie uwija się akuszerka. Czerwona na twarzy, jakby dopiero co przyszła tu z panującego na dworze mrozu. I chyba faktycznie tak jest, bo gdy mnie dotyka, czuję przenikliwe zimno jej rąk.

– Ale się pospieszyłaś – mówi do mnie. – Jak przyszłam, to już po wszystkim było. Spałaś jak kamień. Tyle co cię ułożyłam wygodnie i okryłam. Ale wszystko jest dobrze. Chłopak duży i zdrowy. I powiem ci, że jeśli twój ślubny nie kłamie, to jeszcze nigdy nie widziałam tak szybkiego porodu. To dziecko wyskoczyło z ciebie w kilka minut. Dobrze się spisałaś, dobrze. – Kobieta gładzi mnie po policzku wierzchem dłoni.

Wyciągam ręce. Chcę potrzymać mojego synka. Władek podaje mi zawiniątko. Siada przy mnie na łóżku.

– Ty jesteś niemożliwa – mówi, odgarniając mi z czoła włosy, jeszcze wilgotne od potu. – Zostawiłem cię samą tylko na pół godziny.

Mimo groźnych spojrzeń akuszerki rozwijam koc i najpierw patrzę na mojego idealnego synka, a potem zupełnie nagutkiego kładę sobie na brzuchu. Tego nauczyła mnie Ania, tak robiłam po narodzeniu Gosi.

– Zbyszek – mówię, patrząc na Władka. – Zbyszek Zaleski. Twój syn.

– Nasz syn – poprawia mnie Władek. – Silny i zdrowy.

Dopiero późnym wieczorem, gdy jest już z nami Gosia, zachwycona swoim nowiutkim bratem, i Anna, która podobnie jak akuszerka nie może uwierzyć w to, co zrobiłam, dowiaduję się, jak przebiegły chwile, których nie pamiętam.

To Władek pomógł Zbyszkowi przyjść na świat. Nie chciał zostawić mnie, gdy rodziła się Gosia, teraz nie miał wyboru. Musiał zostać. Na szczęście, kiedy wszedł do mieszkania i usłyszał moje wołanie, w pośpiechu nie zamknął drzwi wejściowych. Sąsiadkę z góry, która akurat schodziła z synami, zaniepokoiły hałasy, zajrzała i pobiegła po akuszerkę. Gdy ta przyszła, Zbyszek już płakał, a ja, czego zupełnie nie pamiętam, przeprosiłam jeszcze raz Władka, że jego syn urodził się w tak niewdzięcznym dniu, i zasnęłam z wyczerpania i z ulgi, że wszystko dobrze się zakończyło.

Teraz, siedząc w fotelu, owinięta kocem, tulę w ramionach mojego synka. Śpi, najedzony i chyba zadowolony, że jest już tutaj, z nami. Oddycha spokojnie. Ja również.

W pokoju, w którym nie pachnie stęchlizną, a ściany zamiast grzyba pokrywa świeża farba, są ze mną moi najbliżsi. Przymykając zmęczone oczy, wsłuchuję się w szepty Ani i Władka i w radosne szczebiotanie Gosi. Czy można chcieć czegoś więcej? Czy można mieć lepsze życie i przyszłość, która w końcu nie niepokoi?

Za oknem, rozświetlonym uliczną latarnią, znów zaczął padać śnieg. Miasto zrobiło się jasne i czyste.

Za kilka dni święta. Wiedząc, że lada dzień mogę urodzić, wszystko, co mogłam, przygotowałam wcześniej. Choć gdyby nie Anna, Władek i moja matka, niewiele byśmy na te święta mieli. To oni znosili mi do domu cały wystany w kolejkach towar, to Władek już kilka tygodni temu zapisał się w drukarni na „karpiową” listę. Bo choć w radiu wciąż krzyczą o karpiu na każdym świątecznym stole, z doświadczenia poprzednich lat wiem,

że wcale nie jest o niego tak łatwo. Teraz wystarczy tylko ubrać choinkę, mimo że na miejskich placach, w urzędach oraz szkołach nie stanęła ani jedna, w domach święta będą takie jak co roku. Żadna władza, żadna partia nie wymaże nam z pamięci tradycji, w której wzrastaliśmy. Będzie opłatek, sianko pod obrusem, siemieniotka i makówki, a prezenty dzieciom przyniesie Dzieciątko, a nie żaden Dziadek Mróz w srebrnym płaszczu i walonkach na nogach.

Dotykam palcem włosków Zbyszka. Są mięciutkie jak mech, jak kaczy puch. Poprawiam płócienną czapeczkę, która wciąż mu się zsuwa, gdy przekręca główkę.

Tak bardzo się cieszę, że telegram, który Władek wyśle jutro do moich sióstr, będzie dla nich jeszcze jednym, może tym najmilszym świątecznym prezentem. Obie bardzo się martwiły. Szczególnie Agnes, która chyba wciąż nie poradziła sobie z wyrzutami sumienia po tym, jak tamtego strasznego dnia wyciągnęła mnie z domu, abym razem z nią stanęła w kolejce po mięso.

Zgnietli mnie w niej razem z synkiem, którego w sobie nosiłam.

Może to z tego powodu tam, w Niemczech, w kraju, w którym ponoć dzieci rodzi się łatwiej, Agnes i Leszek wciąż nie mogą się doczekać potomka. Mam nadzieję, że teraz zniknie w niej żal, bo ja przecież nigdy go do niej nie miałam.

Telegram otrzyma także Helenka. Uśmiecham się na samo wspomnienie jej twarzy, zawsze pogodnej, jakby odległej od wszelkich ziemskich trosk. Wiem, że moim dzieciom ani nikomu z rodziny nigdy nie zabraknie modlitwy i próśb o zdrowie i dostatek.

Zbyszek śpi tak mocno, jak tylko potrafią spać noworodki. Mimo bólu, który wciąż odczuwam, wstaję z fotela i delikatnie odkładam maluszka do wiklinowego kosza. Na razie to będzie jego łóżeczko. Najwygodniejsze, najprzytulniejsze.

Podchodzę do Gosi, która już się znudziła obserwowaniem brata i teraz, siedząc przy kawowym stoliczku obok Anny i Władka, odrabia zadanie domowe. Przyglądam się, jak marszczy w skupieniu czoło, pisząc kolejne literki.

Przy maleńkim Zbyszku wydaje mi się taka duża. Jakby przez te kilka godzin z małej dziewczynki, dziecka jeszcze, stała się dorosłą panną, która lada chwila wyfrunie z domu.

Na szczęście dziś jeszcze mogę nad nią czuwać.

Oliwia
Lipiec 2006

Siedzimy w poczekalni pełnej kobiet w ciąży. Dopiero kiedy sama zaczęłam myśleć o dziecku, a potem, gdy po pół roku prób w końcu zobaczyłam na teście upragnione dwie kreski, zaczęłam dostrzegać inne ciężarne. Tak jakby nagle wszystkie wpadły na ten sam pomysł – postarać się o potomka. Nie ma dnia, żebym nie spotkała kogoś, nie rozmawiała z kobietą, która spodziewa się dziecka albo dopiero co została mamą.

Długo już czekamy, przepisowe dwadzieścia minut na pacjentkę często nie wystarcza i opóźnienie sięga teraz prawie godziny. Próbuje przeglądać gazety i leżące wszędzie broszurki.

Tyle teraz udogodnień. Jednorazowe pieluchy, mleko w proszku dla alergików, niejadków, wcześniaków, elektroniczne nianie, maty, które nocą czuwają nad oddechem dziecka. Znowu myślę o babci Zosi – jak wtedy radziły sobie kobiety? Jak udawało im się wychować dzieci, sprawić, aby były zdrowe, najedzone i szczęśliwe bez tych wszystkich cudów techniki, którymi my się otaczamy? Jeśli one dały radę, ja nie powinnam mieć żadnych problemów.

Ale to mnie nie uspokaja. Denerwuję się. Przed każdą wizytą kontrolną czuję ucisk w żołądku. Przecież zawsze może się okazać, że coś jest nie tak, że nasze dziecko nie rozwija się prawidłowo.

Aby Piotrek nie odgadł, o czym myślę, uśmiecham się najradośniej, jak potrafię.

– Może dziś się dowiemy – szepczę, bo przecież w przychodniach zawsze się szepcze, taki zwyczaj.

– A może zrobimy sobie niespodziankę – sugeruje Piotruś. – Jeśli nie wiedzieliśmy przez tyle czasu, ten miesiąc jeszcze wytrzymamy.

– I tak wiem, że będzie chłopak. To ma być tylko potwierdzenie.

Mój mąż pobłażliwie kiwa głową. Pewnie myśli, że oddałam swojemu dziecku zbyt wiele szarych komórek i teraz sama mam braki.

– Och, dobrze wiesz, że ja nie wierzę w żadne gusła – tłumaczę się. – Ale Domi cztery razy sprawdzała. Zawsze jej wychodziło, że chłopak.

Dominika Milecka to moja najlepsza i właściwie jedyna przyjaciółka. Poznałyśmy się jeszcze w liceum. Dołączyła do nas w czwartej klasie. Pochodziła z niewielkiej wsi, gdzieś obok Białegostoku, jej ojciec dostał tu robotę, więc się przenieśli.

Najpierw trudno nam było zaakceptować nową koleżankę. Popisywała się, odgrywała role, które do niej nie pasowały. Teraz wiem, że to kompleks małej miejscowości. Za wszelką cenę próbowała być modna i nowoczesna. Była inna.

Właściwie poznałyśmy się lepiej dopiero po liceum, kiedyś przypadkiem spotkałam ją na jakiejś studenckiej imprezie. Zaczęłyśmy rozmawiać. Ściągnęła maskę.

Nie pamiętam dokładnie, czy to miało miejsce już tamtego wieczoru, czy jakiś czas później, w każdym razie opowiedziała mi o swojej babci, która miał dar przewidywania przyszłości. Umiała jednym spojrzeniem w oczy odczytać to, czego nikt inny dostrzec nie

potrafił.

Domi wspomniała, że czasem ma wrażenie, że coś po babci odziedziczyła. Długo musiałam ją prosić, aby mi powróżyła. Mówiła, że przyjaciołom się tego nie robi. W końcu, gdy poznałam Piotrka i zakochałam się w nim po same uszy, zgodziła się sprawdzić, co jest nam pisane.

Sprawdziło się wszystko, łącznie z tym, że ślub zupełnie nietypowo braliśmy w styczniu. Mówiła, że nie tylko moja sukienka będzie biała, i właśnie tak było. To był najbardziej śnieżny weekend tamtej zimy.

O przewidywaniu płci dziecka nawet nie chciała słyszeć. Twierdziła, że trzeba poczekać, aż natura sa-ma zdecyduje, że nie będzie stawiała z nią w szranki. Wiem, że się bała, że nic nie zobaczy. Dopiero miesiąc temu, podczas jednego z naszych babskich wieczorów, w pewnym momencie chwyciła mnie za rękę, potarła opuszką palca moje paznokcie i powiedziała, że to będzie syn. Byłam tak zaaferowana i zaskoczona, że kazałam jej sprawdzić jeszcze raz i jeszcze raz. Odpowiedź Dominiki była zawsze taka sama. Chłopak.

Uśmiechnięta pielęgniarka w końcu wywołuje moje nazwisko. Dziś tylko USG, więc Piotr wchodzi razem ze mną.

Tym razem lekarz nie musi wiele tłumaczyć, widzę małe bijące serduszko, widzę rączki, nóżki, nosek. Spoglądam na Piotrka. On w końcu też coś dostrzega, bo oczy robią mu się szkliste. Lekarz spokojnie wykonuje konieczne pomiary. Denerwuję się bardzo, ale widok mojego dziecka na ekranie monitora i odgłos bijącego serduszka sprawiają, że cudowna jest każda mijająca chwila.

– Wszystko w najlepszym porządku. – Słowa lekarza dają mi tyle radości, że całe napięcie znika w jednej chwili. Jestem szczęśliwa. – Jeszcze miesiąc i zaczną się nieprzespane noce – śmieje się ginekolog.

– A widać w końcu, czy to on, czy ona? – pytam nieśmiało i znów serce zaczyna mi bić szybko, tym razem nie ze strachu, a z podekscytowania.

– Widać, dziś wasze dziecko przestało się wstydzić. Chcecie wiedzieć?

Zerkam na Piotrka. Kiwa głową. Już nie zależy mu na niespodziance.

– To chłopczyk, prawda? – dopytuję, pewna odpowiedzi.

– Dziewczynka. – Lekarz wpatruje się we mnie, ewidentnie chce dostrzec moją reakcję.

– Córeczka? – Naprawdę jestem zaskoczona. – Urodzę córeczkę?

Patrzę na Piotrka. Śmieje się.

– Za miesiąc będzie pani mamą dziewczynki. Wybraliście już imię?

Znów spoglądam na mojego męża. Choć nie rozmawialiśmy wcześniej o wyborze imienia, by odwlec przyjemność nadawania go dziecku, widzę, że wie, o czym myślę, i nie jestem pewna, czy podoba mu się mój wybór. Jedyny, który dziś, teraz, jest możliwy. Przypominają mi się słowa wujka Antoniego: „Czasem starzy muszą odejść, aby na świecie pojawiło się wolne miejsce na nowe życie”.

– Zofia – szepczę i już nie potrafię opanować łez. – Zosia.

Lekarz kiwa głową.

– Piękne polskie imię – komentuje mój wybór. – Zosie to fajne dziewczyny.

Chciałabym mu opowiedzieć, jak fajne. Chciałabym mu opowiedzieć o Zosi, którą znałam i kochałam, o sile, odwadze i kobiecości, które w niej były i mam nadzieję, że wraz z imieniem spłyną również na moją córeczkę. Chciałabym opowiedzieć lekarzowi o babci.

Wciąż wzruszeni i bezgranicznie szczęśliwi wychodzimy z przychodni. Zaraz obok, po drugiej stronie ulicy, rozciąga się niewielki skwer z kilkoma ławeczkami i fontanną pośrodku. Dzień jest tak piękny, że oboje bez uzgodnienia kierujemy się w tamtą stronę.

Siadamy. Opieram się o ramię Piotrka, zamykam oczy. Słońce przyjemnie ogrzewa mi twarz. Po emocjach, których doświadczyliśmy przed chwilą, czuję się senna. Gdy zdenerwowanie minęło, mam poczucie całkowitego bezpieczeństwa.

– Wiesz... – głos Piotrka dochodzi do mnie jakby z oddali, jakby zza szyby dzielącej świat snu i jawy. – To bardzo dobrze, że nawet czarownice czasem się mylą – mówi.

Późnym popołudniem, po obiedzie i po kilku telefonach z nowiną, Piotrek wychodzi do pracy. Jest fizykoterapeutą, zatrudnionym w prywatnej przychodni przy miejskim basenie. Często pracę rozpoczyna wtedy, kiedy większość ludzi już ją kończy. Nie ma co narzekać, przecież najważniejsze jest to, że obojgu nam udało się znaleźć zatrudnienie w wyuczonym zawodzie. Robimy coś, co nas interesuje i sprawia przyjemność, nie wszyscy mają takie szczęście. Teraz, gdy urodzi się dziecko, i tak o wieczornych wyjściach możemy na jakiś czas zapomnieć, więc jest mi obojętne, czy Piotr będzie z nami w domu rano czy po południu. Zdecydowaliśmy, że ja zostanę w domu z Zosią, przynajmniej na jakiś czas. Za kilka miesięcy dogadam się z szefem, abym mogła pracować wyłącznie rano. Będzie dobrze. Są jeszcze mama i teściowa, obie nie mogą się już doczekać nowego członka rodziny.

Dziś jednak jeszcze nie chcę siedzieć w domu, szczególnie że po przeżyciach poranka jest we mnie mnóstwo emocji i nadmiar energii. Powinnam trochę się uspokoić.

Już nawet się nie zastanawiam, dlaczego idę właśnie tam. Od śmierci babci każdy mój spacer kończy się właśnie tutaj, w mieszkanku Zofii. Pochylona nad pudełkami wypełnionymi paletą wspomnień układam sobie jej przeszłość, swoją przeszłość. Dokumentuję to, co znam z opowieści. Dziś na kolanach leżą wycinki z gazet. Dziadek wycinał i chował do koperty to, co uznał za warte pozostawienia. Miał wycucie. Przecież był drukarzem.

Zosia
Marzec 1953

– Już wróciłeś? Musiałam przysnąć przy karmieniu. – Nieprzytomnie patrzę na Władka, który stoi przede mną, a potem zerkam na Zbyszka leżącego w moich ramionach. Śpi. W końcu. Wiem, że sama nie powinnam usypiać z dzieckiem na rękach, wiem, że to niebezpieczne, bo choć fotel, na którym siadam, karmiąc, nie jest wysoki, gdyby mały wysunął mi się z rąk i spadł, mogłoby dojść do nieszczęścia. Wiem to, ale tak trudno jest opanować zmęczenie, kiedy synek budzi mnie co dwie godziny, równo jak w zegarku. Jest wiecznie głodny i rośnie jak na drożdżach. Powinnam się cieszyć, że tym razem mam dostatecznie dużo pokarmu, ale skrycie marzę, aby móc zacząć karmić butelką.

Pamiętam, że tak karmiona Gosia zaczęła przesypiać całe noce. Wiem, że jeszcze za wcześnie, Zbyszek jest jeszcze za mały, poza tym boję się, że on też może źle znosić krowie mleko. Pamiętam koszmarne biegunki Gosi i pamiętam, z jakim trudem zdobywaliśmy kozie mleko. Dam radę. Córka tak dzielnie mi pomaga. Najważniejsze jest przecież zdrowie dzieci.

– Wróciłem tylko na dwie godziny, o siódmej muszę być z powrotem. Nie wiem, czy opłaca się spać.

Władek pochyla się i głaszcze Zbyszka po policzku. Chciałabym go ofuknąć, żeby nie dotykał dziecka ręką brudną od smaru, którym pokryte są części drukarskich maszyn, nie robię tego jednak, widzę, że jest zdenerwowany.

– Co się stało? – pytam, wstając.

Władek nic nie odpowiada, czeka, aż odłożę Zbyszka do koszyka, bierze mnie za rękę i prowadzi do kuchni. Nastawia radio.

– Powinni już coś podawać – mówi i próbuje znaleźć stację. Na większości słychać tylko jakieś zgrzyty.

– Powiedz, co się dzieje – proszę.

Jestem coraz bardziej zaniepokojona. Radio nie kojarzy mi się z dobrymi wiadomościami. To ta skrzynka rozpoczęła wojnę w naszym domu, to przez nią byłam przesłuchiwana przez Gestapo, bo jeden z pszczyńskich podopiecznych wydziału opieki społecznej, w którym pracowałam podczas wojny, słuchał zakazanej audycji, a ja na niego nie doniosłam.

Odganiam złe wspomnienia, przez lata nauczyłam się pozbywać ich bardzo szybko, ale tym razem niepokój pozostaje.

– Co się dzieje? – pytam znowu i łapię Władka za rękę, aby w końcu przestał kręcić gałką radia i na mnie spojrzał.

– Stalin nie żyje.

– Co? – zadaję głupie pytanie, bo przecież doskonale usłyszałam. Poza tym doniesienia o chorobie wodza krążyły już od kilku dni.

– W końcu trafił go szlag. – Władek mówi ostro i głośno.

Zakrywam mu usta.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

– Kilka godzin temu radio moskiewskie to podało. Już się drukują gazety, o siódmej wszyscy będą wiedzieć, chyba że tu powiedzą wcześniej.

Teraz i ja nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Józef Stalin, ojciec naszego narodu, kojarzy mi się jedynie z Agnes zgwałconą w czterdziestym piątym i z głodem, strachem, piwnicą, w której mieszkaliśmy z Władkiem przez kilka lat. Józef Stalin nie był dla mnie człowiekiem, dlatego mogę się cieszyć, że umarł, mogę dziękować za to Bogu.

– I co teraz będzie? – pytam.

Prawie natychmiast do ulgi dołącza lęk. Przecież po nim może przyjść ktoś jeszcze gorszy.

– Nie wiem, Zosiu. Ale nas przecież nic nie złamie. – Władek przytyka mnie lekko palcem w nos. Mam się przestać martwić. – Muszę zaraz wracać, wszyscy są postawieni w stan najwyższej gotowości. Wiesz, co by się stało, gdyby teraz nawaliła jakaś maszyna?

– To prześpij się choć trochę. Nie możesz być zmęczony. Obudzę cię za godzinę. Ugotuję kielbasę i jajka, weźmiesz do pracy. – Próbuję ogarnąć to, na co mam jakiś wpływ. Za co mogę być odpowiedzialna.

Władek, zamiast mnie posłuchać, znów pochyla się nad radiem.

– Nie warto spać, zrób mi śniadanie, a ja jeszcze poszukam.

Wzdycham ciężko, choć dobrze wiem, że mój mąż jest zbyt rozgorączkowany nowiną, którą się ze mną podzielił. I tak nie zaśnie.

Radio rzezi jeszcze długo, aż w końcu, właśnie gdy wykładam Władkowi kielbasę na talerz, ponury i smutny głos komentatora informuje o tragicznym wydarzeniu.

Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że serce i mnie zatrzymuje się na kilka chwil. Widelec wyślizguje się z ręki i wpada do garnka. Gorąca woda ochlapuje mi dłonie. Nagły ból otrzeźwia. Stawiam przed zasłuchanym Władkiem talerz i wychodzę z kuchni. Idę do pokoju, w którym śpią Gosia i Zbyszek.

Długo przyglądam się, jak równo i spokojnie oddychają. Zupełnie nieświadomi tego, jak dziwne dni nas teraz czekają. Wszyscy będziemy płakać. Nie wiadomo tylko, kto ze smutku, a kto ze szczęścia.

– Co się stało? – pytam, bo, wchodząc do pokoju, widzę, że moje dziecko siedzi przy stole ze zwieszoną nisko główką i pociera piąstkami oczy. Wokół niej rozłożone są książki i zeszyty. – Nie potrafisz się czegoś nauczyć?

Gosia zaprzecza. Siadam przy niej.

– To o co chodzi, kochanie?

– Bo to takie smutne, mamusiu – szłocha mała.

Dopiero teraz zerkam na zeszyt, który przed nią leży. Na otwartej stronie wklejony jest kawałek kartki z pięknie wykaligrafowanymi zdaniami:

I jeżeli wam, dzieciom Polski Ludowej, smutno jest dzisiaj, że umarł Stalin, nasz najlepszy przyjaciel – to pomyślcie o tym, jak ciężko jest dzieciom radzieckim, które znały Stalina nie z portretu i nie z opowiadania. Dla nich Stalin był bliskim, drogim człowiekiem, drogim jak ojciec[6].

– Pani Siwczyk wam to wkleiła?

Gosia znów kręci główką.

– Dyrektor sam rozdawał po akademii – odpowiada, łkając. – Mówił, że jeśli ktoś

nie płacze i nie jest smutny, to znaczy, że jest bardzo złym człowiekiem.

– A ty tak naprawdę nie jesteś smutna?

Na tyle znam swoją córkę, że zaczynam rozumieć, skąd jej łzy.

– Nie. – Gosia pochyla głowę. Łzy kapią na zeszyt. To dobrze.

– Więc dlaczego płaczesz?

– Właśnie dlatego, że nie jest mi smutno.

Odwracam głowę, udając, że kaszlę. Gosia nie powinna zobaczyć mojego rozbawienia.

– Nie przejmuj się, nie wszyscy muszą czuć tak samo. Zresztą trudno smucić się z powodu śmierci kogoś, kogo nie znałaś. Nawet jeśli był wielki. Pamiętasz pogrzeb babci?

Gosia kiwa głową.

– Wtedy płakałaś i naprawdę było ci smutno.

Gosia podnosi główkę, patrzy na mnie, a potem mocno obejmuje za szyję.

Cieszę się, że Władka nie ma. Są sprawy, w których jest taki zasadniczy i zupełnie niezyciowy. Jeśli buntował się, gdy zakładałam Małgosi najładniejszą sukienkę na akademię z okazji urodzin wodza, to co dopiero powiedziałby, gdyby zobaczył ten wpis w zeszytce i gdyby słyszał, jak wczoraj przez wiele godzin uczyliśmy się wiersza wychwalającego dokonania Stalina. Dziś Gosia recytowała go na akademii żałobnej.

Wiem, że to niemądre, ale ze względu na wychowawczynię córki i moje wspomnienia z nią związane bardzo chcę, aby Gosia była zawsze dobrze przygotowana do zajęć i aby na wywiadówkach, na które jednak najczęściej chodzę ja, była chwalona za dobre wyniki. Nie wiem, czy Siwczykowa mnie rozpoznała. Nigdy ani słowem się nie zająknęła o naszej znajomości. Na wszelki wypadek chcę jednak pokazać, że moją rodzinę można również chwalić, nie tylko bić po palcach. Dlatego z takim mozołem pomagam Gosi w odrabianiu zadań domowych, choć tak naprawdę nie wiem, kto kogo uczy. Wstydzę się tego, że czasem nie umiem zrozumieć, co jest napisane w podręczniku córki. Od tylu lat mówię tylko po polsku, czytam gazety, słucham radia, ale wciąż nie znam znaczenia wielu słów. Język, którym tak pięknie posługuje się moje dziecko, dla mnie wciąż jest nieodkryty i trudny. Zbyt trudny. Dlatego wypracowania z języka polskiego zawsze podrzucamy Władkowi. To on poprawia błędy.

Chyba telepatycznie przywołuję męża, bo nie mija kilka minut i słyszemy, jak drzwi wejściowe otwierają się gwałtownie. Wychodzę z pokoju Gosi. Władek wiesza kurtkę na garderobie[7]. Patrzę na jego twarz odbijającą się w lustrze. Cały jest jak gradowa chmura.

– Co się znów stało? – Ostatnio zbyt często zadaję to pytanie.

– Katowice już nie istnieją.

Zamieram w pół kroku. Przed oczami pojawia się dawno niewidziana scena. Wyczerpana, z wysoką gorączką, przekradam się przez las, którym próbuję dojść do domu. Jest styczeń 1945 roku. Patrzę na ognistą łunę unoszącą się nad Katowicami. Miasto płonie.

Teraz znów widzę ten ogień trawiący Katowice. Jaka tragedia miała tam miejsce, że całe miasto przestało istnieć? Dlaczego nie dotarły do mnie odgłosy tego dramatu?

– Jak to nie istnieją? Co ty mówisz?

– Nie ma! – Władek krzyczy. – Znikły. Wymazali je.

Rozumiem coraz mniej. Boję się, że podniesione głosy obudzą Zbyszka i zamiast porozmawiać będę musiała iść go uspokoić i pewnie nakarmić. Podchodzę krok bliżej i biorę Władka za rękę.

– Powiedz – proszę.

– Nie ma już Katowic, jest Stalinogród.

Władek mówi cicho, trudno go zrozumieć.

– Stalinogród? – powtarzam zdziwiona.

Przeżyłam już zmiany nazw miast. Kiedyś mieszkałam w Królewskiej Hucie, potem w Königshütte, teraz mieszkam w Chorzowie, ale takich zmian nawet Niemcy nie dokonywali w jednej chwili; najpierw chodziły plotki, pogłoski, dopiero potem wydawano dekrety, ludzie się przyzwyczajali. Zresztą wtedy była wojna, okupant zmieniał nazwy, a potem przyszło wyzwolenie i patroni ulic stawali się wrogami. Rozumiałam to. Ale teraz? Kto zaakceptuje taką zmianę?

– Ludzie się nie zgodzą – próbuję uspokoić Władka.

Wzdycha ciężko.

– Zosiu, nikt nie będzie pytał ludzi o zdanie. Zresztą jestem pewien, że oficjalnie to jest właśnie wola ludu. Sami tej zmiany chcieliśmy.

– Zrobi się straszny bałagan.

– A co ich to obchodzi? Banda sługusów. Gdyby Moskwa kazała zmienić nazwy wszystkich miast, zrobiliby to.

Kątem oka dostrzegam główkę Gosi wychylającą się zza drzwi. Nie mam pewności, jak długo przysłuchiwała się naszej rozmowie. Ile z niej zrozumiała.

Rzucam Władkowi ostrzegawcze spojrzenie, chcę, aby przestał. Odwraca się.

– Co słyhać? Co w szkole? – pyta, podchodząc do córki.

– Wszystko dobrze, pani pochwaliła mnie, że szybko liczę.

Gosia przytula się do Władka i patrzy na mnie znad jego ramienia. Mała mądrała doskonale wie, że o kartce wklejonej do zeszytu nie powinna mu mówić. Po co dolewać oliwy do ognia?

We trójkę wchodzimy do sypialni. Tutaj śpi Zbyszek. O dziwo, nasze głośne rozmowy go nie obudziły. Pochylam się nad koszykiem, który już lada dzień będziemy musieli zamienić na czekające na strychu łóżeczko. Zbyszek już dawno przestał być noworodkiem. Patrzę, jak uśmiecha się przez sen do aniołków. Nierozumienie dorosłego świata to przywilej małych dzieci, ale Gosia nie jest już mała, oboje musimy o tym pamiętać.

– Na pewno wiesz, że nie wszystko, co mówimy w domu, można powtórzyć w szkole.

Przechodzi mnie dreszcz. Robi mi się gorąco, a ułamek sekundy potem – lodowato.

Odwracam się od Zbyszka. Na fotelu przy piecu siedzi Władek z Gosią na kolanach. Mała patrzy na ojca szeroko otwartymi oczami, jest podekscytowana.

– Na przykład czego nie wolno, tatusiu? Tego, że nie lubiłeś tego pana, który umarł? Znów oblewa mnie fala gorąca.

– Na przykład tego, Gosiu, dokładnie tego. – Władek wydaje się niewytracony z równowagi.

– Ale dlaczego go nie lubisz? W szkole mówili, że był jak dobry tata. Że nas kochał i że wszystkim jest dziś smutno.

– Nie wszystkim.

– Wiem, już mama mi to tłumaczyła.

Władek zerka na mnie. Boję się, że ta rozmowa idzie w fatalnym kierunku, że jest zupełnie niepotrzebna. Przecież jeśli dziecku czegoś się zakaze, dokładnie w tej samej chwili zaczyna odczuwać chęć złamania zakazu. Czy Władek tego nie wie? Czy nie pamięta?

Przypominam sobie rozmowę z Anną sprzed kilku lat. Siedząc na parkowej ławeczce, opowiedziała mi, jak zakatowali jej męża w obozie na Zgodzie. Pamiętam, jak potem, patrząc na Ignasia i siedzącą w wózku maleńką Gosię, powiedziała, że jeszcze długo, a może nigdy nie będziemy mogli mówić o tym dzieciom. Dla ich i naszego własnego bezpieczeństwa lepiej będzie milczeć, udawać, że się nie pamięta. A dziś oboje próbujemy mówić, tłumaczyć siedmioletniej Gosi coś, czego nawet my do końca nie rozumiemy. Bo jak zrozumieć rozdarcie między tym, co się przeżyło, a tym, co twierdzą wokół? Władek wciąż przypomina mi o bliznach, które na sobie nosimy i o tych jeszcze gorszych – niewidocznych na skórze. Gosia, Ignas i tysiące innych dzieci żyją w świecie, w którym szare i brzydkie uznaje się za kolorowe i dobre. Wymazano dni, tygodnie, lata, narysowano inny świat. Może powinniśmy pozwolić im w niego wierzyć, może powinniśmy milczeć. Czy mamy jakieś dowody, aby uwierzyły, że było inaczej?

Czuję, że znów jestem pośrodku. Między pragnieniem szczęścia córki a nocami, w których nadal zbyt często miewam koszmarne sny. A teraz dojdzie jeszcze strach o to, co po rozmowach dorosłych może się zrodzić w główce dziecka.

Oliwia
Lipiec 2006

Tak bardzo drżą mi ręce, że ledwie potrafię nacisnąć przycisk telefonu, który połączy mnie z Piotrkim.

– Cześć, co słychać?

Wesoły głos mojego męża sprawia, że zaczynam szlochać.

– Oliwka, co się dzieje? Co ci jest? – wystraszony Piotrek krzyczy do aparatu, a ja nie umiem wydobyć z siebie głosu.

– Był... był u nas Konarski i...

– Kim jest Konarski? Oliwka, mów.

– Od Konarskiego wynajmujemy mieszkanie, zapomniałeś? No i on nam je dziś wymówił. Mamy miesiąc na wyprowadzenie się – wyrzucam z siebie i znów zaczynam płakać.

Słyszę głośnie westchnienie w słuchawce. Wiem, że to odgłos ulgi.

– Aleś mnie wystraszyła, myślałem, że coś złego się stało.

– A to nie jest złe? – Nie rozumiem, dlaczego Piotr się nie przejął.

– Coś złego z wami. Z tobą i dzieckiem.

– Piotrek! – krzyczę. – Nie mamy gdzie mieszkać. Zosia urodzi się pod mostem – dodaję, nieco dramatyzując.

– Dlaczego wymówił? – Piotrek pyta już ciut bardziej zaniepokojony.

– Ponoć jakaś jego siostrzenica zaczyna tutaj studia, szukała innego mieszkania, ale wszędzie koszmarnie drogo, więc razem z koleżanką zamieszkają tutaj.

– A umowa?

Wzruszam ramionami, choć Piotrek nie może tego dostrzec. Tego też nie pamięta? Tak się cieszyliśmy małym czynszem, że zgodziliśmy się na niepodpisywanie umowy. To znaczy umowa była ustna. Każda ze stron miała mieć miesiąc na wypowiedzenie. No i bądź co bądź Konarski tego miesiąca się trzyma. Tylko dlaczego akurat teraz, gdy ma się urodzić dziecko. Mieszkanie wynajmujemy od kilku lat i nigdy nie było najmniejszych problemów. Konarski w ogóle się do nas nie wtrącał. Co miesiąc przelewałam mu czynsz na konto, regularnie jak w zegarku. Był zadowolony. My też. Dziś, gdy przyszedł, sam był zakłopotany. Mówił, że musimy go zrozumieć, że to rodzinne sprawy i nie ma wyjścia.

– Oliwko, spokojnie, przyjadę z pracy za dwie godziny i pomyślimy. Przede wszystkim nie denerwuj się. Może uda się jeszcze jakoś z nim dogadać – uspokaja Piotrek i rozłącza się. Nie może długo rozmawiać, kiedy jest w pracy.

Odkładam telefon na półkę w przedpokoju i wchodzę do maleńkiego pokoiku naprzeciw kuchni. To tu miała zamieszkać Zosia. Mebelki kupiliśmy zaledwie kilka dni temu, są białe, jedynie na samym dole drzwiczek szafy i na najniższej szufladzie komody biegną różnokolorowe paski. Łóżeczko ustawiliśmy dalej od okna, aby na nie nie wiało. Obok stanął przewijak z ceratką w misie. Są kolorowe obrazki na ścianie i zdjęcia moje i Piotrka z czasów, gdy mieliśmy zaledwie kilka miesięcy. Nie potrafię sobie wyobrazić,

gdzie to wszystko przeniesiemy, gdzie teraz znajdziemy miejsce dla Zosi i dla nas.

Gdy wraca Piotruś, omawiamy wszystko jeszcze raz, ale obojętnie jak długo byśmy rozmawiali o tym, co się dziś wydarzyło, wiem, że wyprowadzka jest nieunikniona.

– Miesiąc to dużo czasu – pociesza mnie mąż, stawiając na stoliku kubki z herbatą.
– Poradzimy sobie.

– Ale wyobrażasz sobie przeprowadzkę teraz? Albo z kilkudniowym niemowlakiem, jeśli nie zdążymy przed porodem? Przecież za miesiąc mała może być już na świecie.

Chowam twarz w dłoniach.

– Nigdy nie lubiłaś tego mieszkania.

– Nie lubiłam osiedla, mieszkanie było nasze, dopieszczone, oswojone, dobrze się tu czułam i Zosia dobrze by się czuła. Nie mam teraz sił na zmiany, na przyzwyczajanie się do nowego, obcego.

– Oliwko, nic na to nie poradzę.

Podnoszę głowę i zerkam na Piotrka. Stoi nade mną z opuszczonymi ramionami. Osowiały. Bezradny. Dopiero teraz udaje mi się zobaczyć coś poza moimi własnymi obawami i buntem przeciwko temu, co się dzieje. On przecież też się przejmuje. Stara się zachować spokój, choć martwi się nie tylko koniecznością przeprowadzki, ale i moim nastrojem.

Uśmiecham się, mimo że wcale nie przychodzi mi to z łatwością.

– Jutro zacznę czegoś szukać – mówię, chcąc pokazać Piotrkowi, że nie będę jedynie narzekała. – Może rodzice kogoś znają, coś załatwią na szybko, albo Domi. Tak, przecież Domi pracuje teraz w firmie, która buduje nowe bloki w Katowicach.

Może już nie wynajmować? Może w końcu się odważyć, wziąć kredyt i kupić własne, z którego nikt nas nie wyrzuci.

Piotrek siada obok mnie. Przez chwilę milczymy oboje, małymi łykami pijąc gorącą herbatę.

– Pamiętasz, opowiadałaś mi kiedyś o tym, jak twoich dziadków wyrzucono z mieszkania. Mieli kilka godzin na przeprowadzkę.

– Babcia też była wtedy w ciąży – przypominam sobie. – Choć jeszcze o tym nie wiedziała. A nowe mieszkanie było norą z oknami tuż nad chodnikiem. Bez słońca i z grzybem na ścianach. Popatrz, historia się powtarza.

– Oliwko, my nie przeprowadzimy się do suteryny. Obiecuję.

Śmieję się. Przy Piotrku nawet złe rzeczy stają się łatwiejsze.

– Znajdziemy coś ładnego, prawda?

– Znajdziemy mieszkanie, w którym będziemy mogli spędzić długie lata. Miejsce, które pokochamy.

Myśl, która zupełnie niespodziewanie pojawia się w mojej głowie, jest tak niedorzeczna, że nie potrafię się oprzeć pokusie wypowiedzenia jej głośno.

– Chciałabym tam zamieszkać.

– W mieszkaniu po twojej babci? – Piotrek bezbłędnie odgaduje to, o czym myślę, i nie wydaje się zaskoczony. – Szkoda, że to tylko jedna izba.

Unoszę głowę i patrzę zdziwiona na mojego męża, liczyłam, że mnie wyśmieje, że

popuka się palcem w czoło. Jego reakcja jest zupełnie inna.

– Przecież wiem, że tam chodzisz.

Oblewam się rumieńcem. Rozszyfrował mnie, odkrył moją tajemnicę.

– Szkoda, że się nie pomieścimy – mówię cicho. – Dobrze się tam czuję.

Piotrek głaszcze mnie po włosach. Lubię, gdy wsuwa palce pomiędzy kosmyki, przeczesaując je. Mam gęsią skórkę.

– Ja też. To mieszkanie i te domy mają coś, co wiąże, szkoda będzie sprzedać to wszystko.

Robi się smutno. Chyba nie tylko mnie.

– Nawet nie miałabyś gdzie postawić łóżeczka – przypomina Piotrek, tak jakby sam sobie wybijał coś z głowy.

Postanawiam, że następnym razem zabiorę go do babcinego mieszkania. Tak samo jak ja, on też ma prawo się pożegnać z tym miejscem. Zabierzemy wszystkie zamknięte w pudłach wspomnienia i postaramy się nie oglądać za siebie.

– Musimy jeszcze znaleźć tę butelkę.

– Jaką butelkę?

– Z biedą – odpowiadam.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że moje myśli zmieniły się w słowa.

– Mama na pewno nie zabrała jej z domu babci. Wciąż nie potrafi tam wejść. Wujek Zbyszek tym bardziej tego nie zrobił. Musi być wciąż w mieszkaniu. Pójdziemy po nią.

– Po co tu stoi ta wódka? To już chyba jest za stare, aby wypić.

Gosia klęczy na kuchennej podłodze i w szafce pod oknem szuka starego, wyszczerbionego talerza, na którym co roku farbujemy jajka na Wielkanoc. Nie pamiętam, gdzie go włożyłam podczas wypakowywania naczyń po przeprowadzce. Talerz jest cały pokryty różnokolorowymi plamami. To farba drukarska. Władek przynosi ją z pracy.

Do talerza wlewamy wodę, łyżeczką dodajemy różne kolory farby. Unosi się na powierzchni jak olej. Potem po talerzu turlamy jajka, najlepiej białe, choć takie trudno dostać. Farba odbija się na skorupce, tworząc nieregularne wzory. Takie pisanki wyglądają przepięknie. Baśniowo, jak to mówi Małgosia. Co racja, to racja, takie jajeczka, choć niejadalne, pięknie prezentują się w koszyku ze święconką. Co roku widzę, jak Małgosia odkrywa białą chusteczkę, gdy tylko wychodzi z sieni. A niech się chwali. Niech inni zagląдают.

Jestem tak zajęta wypakowywaniem zakupów i wciąż zażenowana przygodą, która zdarzyła mi się w autobusie, że dopiero po dłuższej chwili docierają do mnie słowa Gosi.

Błyskawicznie schylam się i łapię córkę za rękę, w której trzyma starą, oblepioną kurzem butelkę.

– Zostaw to – mówię chyba zbyt ostro, bo oczy Gosi otwierają się szeroko. – To nie jest wódka.

– A co to jest? – pyta nieśmiało, gdy wyciągam z jej ręki znalezione.

Ma prawo nie wiedzieć. Butelka dotychczas stała poza zasięgiem jej rąk i wzroku. W najwyższej szafce byfyju. Ale w ubiegłym tygodniu, gdy układałam stojące obok naczynia, sama omal jej nie stłukłam. Przeniosłam ją więc w najgłębszy kąt szafki pod oknem. Myślałam, że tam będzie sobie spokojnie stała, w chłodzie i cieniu. Dziś w całym przedświątecznym zamieszaniu kazałam szukać Gosi talerza właśnie tam. Zupełnie zapomniałam o butelce z biedą.

– Mamusiu, co to jest? – dąży Małgosia.

– Bieda – mówię krótko i z ciężkim westchnieniem siadam na krześle. – Bieda i wszystkie nasze nieszczęścia. Twój tata złapał je w pułapkę.

– Jak to? – Gosia się śmieje. – Mamusiu, to niemożliwe.

Przyciągam córeczkę do siebie, przytulam czoło do jej czoła.

– Pamiętasz, opowiadałam ci, jak było, zanim się urodziłaś? Dawno, dawno temu.

– Wtedy, gdy szłaś z dziadkiem pół dnia po ziemniaki, bo nie mieliście co jeść?

– Tak, i potem, gdy tata wrócił z wojny, i gdy kazano nam się wyprowadzić z naszego ładnego mieszkania, tam na starych domach, obok babci i Antka.

– Tamto, gdzie mieszkaliśmy, też było ładne.

Wiem, że Gosia naprawdę tak myśli. Cieszę się, że nawet w suterynie, z oknami na wysokości ludzkich kolan, jej dzieciństwo było szczęśliwe. Nie pamięta smrodu stęchlizny, nie pamięta wiecznie ochlapanych błotem okien. A może pamięta, tylko dla

kilkuletniego dziecka to nie jest powód ani do złości, ani do smutku.

– W dniu, w którym musieliśmy się wyprowadzić – ciągnę swoją opowieść – tata nie chciał wypić tego, co jest w środku butelki.

– Wódki?

– Tak, Małgosiu. Zamknął szczelnie butelkę i powiedział mi, że w środku siedzi bieda i że nie możemy jej otwierać, aby znów nie wylazła.

Widzę, jak oczy Gosi z przejęcia robią się okrągłe niczym spodeczki. Policzki czerwienieją rumieńcem.

– I co, nie otworzyłaś?

– Nie. Nigdy. I musimy też pilnować, aby butelka się nie rozbiła.

Gosia kiwa głową.

– Ale popatrz, mammo, wódki jest mniej. Ktoś jednak trochę wypił.

– Nie, wódka wyparowała. Kiedyś zniknie całkiem.

– I wtedy już nigdy nie będzie biedy! – Gosia krzyczy głośno i tupie nogą dla większego efektu.

– Nie będzie – wtóruję jej. A potem schylam się i delikatnie chowam biedę z powrotem w kąt szafki. Myślę, ile lat musi minąć, aby w środku nie zostało już nic. Kilka, kilkadziesiąt, kilkaset?

Rozmowa z córką odrobinę poprawia mi nastrój, przypomina, że dzisiejsza katastrofa wcale katastrofą nie była i że tak naprawdę to, co się wydarzyło, nie ma żadnego znaczenia. W sumie cała historia była nawet zabawna, choć wstydu, którego się najadłam, długo nie zapomnę.

Dziś Gosia skończyła lekcje wyjątkowo wcześnie, więc gdy tylko odebrałam ją ze szkoły, pojechaliśmy na halę targową. Niższe ceny i dużo większy wybór sprawiają, że od czasu do czasu decyduję się na taką wyprawę. Co prawda krążą też plotki o kotach sprzedawanych tu jako króliki, ale to bzdury, przecież każdy, kto kiedykolwiek jadł królika albo widział kota, zaraz by się połapał.

Zbyszek był wyjątkowo grzeczny. Szedł z Gosią za rączkę lub siedział w wózku, który przezornie zabrałam ze sobą, i jadł kupionego przeze mnie rogała.

Choć na hali było mnóstwo ludzi, szybko udało mi się kupić to, po co przyjechałam. Kawał wołowiny na rolady, wątróbkę na pasztet i wiejską kiełbasę, aby włożyć do koszyczka ze święconką. Już mieliśmy wychodzić, gdy zauważyłam, że sprzedawczyni na jednym ze stoisk wyciąga na ladę miskę z kurzymi łapkami. Nie zastanawiałam się długo. Władek uwielbia galaretkę na kurzych nóżkach. W sklepach leżą zazwyczaj pomarszczone i żółte, kupowane jedynie przez najbiedniejszych. Te tutaj był świeże. Wyglądały smakowicie, choć chyba tylko ja tak uważałam, bo Gośka wykrzywiła buzię w grymasie obrzydzenia i zaczęła szeptać coś Zbyszkowi do uszka, podczas gdy kobieta pakowała moją zdobycz w papier.

Wychodząc z hali, miałam dwie pełne torby i byłam niezwykle szczęśliwa, że zabrałam ze sobą wózek. Zbyszek, nadal w doskonałym humorze, dreptał obok Gosi, a ja zamiast dźwigać ciężary, mogłam je wieźć.

To miał być taki udany dzień. I był – do momentu, w którym wsiedliśmy do autobusu. Był pełny. Ludzie patrzyli na mnie nieprzyjaźnie, gdy zaczęłam wpychać

wózek, dzieci i siebie. Musieli się stłoczyć jeszcze bardziej, aby zrobić mi miejsce. Nie chciałam wyciągać z wózka toreb z zakupami, więc wzięłam Zbyszka na rękę. Nie spodobało mu się to. Zaczął płakać. Im dłużej go trzymałam, tym głośniejsze było jego płaczenie. Na nic zdały się prośby i groźby. Ludzie burczeli pod nosem. Słyszałam coraz ostrzejsze komentarze. Kierowca hamował i ruszał gwałtownie. Z trudem zachowywałam równowagę, próbując jednocześnie utrzymać na rękach rozpaczające dziecko. W końcu stwierdziłam, że prościej będzie wpakować synka do wózka i trzymać w ręku torby. Kazałam Gosi wyjąć zakupy z wózka. Córka, sama chyba trochę zawstydzona zamieszaniem wokół nas, błyskawicznie zaczęła wykonywać polecenie. Już po chwili synek siedział w wózku i wydawało się, że to miejsce podoba mu się bardziej, bo jego płacz natychmiast przycichł. Teraz wystarczyło tylko zabrać ciężkie torby z rąk Gosi. Dokładnie w chwili, gdy zamierzałam to zrobić, autobus znów gwałtownie zahamował. Wpadłam na mężczyznę stojącego za mną, Gosia na mnie. Jedna z toreb wysunęła jej się z ręki, poleciała w górę, a potem, ślizgając się po plecach i nogach pasażerów, upadła na podłogę. Z siatki wysypało się to, co było na samym wierzchu. Zawinięty w szary papier kilogram kurzych łapek. Prawie natychmiast poślizgnęła się na nich jakaś pani w butach na koturnie. Ktoś zaczął się śmiać, ktoś inny skomentował, że prawdziwa szkoda takich rarytasów.

Czułam, jak płonę ze wstydu. Rzuciłam się na podłogę. Gosia ze mną. O dziwo, nagle wokół nas zrobiło się całkiem sporo miejsca. Chaotycznie wrzucałyśmy do torby kurcze łapki. Autobus cały czas jechał, więc co chwilę traciłyśmy równowagę, objijając się o któregoś z pasażerów. Czułam, jak cała lepię się od nóżek, potu i brudu.

– Chodź – prawie krzyknęłam, gdy autobus w końcu zatrzymał się na przystanku.

– To nie nasz przystanek, mamó – próbowała protestować Gosia. Miała rację, do domu miałyśmy jeszcze kawał drogi.

– Chodź – powtórzyłam i zaczęłam wypychać wózek z autobusu.

Odetchnęłam, dopiero gdy odjechał, a my zostałyśmy na chodniku.

– Boże, żeby tylko nie jechał w nim ktoś, kogo znamy – szepnęłam, próbując doprowadzić do porządku spódnice. – Taki wstyd.

– Dlaczego, mamusiu?

– Gdyby to było wołowe albo chociaż kiełbasa – mówiłam dalej, bardziej do siebie niż do niej.

Gosia spojrzała na mnie zdziwiona i wzruszyła ramionami. Wiem, że nic nie zrozumiała.

Jeszcze tak niewiele wie o życiu.

Oliwia
Lipiec 2006

Całkiem niedawno myślałam, że ostatni miesiąc ciąży spędzę na uzupełnianiu wyprawki dla Zosi i przeglądaniu kupionej w Empiku książki o opiece nad niemowlęciem. Spokój i odpoczynek aż do rozwiązania. Marzyło mi się również uszycie patchworkowego kocyka dla córeczki, bo choć nigdy nie miałam specjalnej cierpliwości do szycia, to, odkąd pamiętam, obsługa starej babcinej singerki przychodziła mi z niezwykłą łatwością. To babcia nauczyła mnie pierwszych ściegów, to z nią kroiliśmy materiały, naszywałam łaty na dziury w moich spodniach. Ręcznie cerowałam podarte rajstopy. Chcąc nie chcąc, odziedziczyłam talent krawiecki, a właśnie teraz nasza mnie ochota, aby to wykorzystać.

Zamiast tego w laptopie opartym na brzuchu wyszukuję oferty wynajmu mieszkania. Nie wiem, która to już strona z propozycjami biur nieruchomości, nie wiem, który z polecanych kontaktów. Nic nie jest dla nas odpowiednie.

Po kilkudniowym przyplywie energii znów dopada mnie przygnębienie. Dziś rano spotkałam się z Domi. Do kawiarni, w której się umówiliśmy, przyniosła całą teczkę plików, folderów i informatorów.

– Dla was idealne byłoby mieszkanie w blokach, które budujemy naprzeciwko parku. Same młode małżeństwa z dziećmi tam kupują. Zobacz. Tu blok, a tu park. Rachciach i jesteś z Zofią na spacerze.

– Chyba nie chciałabym mieszkać w takim żłobku – odpowiedziałam bez chwili namysłu, mając przed oczami stada wózków na korytarzu i płacz dzieci dobiegający z otwartych okien. Jakoś nie potrafię wyobrazić sobie siebie na pogaduszkach z innymi mamami i wspólnych spacerach po parku.

– No, chyba nie chciałabyś – przyznała mi rację Domi. – To może te tutaj. – Podsunęła mi kolejny folder. – Ale te są koło cmentarza – dodała przyciszonym głosem, jakby powierzała mi sekret.

– Mogłabym jeździć na cmentarz na spacerze – komentuję pół żartem, pół serio.

Domi pokiwała głową.

– Miałabyś tam spokój. Uwielbiam cmentarze. Nie ma lepszego miejsca do rozmyślań.

Parskam śmiechem. Naprawdę nie wiem, jak często mojej przyjaciółce udaje się sprzedać klientowi choćby kawalerkę. Dział handlowy firmy deweloperskiej jest ostatnim, w jakim widzę przyszłość Dominiki. Niestety, gdy się kończy filozofię, można wybierać pomiędzy stanowiskiem przedstawiciela handlowego a kasjerki w markecie.

Praca u dewelopera jest chyba szóstym zajęciem, którym para się moja przyjaciółka. Wcześniej była przedstawicielką firmy cukierniczej, recepcjonistką w fitness clubie, kelnerką, sprzedawczynią w sklepie zielarskim i robiła ekologiczne zabawki. Mimo że kocham ją jak siostrę, w branży mieszkaniowej również nie wróżę jej długiej kariery, choć pracuje tam w dobrym dla nas momencie.

– Ile kosztuje metr? – pytam, przyglądając się projektowi budynku, który sąsiaduje

z cmentarzem, bo oczywiście ta informacja w broszurce nie została zawarta. „Spokojna i cicha okolica” – takie jest hasło reklamowe inwestycji. Dokładnie tak, jak powiedziała Dominika. Idealne miejsce dla rodzin z małymi dziećmi.

– Trzy tysiące.

– Potrzebowalibyśmy trzy pokoje. Z sześćdziesiąt metrów.

– To niecałe sto osiemdziesiąt tysięcy. Bardzo korzystna oferta. Pewnie przez ten cmentarz.

– Korzystna?

– Te przy parku są o tysiąc droższe.

– Utoniemy w kredycie do końca życia – wzdycham. – Nie wiem, czy tego chcę.

Dominika wzrusza ramionami.

– Ja nie chcę, dlatego mieszkam w mojej komunie i właśnie zwolnił się największy pokój. Ten niebieski z balkonem. Naprawdę wam to polecam.

Mianem komuny zostało określone ponadstumetrowe mieszkanie, wynajmowane przez Domi i czwórkę jej znajomych. Każdy ma jeden pokój, wspólną kuchnię i łazienkę do dyspozycji.

Trzeba być artystą albo filozofem, aby na coś takiego pójść, ale Domi żyje tak już od pięciu lat. Jej współlokatorzy się zmieniają, pobierają, rodzą dzieci, kupują na kredyt mieszkania, a ona trwa w swoim pokoiku cztery metry na pięć i wiecznie zabałaganionej kuchni, ale niezmiennie i uparcie twierdzi, że jest tam szczęśliwa. Ostatnio wprowadził się do niej Maciek, chłopak, z którym jest już od ładnych kilku lat. Stawiamy z Piotrkim zakłady o to, jak długo Maciek tam wytrzyma i czy uda mu się nakłonić Dominikę do zmiany jej mieszkaniowych preferencji.

Jestem wdzięczna Domi za propozycje, ale nie przekonało mnie ani mieszkanie przy cmentarzu, ani tym bardziej przy parku. Gdy tylko wróciłam do domu, zaczęłam przeglądać oferty mieszkań na wynajem. I tak trwam w tym aż do tej chwili, popadając w coraz większą melancholię. Nie mam pojęcia, gdzie będę za miesiąc. Ta świadomość całkowicie wyprowadza mnie z równowagi.

Za każdym razem, gdy wychodzę z mieszkania, chciałabym już do niego nie wracać, denerwuje mnie przebywanie w nim, denerwuje przygotowywanie kolacji na kuchennym blacie, który już za chwilę należeć będzie do obcej dziewczyny, denerwuje wieszanie ubrań w szafie, z której za chwilę te ubrania będę musiała wyciągać. Wolałabym przeprowadzić się już teraz. Dziś. A musimy czekać, nie wiadomo na co.

Wieczorem idziemy na kolację do moich rodziców, niby świętować urodziny taty, ale dobrze wiem, że znów rozmowy będą krążyły jedynie wokół poszukiwania lokum dla nas, ewentualnie ofert kupna domów babci, które wystawiliśmy już na sprzedaż.

– Jak się znajdzie kupiec – mówi mama – dostaniecie moją część. Z pewnością wystarczy na duże mieszkanie, a może nawet na jakiś domek do remontu.

– Tylko kiedy się znajdzie? – wzdycha ojciec. – To może potrwać latami. Niby działka w dobrym miejscu, ale domy trzeba byłoby wyburzyć, a to koszmarnie drogie. Mało kogo stać. Poza tym musimy znaleźć mieszkania zastępcze lokatorom. To też nie jest tanie.

Znów coś łapie mnie za gardło, gdy słyszę o wyburzaniu.

– A jak się nikt nie znajdzie? Co zrobisz? – pytam mamy, bo teraz ona jest przecież odpowiedzialna za mieszkańców kamienicy. Jeszcze gdy babcia żyła, zajmowała się zbieraniem czynszu i wzywaniem fachowców do drobnych napraw. Wiem, że było to dla niej dodatkowym obciążeniem. Nie miała na to ani czasu, ani ochoty. Pomagała babci tylko z obowiązku. Choć wszyscy lubiliśmy spędzać czas w tym mieszkanku, teraz widzę, że chyba tylko ja ubolewam nad stratą domów.

– Nie wiem, Oliwko. Za chwilę konieczny będzie duży remont. Z czynszów i tego, co odłożone, nie wystarczy nawet na połatanie dachu i odmalowanie klatki schodowej. A przydałoby się dom ocieplić, wymienić okna i całą kanalizację. Ludzie własnym kosztem pobudowali sobie toalety w mieszkaniach, a teraz nie mogą z nich korzystać, bo wybija i śmierdzi. Aż mi wstyd, że lokatorzy żyją w takich warunkach.

Mama nie musi mi o tym mówić, byłam tam wczoraj i przedwczoraj, i tydzień temu. Rozmawiałam z mieszkańcami spotkanymi na placu pomiędzy domami. Wszyscy narzekają na stan domu, ale są wdzięczni za niziutkie czynsze. Oczywiście to, że mama chce sprzedać domy, dotarło już do ich uszu. Martwią się. Oni również boją się o swoją przyszłość.

– A może zadzwonić do Ignacego? – Ojciec patrzy na nas z miną, która świadczy o tym, że właśnie dokonał jakiegoś wielkiego odkrycia.

Próbuję odszukać w pamięci, kim jest Ignacy. Nic mi to imię nie mówi.

– Masz rację. – Mama najwidoczniej wie więcej. – Przecież on ma biuro nieruchomości, że też wcześniej o tym nie pomyślałam.

Zerkamy na siebie z Piotrkim, nie mając pojęcia, o kim mówią rodzice.

– A kim jest Ignacy? – pytam.

– No jak to? – Mama jest zaskoczona. – Nie pamiętasz? To syn Anny, przyjaciółki babci. Byli razem na pogrzebie. Taka niziutka staruszka. Do dziewięćdziesiątki już dobija. Cmokam zdenerwowana.

– Przecież znam Annę. Nieraz przychodziła do babci, ale nigdy nie poznałam jej syna.

– Bo Ignacy wyjechał, jak byłaś całkiem mała. Karol, pamiętasz, gdzie on teraz mieszka? – zwraca się do ojca, który właśnie dolewa Piotrkowi i mamie wina do kieliszków.

Ojciec zastanawia się przez chwilę.

– W Szczecinie, chyba jego żona stamtąd pochodzi.

– Ale na pogrzeb przyjechał – mówi dalej mama. – Taki szpakowaty. W moim wieku. W kościele siedział w czwartej ławie, zaraz z kraja. – Stara mi się tłumaczyć, ale ja niewiele twarzy pamiętam z pogrzebu babci.

– Ale Szczecin to raczej dość daleko, nawet jeśli ma agencję nieruchomości, niewiele tu działa.

– Nie. – Mama energicznie kręci głową. – On ma ponoć ogólnopolską sieć takich agencji, tu również. Rozmawiałam z nim przez chwilę na pogrzebie.

– A macie numer telefonu? – wtrąca się w końcu do rozmowy Piotruś, który jako jedyny przez większość wieczoru doceniał smak przygotowanych przez mamę potraw.

Rodzice znów wymieniają spojrzenia.

– Nie, ale jak pomyślę, to może przypomnę sobie nazwę tej jego firmy.
A więc nadal jesteśmy w punkcie wyjścia. Nie wiemy nic.

Zosia
Grudzień 1955

– Co robisz?

Wchodzę do kuchni i nachylam się nad ramieniem Władka, który siedzi przy oknie. Jest środek nocy. Władek kilka godzin temu wrócił z pracy z drugiego etatu, który trafił mu się jakiś czas temu. W GIG-u szukali osoby, która zajęłaby się drukiem ich gazetki. Władkowi bez problemu udało się zdobyć tę posadę. Wciąż brakuje dobrych fachowców. Drugi etat to dodatkowe pieniądze dla nas. To święta z pełnym stołem potraw i wymarzonymi prezentami dla dzieci. I zrealizowanie marzeń o wczasach w górach, koloniach Gosi nad morzem. Mało kogo stać na aż tyle. Ale brak trosk finansowych to również ciągła nieobecność Władka w domu. To jego zmęczenie, moje zmęczenie i oddalenie, które zaczyna dokuczać.

– Rysuję obrazek dla Gosi.

Władek odpowiada mi, nie odrywając się od pracy, którą wykonuje. Patrzę, jak na oświetlonej małą lampką kartce powstaje wiatrak z ogromnymi skrzydłami, a przy nim chłopski wóz, na którym piętczą się worki.

– Co to jest?

– Wiejski krajobraz, takie było zadanie.

– Gosia nic mi nie powiedziała o zadaniu. Zapomniała?

– Może. Poprosiła mnie o ten rysunek, gdy zajrzałem powiedzieć jej dobranoc.

– Nie powinieneś robić tego za nią. To niczego jej nie nauczy.

Mąż odwraca się do mnie. Widzę w jego oczach chłopięcą przekorę.

– Ty też jej w lekcjach pomagasz. Myślisz, że nie wiem? A ja lubię rysować.

– I myślisz, że pani się nie zorientuje, że to nie Gosia rysowała?

– Myślę, że to tylko rysunki. Inne przedmioty są ważniejsze, ten powinien być dla chętnych.

Wzruszam ramionami, ale już sama się uśmiecham. Władek wszystko chciałby zmienić. We wszystko się angażować, w system edukacji również.

Przytulam się do jego pleców.

– Ostatnio rozmawiamy tylko nocą. Jak para zakochanych na potajemnych schadzках. Nie jak małżeństwo.

Władek obraca się, obejmuje mnie w talii i sadza na swoich kolanach.

– Jak zrobi się ciepło, będziemy jeździć nad rzekę na pikniki. Będzie więcej czasu. Tak teraz trzeba, Zosiu, wiesz o tym.

Tak, wiem. Wiem, że Władek zrobi wszystko, aby Gosia i Zbyszek nie wiedzieli, co to bieda, aby mieli to, o czym my w ich wieku nie mogliśmy nawet marzyć. Boję się tylko, czym zapłacimy za ten dobrobyt.

– Dziś znów w drukarni podsunęli mi pod nos lojalkę – szepcze, wtulając głowę w moje ramiona. – Gdybym podpisał, zaraz wskoczyłbym na miejsce Edka. Wiesz, tego kierownika zmiany, który przeniósł się z rodziną do Poznania. Nie mogę tego zrobić, Zosiu, wiesz, że nie mogę.

To nie pierwszy raz, kiedy chcą namówić Władka aby wstąpił do partii. Jest lubiany wśród załogi, wszystkich zna. Wiedzą, że mógłby donosić, szeptać, komu trzeba, o tym, co trzeba. Wtedy większe pieniądze byłyby bez dodatkowych wyrzeczeń, przynajmniej pozornie.

Mimo że tak często zaciskam zęby, mimo że czasem po całych dniach bycia jedynie z dziećmi jestem po prostu zmęczona, wiem, że Władek ma rację. Wiem, że robi dobrze. Nie sprzedaje się duszy diabłu, obojętnie, jak dużo chciałby za tę duszę zapłacić.

– Ale to nie sprawa Józefa? Prawda? Rozmawiałeś w ogóle z bratem o tym, jak na ciebie naciskają?

Władek kiwa głową.

– Józef ma swoje problemy. Zmniejszył się jego zapał. Oni to widzą. Mówił mi, że ciągle go obserwują. Rozumiesz? Zosiu, wystąpić z partii jest o wiele trudniej niż do niej wstąpić.

– A Józef chce wystąpić?

– Józef ma mętlik w głowie, ale wierzę w niego.

– A ty co masz teraz w głowie? – pytam, czując, jak dłonie Władka przesuwają się wzdłuż moich pleców. Po tylu wspólnych latach nie ma zakazanych miejsc.

– Chodźmy już spać – mówi Władek, jego słowa giną między moją szyją a obojczykiem.

– A obrazek? Nie skończyłaś. – Próbuję się jeszcze przekomarzać, choć czuję już gęsią skórę na ramionach, udach i wszędzie, gdzie dotykają mnie palce mojego męża.

– Resztę może skończyć sama. Mówiłaś, żeby nie pomagać.

Wstaje, wciąż trzymając mnie w objęciach. Niesie do łóżka. Tak jak setki, tysiące razy niósł mnie do naszej sypialni, choć czasem i łóżko, i pokój istniały tylko w wyobraźni. W tych chwilach zawsze jesteśmy młodzi, zachłanni siebie i życia, które dopiero przed nami.

Budzę się z dziwnym przeświadczeniem, że zasnęłam, choć za oknem jest jeszcze zupełnie ciemno. Władek pochrapuje obok mnie, ale on do pracy ma dziś dopiero na ósmą. Coś miałam zrobić wcześniej, o czymś pamiętać. Leżę z szeroko otwartymi oczami, próbując zrozumieć powód zdenerwowania. Gdy wzrok przyzwyczaja się do ciemności, zerkam na zegarek. Piąta trzydzieści.

– Roraty!

Siadam na łóżku tak gwałtownie, że przez chwilę cały pokój wiruje mi przed oczami.

Wstaję już wolniej i idę do pokoju, w którym śpią dzieci.

– Gosiu. Wstawaj. Trzeba do kościoła.

Małgosia budzi się prawie natychmiast. Przeciera zaspane oczy.

– Dlaczego jest tak ciemno? – pyta nieprzytomnie.

– Śniegu prawie nie ma, gdyby spadł, byłoby jaśniej – odpowiadam. – Zbieraj się szybko. Jeszcze musisz po Januszka zapukać, Kazio jest chory, dziś nie pójdzie.

W dwadzieścia minut Gosia jest ubrana i nakarmiona połówką kromki chleba. Z lampionem w ręku wychodzi do sieni. Staję w oknie i czekam, kiedy razem z kolegą wyjdzie z klatki. Długo ich nie ma i gdy już chcę wrócić do drzwi zobaczyć, co zatrzymało

dzieci, widzę, że Gosia wychodzi sama. Odwraca się i kiwa mi, a potem idzie wzdłuż budynku. Zastanawiam się, co się stało. Może Janusz zaraził się od brata i też nie mógł dziś pójść? Albo wyszedł wcześniej, nie czekając na Gosię. Patrzą na córkę, dopóki nie znika za rogiem. Ulica jest dziś zupełnie pusta. Martwię się, że idzie tak sama, spóźniona. Bardzo dziś ponuro. Mimo mijających minut za oknem nie robi się ani trochę jaśniej. Będzie brzydko.

W domu panuje cisza. Zbyszek i Władek śpią w najlepsze. Sama też jestem dziwnie senna, zastanawiam się nawet, czy nie wrócić do łóżka, czy nie przytulić się do męża i przymknąć oczy, dopóki nie wróci Gosia. Trochę mi przykro, że zmuszam ją do codziennego wstawania. Mam nadzieję, że moja mała lubi to choć trochę.

Gdy wchodzę do sypialni, słyszę głośnie rozmowę sąsiadów z góry. A więc jednak nie tylko ja nie śpię. Dzień już wstaje.

Dokładnie w chwili, gdy siadam na brzegu łóżka, rozlega się pukanie do drzwi. Czyżby to chłopcy sąsiadów przyszli po Gosię? Przecież msza trwa już od dobrych dziesięciu minut. Co to za dziwny poranek.

Wychodząc z pokoju, zerkam na wiszący na ścianie zegar. Muszę wysilić wzrok, aby dojrzeć wskazówki. Mrużę oczy i staję jak zamurowana. Przecież to niemożliwe. Zaskoczona i wystraszona prawie biegnę do drzwi. Pukanie przechodzi w walenie. Nieskończenie długo siłuję się z zamkiem. Gdy w końcu puszcza i mogę otworzyć, Gosia rzuca mi się w ramiona. Cała zapłakana. Za nią stoi zaskoczona Szczodzino – matka Januszka i Kazia, widzę też uchylone drzwi mieszkania naprzeciwko.

– Co się stało? – pyta matka kolegów Gosi.

– Nic, nic – odpowiadam pospiesznie. – Nasz zegar chyba się zepsuł – kłamię.

– Myślałam, że co złego. Małgosia tak waliła do drzwi, ale my wszyscy spali jeszcze, minęło, zanim się pozbierałam. Co u was?

– Wszystko dobrze, nic się nie stało – mówię szybko, tuląc Gosię. – Myślałyśmy, że już pora na rotaty.

– Aaa. – Kobieta nadal jest podejrzliwa. – To czemu ona płacze? – Wskazuje brodą na Gosię.

– Nie wiem – mówię szczerze i odklejam córeczkę od mojej koszuli.

W tej samej chwili staje za mną Władek.

– Milicja mnie zatrzymała – łka Gosia. – Kazali pokazać dowód, ale ja nie miałam. Zapytali, dokąd idę, to im powiedziałam, że do kościoła na rotaty. Wtedy zaczęli się śmiać i jeden z nich powiedział, że za kłamstwo wsadzą mnie do więzienia, a potem ten drugi...

– Co ten drugi? – Władek jest zdenerwowany.

– Ten drugi kazał uciekać do domu.

Gosia znów wybucha płaczem i przytula się do mojego brzucha.

Drzwi naprzeciwko się zamykają. Szczodzino pobłażliwie kiwa głową, a potem z uśmiechem, stopień za stopniem, zaczyna wchodzić na swoje piętro.

– Co wy sobie myślałyście!?! – ofukuje nas Władek, gdy tylko znikają wszyscy ciekawscy. – O trzeciej w nocy na rotaty?

– Źle spojrzalam na zegar – mówię cicho, pokornie gapiąc się na własne bosa stopy. Jestem świadoma przewinienia.

Cisza wisi nad nami jak burzowa chmura. Za chwilę walnie piorun.

Śmiech Władka zaskakuje mnie. Unoszę głowę. Mój mąż przykuca obok Gosi.

– Nie martw się już – mówi, wciąż się śmiejąc. – To ty napędziłaś im większego stracha. Chciałbym zobaczyć ich miny, gdy tak szłaś prosto i pewnie z tą latarenką.

Gosia natychmiast pogodnieje. Strach znika. Wstyd znika.

– Może prześpimy się jeszcze trochę, zanim będę musiał wstać do roboty?

– Władek kładzie mi ręce na ramionach. – I może dziś darujemy już Gosi te roraty, w końcu, jakkolwiek by na to nie patrzeć, już na nie poszła.

Przytakuję mu chętnie.

Właściwie może wystarczyłoby, gdybyśmy chodziły pomodlić się do kościoła wieczorami.

Oliwia
Sierpień 2006

Na drzwiach klatki schodowej prowadzącej do mieszkania babci wisi klepsydra. Znowu. Jeszcze tak dobrze pamiętam, jak wieszalałam tu tę obwieszczającą śmierć Zofii Zaleskiej.

*Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 2 sierpnia 2006 zmarła*

Krystyna Ciałoń

Lat 89

Nasza ukochana Mama, Babcia i Prababcia.

Przebiegam szybko wzrokiem po tekście wywieszanej na drzwiach informacji. Znałam tę panią. To babcia Krysta, tak wołały na nią bawiące się na placu dzieci. Babinka z siwym kokiem miała zwyczaj obserwowania świata z perspektywy okiennego parapetu.

To ona opiekowała się wszystkimi bezdomnymi kotami na ulicy. Do ustawionych przy piwnicznych okienkach puszek codziennie wkładała im resztki z własnego obiadu. Nie miała wiele, ale zawsze starczało, aby podzielić się z czworonożnymi podopiecznymi. I choć mieszkańcy domu czasem narzekali po cichu na smród i kocie odchody, nikt nigdy nie powiedział jej złego słowa. Koty były częścią życia staruszki i są częścią tego domu. Co teraz z nimi będzie?

Mieszkanie Krysty sąsiaduje z mieszkaniem babci Zosi, więc obie panie często rozmawiały ze sobą, wsparte na kolorowych poduszkach. Widać Zofii brakowało w niebie kompana do klachów, a Krysta – mocno schorowana i coraz bardziej niedołączna – pewnie z chęcią przyjęła babcine zaproszenie.

Wiem, że to śmieszne, ale jakoś raźniej mi na duszy teraz, kiedy wiem, że babcia, tam u góry, będzie miała swoją ziemską koleżankę.

Przekręcając klucz, zastanawiałam się, czy mama wie już o śmierci sąsiadki babci. Kolejne mieszkanie straciło najemcę. Teraz, gdy domy i tak mają pójść na sprzedaż, to nawet dobrze, że mniej ludzi trzeba będzie przenieść, przesadzić, pozbawić miejsca, w którym żyli.

Dziś przyszedłam tu z konkretnym zamiarem przeglądnięcia babcinej garderoby. Wiem, że mama na to nie miała sił. Część ubrań trzeba będzie pewnie wyrzucić, ale te lepsze, niezniszczone chciałabym spakować i oddać gdzieś, gdzie mogą jeszcze komuś posłużyć.

Gdy otwieram pomalowane wiśniową farbą drzwi szranku[8], upstrzone setkami dziurek wydrążonych przez mieszkające w nich od lat korniki, uderza mnie zapach lawendy. Szafy starych ludzi pachną zazwyczaj kulkami na mole. Moja babcia hodowała w małym ogródku za domem lawendę, a potem suszyła ją i wkładała do białych

woreczków, które sama szyła. Takie prezenty ofiarowywała nam co roku.

Wnętrze babcinej szafy jest kolorowe. Babcię Zosię też właśnie taką pamiętam. Nosząc swoje zielone i żółte sukienki, mówiła, że dosyć ma szarości, którą z braku wyboru i odwagi nosiła przez większość życia.

– Nie masz pojęcia – mówiła, gdy czasem zabierałam ją na kawę i ptysia do pobliskiej kawiarenki, a ona szykowała się na to nasze popołudnie jak na wielkie wyjście – jak trudno było po wojnie i za komuny znaleźć materiał w kolorze innym niż bury. Wtapialiśmy się w ten nasz śląski krajobraz dostatecznie długo. Teraz i on, i ja możemy w końcu rozkwitnąć.

Przeglądam więc te babcine kolory, odkładając ubrania do dwóch przygotowanych worków. Niewiele wkładam do tego przeznaczonego do wyrzucenia. Każda rzecz jest mi bliska, każda przypomina jakąś wspólną chwilę. Palto w kolorze butelkowym, które nosiła jeszcze tej wiosny, i sukienka uszyta specjalnie na moje wesele. Pięknie w niej wyglądała.

Pustka, którą czuję, gdy w końcu w szafie pozostają jedynie wiszące rzędem drewniane wieszaki, jest przejmująca. Boli tak mocno, jakby już nigdy nie miało przestać.

Zamykam drzwi. Choć wiem, że na półce nad drążkiem z wieszakami są jeszcze kartony, których nie przejrzałam. Zabieram worki i zanoszę je do zaparkowanego na ulicy auta. Poprosiłam Piotrka, aby mi dziś zostawił naszego fiata. Wrzucam worki do bagażnika i ruszam w kierunku ulicy, przy której stoi miejski dom opieki Jesień. Niczego nie wyrzucę. Najwyżej oni to zrobią.

Jest już po północy, gdy kładziemy się do łóżka. Piotr miał popołudniową zmianę, czekałam na niego, potem razem zjedliśmy kolację. Przytulam się do męża, pozwalając spłynąć wszystkim napięciom i bólowi dzisiejszego dnia.

– Za dużo na siebie wzięłaś – mówi, głaszcząc jednostajnie mój brzuch.

Zastanawiam się czasem, dla kogo przeznaczone są te czułości, dla mnie czy dla Zosi.

– Te emocje nie wpływają na was dobrze – dodaje.

– Nie, to nie tak – zaprzeczam. – Tam naprawdę jestem spokojna. Tylko dziś było ciężko. Sukienki babci były nazbyt prawdziwe.

– Bardziej niż te wszystkie listy i fotografie?

– Tak. Sukienki jeszcze pachniały babcią, dotykały jej.

Piotrek milczy przez dłuższą chwilę. Ale ze sposobu, w jaki oddycha, z napięcia, które w nim czuję, wiem, że ma mi coś jeszcze do powiedzenia.

– Gdy się kąpałaś, dzwoniła twoja mama.

– I co? – Staję się czujna.

Piotr bierze głęboki oddech.

– Znalazła tego faceta od nieruchomości. Twoja ma-ma była u Anny i ona dała jej numer syna.

– A on znalazł kupca – kończę za Piotrka, bo przecież wiem doskonale, czego mój mąż boi mi się powiedzieć.

– To jakaś holenderska firma.

– Zachowają czy wyburzą?

– Raczej wyburzą, szukają miejsc pod sieć klubów fitness.

Zagryzam wargi.

– Nie myślałam, że pójdzie aż tak szybko – przyznaję.

– To jeszcze nic pewnego. – Piotr nagle próbuje mnie uspokoić. – Ma się z nimi dopiero skontaktować. Wykupują place w centrach miast, ale nie wiadomo, czy tym będą zainteresowani. Poza tym sprawy spadkowe jeszcze się nie zakończyły. Może nie będą chcieli czekać.

Kiwam głową i obracam się na bok.

– Pomasuj mi plecy, bolą mnie. O, tutaj, na dole – proszę i zamykam oczy, próbując się oddać przyjemności wspólnej chwili. Nie potrafię. Tak naprawdę chce mi się płakać. Płakać i prosić Piotrusia, aby mi pomógł, abyśmy zrobili cokolwiek, by nie sprzedawać domu dziadków, aby nie patrzeć na spychacze, które zniszczą historię naszej rodziny.

Wiem, że moje zachowanie jest dziwaczne. Domy to tylko domy, zresztą przez większość mojego życia babcia i dziadek mieszkali w innym miejscu. Nie wiem, dlaczego mi do nich tak blisko, nie wiem, dlaczego tak boli ich utrata.

To pewnie ciąża i hormony albo ten syndrom... Jak to było? Wicie gniazda, instynkt, który ponoć dopada kobiety na krótko przed porodem.

A moje gniazdo właśnie mają zburzyć.

Zosia

Marzec 1956

– Jak ty się z tym wszystkim wyrobisz? – Anna, opierając się na łokciach, przygląda się stercie materiałów, która leży na kanapie. Każdy kawałek ma przyczepioną karteczkę.

Spódnica – Gizela, ancug[9] – pan Maślonka, zapaska – babka Zyta.

– Odkąd Zbyszek poszedł do przedszkola, mam aż za dużo czasu, a przez to moje szycie zawsze jakiś grosz wpadnie. Wiesz, jaki jest Władek, chciałby mieć na wszystko. Robi na dwóch etatach. W końcu sąsiedzi zaczną nas obgadywać albo co jeszcze gorszego.

– Dziś nasi chłopcy odpoczną. – Ania sięga po ciasteczka, które wyłożyłam na talerz.

Zerkam za okno.

– Byle tylko nie rozpadało się na dobre. Zmokną i jeszcze Zbyszek się przeziębi.

– Ciepło jest, nic im nie będzie. Dobrze im zrobi takie popołudnie.

Władek i Paulek zabrali dzieci na mecz. Ruch Chorzów gra z Górnikiem Zabrze. Paulek jest zapalonym piłkarzem, a Ignas od kilku lat trenuje w młodzikach. Choć Anna wolałaby, aby syn więcej czytał, nie poradzi nic na to, że tu, na Śląsku, mężczyźni po ciężkiej robocie grają w futbol[10] albo hodują gołębice. Z dwojga złego już chyba ten futbol jest lepszy. Gołębice to tylko obsrane parapety. Władek też chętnie chodzi na mecze, choć nie do końca wiem, której drużynie kibicuje. Nie jest zapalonym kibicem, ogląda tylko ważne spotkania. Dziś po raz pierwszy wziął ze sobą Zbyszka. Oczywiście, gdy Gosia się dowiedziała, jaka wyprawa jest w planach, postanowiła, że pójdzie z nimi, choć wolałabym, aby została i pomogła mi w szyciu. Niech sobie mówią, co chcą, niech sobie wchodzi ta nowoczesność. Kobieta powinna się umieć zająć domem, powinna umieć szyć, sprzątać i gotować. Choć trochę. Nikt mnie nie przekona, że teraz żyje się już inaczej.

– Możesz mi podać duże nożyczki? – proszę Annę. Te, którymi chciałam przeciąć gruby drelch na robocze spodnie dla Paulka, nie są wystarczająco ostre. – A jak tam Paulkowi się w pracy wiedzie? – zagaduję Annę, gdy ta spełnia moją prośbę. – Bo ostatnio Władek mówił, że męczyli ich strasznie.

Anna wzrusza ramionami.

– Oni gnębią tych, co raczej po drugiej stronie stoją. Chcą ich złamać groźbami.

– Boże drogi! – Patrzą na Annę wystraszona. – A czym im grożą? Władek tak mało mi mówi.

– Bo się boisz, to nie mówi.

– Aniu! – Wciąż stoję z uniesionymi w górę nożyczkami. – Powiedz mi.

– Paulkowi grozili, że go z drukarni wywalą, że nigdzie pracy nie znajdzie. Władkowi pewnie mówili to samo. Ale nie martw się, przecież wszystkich zwolnić nie mogą.

– Większość jest w partii – stwierdzam.

– Im nie o przynależność do partii chodzi. Oni chcieliby zrobić z nich kapusiów.

Przecież wiedzą, że Władek i Paulek są lubiani wśród załogi, wiedzą, że są sprytni i bystrzy. Tacy ludzie mieliby donosić na innych?

– To obrzydliwe. – Krzywię się. – Jak można donosić na kolegów?

– A mało takich, co się zgodzili?

– A co, jeśli ich naprawdę zwolnią? – Znow zaczynam się martwić.

Anna ponownie wzrusza ramionami.

– Pensje lecą w dół, a w sklepach, jak już coś jest, to każdego dnia droższe. Za niedługo ta ich praca nic warta nie będzie.

Wzdycham i chcę odpowiedzieć, że jednak tak całkiem bez wypłaty byłoby gorzej, ale przerywa mi dźwięk dzwonka do drzwi.

– Już wracają z meczu? – Ania jest zaskoczona.

Kręcę głową.

– To sąsiadka z klatki obok. Miała przyjść z materiałem na sukienkę. W sobotę na wesele do siostrzenicy idzie.

– I zdążysz?

– No przecież jeszcze dziś jej uszyję – mówię, wciąż się dziwiąc, że Anna, która pracuje w hucie jako brygadzistka suwnicowych, może aż tak zachwycać się prostym szyciem. Przecież ona ma pod sobą wiele kobiet, musi nimi rządzić i wyznaczać im zadania. A ja mam nici i igłę. No i moją maszynę, którą lata temu dostałam w prezencie od Władka.

– A, dzień dobry, pani Krugerowa – mówię, wpuszczając sąsiadkę do mieszkania.

– Udało się pani kupić materiał?

– Och, pani Zaleska. – Kobieta w szarej sukience i sztrykowanej[11] chuście zarzuconej na ramiona macha ręką. – Nawet pani nie wie, ile ja się naszukałam. W tym nowym sklepie z materiałami, co otworzyli na rogu, nic nie było, tylko granatowy materiał na podszewkę. Nic ładnego. Już myślałam, że w starej kiece pójde, ale w końcu siostra mi pomogła. Okazało się, że kolega Andzi – mojej bratanicy – ma ojca, który we włókiennictwie pracuje. Po znajomości tylko przywiozła mi ten kawałek. – Głos sąsiadki przechodzi w konspiracyjny szept. – Niech pani zobaczy, jaki piękny. Jakie kolory intensywne.

Krugerowa rozwija szary papier, który trzyma w dłoniach. Faktycznie, materiał, który mi pokazuje, jest piękny. Bouclé o głębokiej wrzosowej barwie. Na pewno nie trafi do sklepów.

Przesuwam palcami po wypukłościach materiału, ale Krugerowa cofa rękę, w której trzyma pakunek.

– Niech pani najpierw ręce umyje – mówi trochę nieśmiało. – Nie wie pani nawet, ile ja za to zapłaciłam.

Powinnam się oburzyć. W końcu to ja zaraz mam z tego uszyć suknię. Ale zbyt dobrze znam czasy, w których żyjemy, aby móc to zrobić.

– Mam czyste, właśnie szyję – mówię i gestem zapraszam sąsiadkę do pokoju, w którym zostawiłam Annę.

Kobiety witają się i zamieniają ze sobą kilka słów. Podczas ich pogawędki ogarniam stół, rozkładam materiał, przyglądam się mu chwilę, a potem zerkam na

Krugerową. Jest szczupła i mimo swoich lat wciąż ma ładną figurę.

– Sukienka prosta? Za kolana? Poszerzymy trochę w biodrach i zwężymy w kolanach. Kołnierzyk na stojce. O, i tutaj, na wszytciu rękawów, zrobimy takie ozdobne marszczenia. Materiał jest tak ładny, że nie trzeba nic więcej dodawać.

Krugerowa kiwa głową. Zgadza się na wszystko. Takie klientki lubię. Te, które wymyślają i przynoszą własne projekty, są najtrudniejsze. Nie potrafię szyć ze zdjęć zamieszczanych w katalogach o modzie. Mam w głowie swoje własne wykroje.

Składam odpowiednio, białą kredką zaznaczam kilka punktów. Biorę w ręce nożyczki i trach, rozcinam materiał.

– Matko Boska, co pani robi! – Krugerowa krzyczy tak, że omal nie rozciąłam zbyt dużo.

Patrzę na nią zdziwiona. Widzę, że stojąca za nią Anna aż zasłania sobie dłonią usta; nie wiem, czy tłumiąc śmiech, czy strach.

– Co się stało?

– Pani oszalała! – wydziera się na mnie Krugerowa i wyrywa mi z ręki nożyczki.

– Zniszczyła mi pani materiał. Musi pani zapłacić.

Ta niewysoka kobiecina o łagodnych rysach twarzy przypomina teraz wściekłego psa, który zaraz się na mnie rzuci.

Cofam się o krok.

– Ale jak to zniszczyłam? – pytam oniemiała. – Przecież robię to, o czym mówiłam. Prosta. Na stojce – powtarzam, martwiąc się, że coś źle zrozumiałam.

– Przecież pani mnie nawet nie pomierzyła. Nie narysowała nic na materiale. – Głos Krugerowej cichnie nieco, ale nadal jest zła.

– Nie muszę pani mierzyć, przecież widzę, jak pani wygląda. Przymierzy pani, jak sfastryguję.

– I mówi pani, że będzie dobra? Tak po prostu?

Kiwam głową. Serce wciąż wali mi za szybko.

– To niemożliwe. Żadna inna krawcowa tak nie robi.

– Nie wiem, jak robią inne krawcowe. – Mówię szeptem, czuję się zawstydzona całym zamieszaniem. – Nigdy u żadnej nie byłam.

Widzę, jak Krugerowej opadają bezradnie ręce. Stoi pośrodku pokoju i przesywa mnie wzrokiem, a ja nie wiem, co powinnam zrobić. Czy oddać jej materiał, czy kroić dalej.

– Droga pani – Anna podchodzi do mojej chyba niedoszłej klientki – a może po prostu pozwolić Zofii pracować? Niech pani przyjdzie wieczorem, zobaczy to, co powstanie.

– Nie odzyskam materiału, jeśli ona go zepsuje.

Widzę, że oczy Anny iskrzą. Wiem, że gdyby to było jej mieszkanie, gdyby to ona miała uszyć tę nieszczęsną suknię, już dawno wyprosiłaby Krugerową za drzwi. Jest miła ze względu na mnie.

– Ja pani znajdę taki materiał, jeśli Zofia go zniszczy. Mogę to pani obiecać.

Widzę, jak z Krugerowej schodzi złość, jak nagle kurczy się w sobie i znów staje się szarą kobietką opatuloną dzierganą chustą.

– No, no... jak tak, to ja już pójdę. Do widzenia.

Sąsiadka cofa się do drzwi, a Anna idzie wraz z nią. Zostaje sama w pokoju, z niepokojem patrząc na nieszczęsne bouclé.

– Kochanie, naprawdę mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mówi Anna, wchodząc z powrotem do pokoju. – Nie mam pojęcia, jak miałabym zdobyć materiał dla tej kobiety.

Wieczorem suknia jest gotowa do przymiarki. Anna, ciekawa efektów, została, równocześnie rozpraszając mnie i pomagając w matczyńskich obowiązkach, gdy Władek, Paulek i dzieci wrócili z meczu. Przygotowała kolację, pomogła Zbyszkowi się umyć i przebrać w piżamkę. Teraz wszyscy siedzą w pokoju, w którym śpią dzieci. Co chwilę dobiega stamtąd śmiech i strzępy głośnych rozmów.

– No i co myślisz? – pytam Annę.

W duchu liczę na pochwałę, bo po wyjściu Krugerowej zaczęłam wątpić w to, że mam jakiegokolwiek umiejętności. Nigdy wcześniej nie szłam w takich nerwach.

– Bardzo ładna.

Obie, już od dłuższej chwili, przyglądamy się sukience wiszącej na wieszaku na drzwiach szafy.

– Powinna zaraz przyjść – mówię.

– Na jej miejscu bałabym się tu zapukać.

Nim Anna kończy zdanie, obie wzdygamy się na dźwięk dzwonka do drzwi.

Moja przyjaciółka wystawia przed siebie zaciśnięte kciuki. Nie mam wyjścia. Idę otworzyć.

– To niezwykle. Pani jest niesamowita.

Takie pochwały słyszę od ładnych kilku minut. Krugerowa kręci się przed lustrem, raz w lewo, raz w prawo.

– Proszę uważać – ostrzegam, gdy zbyt wysoko dźwiga rękę. – To tylko fastryga.

– Jak pani to robi? Nic nie trzeba poprawiać. Wszystko pasuje.

Dziękuję speszona, nie lubię komplementów.

– Proszę przyjść jutro. Będzie gotowa – mówię, pomagając wyswobodzić się Krugerowej z sukienki. – Zostało sporo materiału. Spakuję pani. Starczyłoby na krótką spódniczkę dla pani córki.

Krugerowa łapie mnie za rękę.

– Przepraszam panią. Nie wiem, jak się odwdzięczę. Wszystkim kobitom na targu powiem i w maglu będę mówiła. Zobaczysz pani, ile nowych klientek pani sprowadzę.

Kiwam głową i już nic nie odpowiadam. Gdy w końcu udaje mi się zamknąć drzwi, wracam do pokoju. Anna chichocze pod nosem.

– Moja droga Zofio. Pani jest niesamowita – przedrzeźnia Krugerową i obie, śmiejąc się jak dzieci, padamy na kanapę.

Oliwia
Sierpień 2006

– Dziękuję, że zgodziliście się spotkać ze mną w święto. Przyjechałem tylko na weekend, potem trudno byłoby mi się wyrwać ze Szczecina. Lato to dla nieruchomości najgorętszy okres.

– Nie ma sprawy – mówi mama. – I tak nie mieliśmy żadnych innych planów. Teraz wszyscy czekamy na narodziny Zosi. – Mama uśmiecha się do mnie i dolewa gościowi kawy z dzbanuszką w niebieskie fiołki.

Rodzice z ogromnym entuzjazmem przyjęli informację, że ich wnuczka będzie nosiła takie imię. Zofia Antonina, aby również jedna z babć Piotrka dała jej coś w prezencie. Mimo że jeszcze się nie narodziła, jest już oczkiem w głowie wszystkich babć i ciotek.

– To piękny gest. Pani Zofia była niezwykłą kobietą.

Ignacy jest miły, wiem, że myśli tak naprawdę. Każdy, kto znał babcię, ulegał jej urokowi, a właściwie – nadzwyczajnej sile, którą w sobie miała.

– Czy dostał pan odpowiedź od Holendrów? – pytam, nie umiem dłużej znieść niepewności. Nie chcę teraz wspominać babci. Chcę wiedzieć, co się stanie z jej dziedzictwem.

Ignacy patrzy na mnie uważnie. Jest o kilka lat starszy od mamy, ale nie widać po nim wieku. Trampki, džinsy i luźna lniana koszula stanowią kontrast dla siedzącego po drugiej stronie stołu ojca. Tata zawsze był zwolennikiem klasyki i elegancji. Nawet na zdjęciach, jeszcze tych sprzed ślubu rodziców, często ubrany jest w krawat i marynarkę.

– No cóż. – Ignacy rozpoczyna rozmowę, wciąż przeszywając mnie wzrokiem. – Pokazałem im plany i fotografie, które mi przesłaliście. Przejrzeli również akty własności i urzędową dokumentację. Są wstępnie zainteresowani.

Wstrzymuję oddech. Zosia wciska mi stopę w zebro. Boli.

– Oczywiście przed nami jeszcze długi proces. Ustalenie ceny sprzedaży, znalezienie mieszkań dla obecnych najemców lokali. Uzyskanie wielu zgód i pozwoleń. To może potrwać wiele miesięcy.

– I naprawdę zbudują tam fitness club?

– Tego nie wiem, ale tym się właśnie zajmują.

Przygryzam wargę. Chciałabym iść już do domu. Czuję się bardzo zmęczona, marzę, aby wziąć chłodną kąpiel i położyć się do łóżka. Albo jeszcze lepiej – pójść do mieszkania babci i zacząć się żegnać.

Niestety rozmowa ciągnie się jeszcze przez wiele godzin. Ignacy opowiada nam o życiu w Szczecinie, wspomina babcię i przytacza wiele zabawnych anegdot.

– Gosiu, pamiętasz tę rudere, w której oboje mieszkaliśmy?

Mama mruży oczy.

– Nie bardzo, jakieś mgliste wspomnienia. Przecież jeszcze mała byłam, gdy się wyprowadziliśmy. Rodzice niechętnie wspominali tamte czasy.

– Mieszkaliście w piwnicy, nic dziwnego. Ale czasem nawet tam było wesoło.

Pamiętasz kota, który kradł mięso z parapetów?

– Nie. – Mama zaczyna się śmiać. – Kota nie pamiętam, choć znam opowieść o tym, jak spał razem ze mną w wózku i prychał na każdego, kto chciał się do mnie zbliżyć. Pamiętam za to chłopca, który czasem częstował mnie karminadłami[12]. Najczęściej wyciągał je z kieszeni.

Ignacy kładzie palec na ustach na znak, aby mama nie zdradzała już więcej sekretów. Do nas puszcza oczko.

– Ten dom, w którym oboje mieszkaliście, jeszcze stoi? – pyta Piotruś, zainteresowany opowieściami. – Na jakiej to było ulicy?

– Nie – odpowiada Ignacy. – Zburzyli go kilka lat po wyprowadzce Zaleskich. Po którymś z górniczych tąpnięć dom prawie przełamał się na pół. Pęknięcie było tak duże, że dało się wsadzić w nie dłoń. Mama bała się, że tam wpadnę. Wtedy również my z mamą dostaliśmy nowe mieszkanie.

– W miejscu tych domów teraz jest przedszkole. Kiedyś dziadek zabrał mnie na spacer i pokazał, gdzie mieszkali – dopowiadam.

Ignacy przytakuje.

– Miasto ciągle się zmienia – mówi, a ja słyszę w jego głosie żal.

Po powrocie do mieszkania, którego już nie mogę nazwać naszym, nie rozmawiamy o domach ani o Ignacym. Jestem zmęczona. Zosia wierci się bez przerwy, jakby i ona była zdenerwowana całą sytuacją. Włączam muzykę i próbuję nas uspokoić kubkiem melisy.

Wsluchuję się w odgłosy dobiegające z kuchni. Szum puszczonej wody, brzęk zmywanych naczyń. Hałas cichnie, staje się coraz bardziej odległy.

– Oliwko, obudź się. Pan Ignacy do nas przyszedł.

Otwieram oczy. Widzę pochylającego się nade mną Piotra.

– Jak się czujesz?

– Dobrze – mówię, choć jestem zbyt rozespana, aby to stwierdzić. – Po co przyszedł?

Piotr wzrusza ramionami.

– Zaprosiłem go do kuchni. Czeka.

Zbieram się szybko, choć wcale nie mam ochoty na przyjmowanie gości, tym bardziej że przecież dobrze wiem, czego będzie dotyczyła nasza rozmowa.

– Strasznie mi przykro, że cię obudziłem. – Ignacy zrywa się z miejsca, gdy wchodzę. – Gdybym wiedział, że nie czujesz się najlepiej, nigdy nie ośmieliłbym się przyjść.

Na takie powitanie wprost nie sposób się nie rozchmurzyć.

– Nic się nie stało. Upały mnie męczą, ale teraz czuję się już lepiej. Coś się stało? – Znów chcę przejść do sedna sprawy.

Ignacy z powrotem zasiada przy herbacie, którą najwidoczniej zdążył zrobić mu Piotruś. Sama nalewam sobie wody z butelki.

– Wiem, że sprzedaż starych domów to nie jedyne wasze kłopoty – rozpoczyna Ignacy. – Twoja mama mówiła o przymusowej wyprowadzce. Czy znaleźliście już nowe mieszkanie?

A więc o tym przyszedł rozmawiać. Może nawet pomóc? Zaczynam być ciekawa rozmowy. Razem z Piotrkim opowiadamy o wypowiedzeniu najmu, o wysokich cenach nowych mieszkań i trudnościach w znalezieniu czegoś na wynajem.

– A czas biegnie. Na początku września musimy stąd zniknąć – kończę.

– I nic jeszcze nie macie? – upewnia się Ignacy.

Oboje z Piotrkim kręcimy głowami.

Ignacy milczy przez dłuższą chwilę. Analizuje coś. Widzę to na jego twarzy. Jako weterynarz muszę pracować nie tylko ze zwierzętami, ale również z ich opiekunami. Codziennie stykam się z przeróżnymi, często bardzo silnymi emocjami. Nauczyłam się je dobrze rozpoznawać.

Nasz gość upija łyk herbaty. Odstawiany kubek uderza o leżącą obok łyżeczkę, wydając nieprzyjemnie głośny brzdęk. A mnie zupełnie bez sensu przypomina się jakiś brazylijski serial, który wiele lat temu oglądałyśmy z mamą. Tam też ciągle ktoś pił herbatę.

– Słuchajcie – mówi nasz gość – mogę pomóc w znalezieniu mieszkania. Podeślę wam dziewczynę z agencji nieruchomości, pokaże kilka ofert, pojeździ z wami. Jestem pewien, że w ciągu paru dni coś znajdziecie.

Uśmiecham się, wdzięczna za pomoc.

– Ale... – Ignacy ścisza głos, trochę teatralnie. – Mam dla was inną propozycję. Właśnie z nią tu przyszedłem.

Znów milczenie. Zośka kręci się, dając mi znaki, i zaczynam się denerwować.

– Dziś u twoich rodziców widziałem, że nie podoba ci się pomysł sprzedaży domów. Nie myślę się?

– Nie mamy wyboru – odpowiadam krótko. – Mieszkanie babci to tylko jedna izba, nie pomieścimy się. Poza tym nie stać nas na utrzymanie budynków. – Mówię automatycznie to, co sobie już dawno wmówiłam.

Ignacy znów upija łyk. Tym razem odkłada kubek z dala od łyżeczki.

Zerkam na Piotrka. Wzrusza ramionami. On też nie wie, o co chodzi.

– Mówiłaś u mamy, że zmarła sąsiadka pani Zofii i mieszkanie po niej stoi puste. Wiesz, jaki tam jest układ?

– Chyba dwie izby – mówię niepewnie, starając się przypomnieć sobie mieszkanie, które widziałam może dwa razy w życiu.

– Gdybyście zburzyli ściankę, mielibyście sporo miejsca.

– Ale czy to nie jest ściana nośna?

Nie wiem, co bardziej mnie zaskakuje – propozycja Ignacego, tak prosta, że nawet nie przeszła mi przez myśl, czy pytanie Piotrka. Techniczne i przemyślane, jakby od dawna brał pod uwagę taką możliwość.

– Raczej nie, powinna być działowa. Myślę, że spokojnie można zrobić w niej dziurę.

– Ale to i tak nie zmienia faktu, że nie stać nas na te domy – mówię bardziej natarczywie, niżelibym chciała. Koniecznie muszę stłumić nadzieję, która już zaczęła się wdzierać do mego serca. Nieproszona.

– To faktycznie niełatwe wyzwanie. – Ignacy ani trochę nie wystraszył się mojego

podniesionego głosu. – Ale teraz są takie możliwości...

– Jakie? – przerywam mu niegrzecznie.

– Programy unijne, dotacje, kredyty.

– Na stare domy?

– A to dla ciebie są tylko stare domy?

– Przecież pan wie, że nie. – Komentarz Ignacego mnie zawstydza. – Ale co to obchodzi Unię? Dla nich, tak jak dla wszystkich, to ruiny bez wartości historycznej. Przecież to nie jest piękna kamienica przy głównej ulicy, którą można odrestaurować.

Ignacy drapie się po brodzie. A więc plan runął? Czegoś nie przemyślał, nie przeliczył? Szkoda, że zasiał we mnie płonną nadzieję.

– Kuźnia! – mówi nagle. – Co wiesz o kuźni pradziadka?

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, skąd Ignacy wie, że za domami była kuźnia, ale zamiast zadać pytanie, postanawiam najpierw na nie odpowiedzieć.

– Wiem, że stała za domem, potem ją pradziadkowi odebrano, jeszcze później rozebrano – mówię jak uczennica wywołana do odpowiedzi.

Ciekawa jestem, czy Ignacy mógł widzieć miejsce, które ja pamiętam jedynie z opowieści i jednego zdjęcia z pudełka leżącego w zielonym byfyju.

– Babcia ten teren też odzyskała?

– Tak, tam teraz jest kilka przydomowych ogródków lokatorów. Sznury na wieszanie prania, a reszta to krzaki i chwasty.

– I nic po kuźni nie zostało?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Są fundamenty i maleńki fragment jednej ściany albo pieca. Trochę cegieł. Nic więcej.

– Tam ponoć większość była drewniana – dopowiada Piotr, a ja przypominam sobie, jak zaraz po przeprowadzce babci poszliśmy zobaczyć, co kryją zarośla. Odnaleźliśmy te ruiny. Babcia strasznie się wzruszyła, zasłabła. Postanowiliśmy tam więcej z nią nie chodzić. Sami też przestaliśmy się interesować resztkami starej kuźni.

– Te trochę cegieł, jak mówisz, to może być już całkiem sporo – stwierdza Ignacy.

I wtedy przypominam sobie jeszcze coś. Zrywam się z krzesła, może trochę za szybko, szybciej niż powinnam. Wychodzę z pokoju, zła na brzuch, który spowalnia moje ruchy. Po chwili jestem już z powrotem. W ręku trzymam metalową różę.

– To zrobił pradziadek – mówię, kładąc kwiat przed Ignacym. – Babcia dała mi ją dawno temu. Jest piękna. Prawda?

Ignacy długo obraca kwiat w palcach. Odkłada go z wyraźnym szacunkiem. Delikatnie, jakby był ze szkła, nie z metalu.

– Jest jeszcze stare zdjęcie i jakieś rysunki odręczne tego kuźniczego pieca – dopowiadam.

– Można popytać sąsiadów, niektórzy mieszkają tam od wojny, może coś pamiętają, może coś przechowują – dodaje Piotrek, wyraźnie podekscytowany.

Ignacy jest zadowolony.

– Słuchajcie, ja wiem, że to duża inicjatywa. Trzeba odwagi. Ale teraz są pieniądze na takie rzeczy. Ta kuźnia to przecież industrialne początki Śląska, a to z kolei

regionalizm, na który są ogromne dotacje. Starczy i na kuźnię, i na remont terenu wokół, czyli też domów.

Patrzę na Piotrka oszołomiona. Jemu również błyszczą oczy.

– Naprawdę uważa pan, że to możliwe?

Potrzebuję teraz potwierdzenia. Prostej i jasnej odpowiedzi.

– Tak – Ignacy mówi zdecydowanie. – Tak, Oliwko, jestem przekonany, że rewitalizacja domów i stworzenie czegoś na wzór miejsca pamięci, miejsca informacji o dawnej kuźni, jest w zasięgu waszych możliwości.

Oddycham z ulgą. Nawet nie muszę pytać Piotrka, co o tym sądzi, bo wiem, że jest ze mną.

– Od czego powinniśmy zacząć? – zadaję pytanie i nie czekając na odpowiedź, wstaję i sięgam po leżący na blacie notes i długopis.

Zosia
Lipiec 1956

– Mamusiu, zobacz, jak ładnie, ile chorągiewek i baloników. Kupisz mi balonik?

– Nie teraz – odpowiadam, choć zamyślona nie do końca wiem, o co Zbyszek mnie prosi.

– A kiedy?

– Co kiedy? – pytam, w końcu zwracając uwagę na synka.

– Kiedy kupisz mi balonik?

Zerkam na wystawę, na którą już od dłuższego czasu patrzy moje dziecko. Przystanęliśmy na środku ulicy, bo po zakupach w ostatnim sklepie miałam wrażenie, że ekspedientka źle wydała mi resztę. Zabrakło mi odwagi, żeby przeliczać przy niej. Zrobiłam to dopiero, gdy odeszliśmy kawałek dalej, aby nie zauważyła. Na szczęście kwota w portfelu się zgadza. Bardzo dużo dziś wydałam.

Na wystawie w kawiarni, która tak zainteresowała Zbyszka, obok ogromnego napisu *22 lipca*, na cienkich żyłkach, niewidocznych z daleka, zawieszono chorągiewki i czerwone baloniki. Poruszają się delikatnie, jakby fruwały w powietrzu.

– Kupię ci balonik na defiladzie albo potem, na kiermaszu. Pójdziemy tam wszyscy.

– Chciałbym teraz.

– Teraz musimy kupić jeszcze parę rzeczy, a potem wrócić do domu i ugotować dla taty obiad.

Zbyszek robi smutną minkę, ale już nie nalega. To grzeczne dziecko. Wiem, że jest już znudzony zakupami, chodzimy od rana. W sklepach pusto. Nie mam tylu potrzebnych produktów.

Patrzę na płową czuprynkę synka, który biegnie przede mną. Niestety teraz takie wspólne zakupy będą częstsze. Od września wypowiedziano nam miejsce w przedszkolu. Według jakichś nowych przepisów, które nie wiadomo kiedy weszły w życie, przedszkole należy się tylko matkom pracującym. Te, które tak jak ja siedzą w domu, mają się same zajmować dziećmi. Zbyszkowi będzie bardzo smutno, gdy mu powiemy, że po wakacjach już nie wróci do swojej pani i kolegów, których lubi.

Władek próbował coś załatwić. Tym razem odbił się od ściany. Wszyscy wzruszali jedynie ramionami. Prawo to prawo. Trzeba przestrzegać, powtarzali.

– Chodź, pójdziemy po ciastka do wujka Antosia. – Chcę złagodzić smutek Zbyszka, który dopiero nadejdzie.

Do piekarni wchodzimy od zaplecza. Wiem, że możemy. Kierownik Antka, pan Ernest, to miły człowiek, który przez wiele lat prowadził cukiernię blisko naszego rodzinnego domu. Odebrano mu ją po wojnie. Dokładnie w tym samym dniu, w którym my straciliśmy domy i kuźnię.

Ludziom w jednej chwili przepadał dorobek życia, wszystko, w co włożyli serce. Niektórzy się poddawali i potem powoli umierali za życia, inni do końca walczyli. Pan Ernest dzięki uporowi i niezwykłemu talentowi szybko znalazł pracę w ukochanym zawodzie. Teraz tę pracę dał mojemu bratu. Na pewno nie żałuje. Spod rąk Antka

wychodzą najsmaczniejsze strucle, kołocze i pączki. Po godzinach również torty na komunie. Ale o tym głośno się nie mówi. Po co kusić los.

– Dzień dobry! – Młoda dziewczyna w białym fartuszku i czepku na głowie przekrzykuje maszynę do wyrabiania ciasta. – Już wołam Antoniego.

Widzę na jej policzkach rumieńce, gdy wymawia imię mojego brata. Nie dziwię się jej. Antoś wyrósł na przystojnego chłopca.

Lubię tę nieśmiałą skromną dziewczynę. Przypomina mi mnie samą sprzed lat. Pewnie podobnie wyglądałam, gdy pracowałam w jadłodajni i każdego wieczoru czekałam na Władka, który miał odprowadzić mnie do domu. Szliśmy najdłuższą z możliwych dróg.

Uśmiecham się do własnych wspomnień. Gdzie podziały się te wszystkie lata? Kiedy minęły?

Po kilku chwilach Antoś ukazuje się w drzwiach. Jak zwykle uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Cześć, siostra. – Całuje mnie na powitanie, a potem podnosi Zbyszka. Wysoko. Nad głowę, aż pod sufit piekarni.

– Aleś ty ciężki – mówi do piszczącego z radości malca. – Rośniesz jak na drożdżach.

– Jak bułki – krzyczy z góry Zbyszek.

Parskam śmiechem. Antoś również i dziewczyna, która, stojąc w drzwiach, przygląda się naszemu rodzinnemu przywitaniu. Czuję, że chciałaby do niego dołączyć.

– Skąd wracacie? – pyta brat.

– Zakupy. – Dźwigam w górę siatki. – Ale nie miałam dziś szczęścia. Nie dostałam wszystkiego.

– A Gosia gdzie?

– U was. U matki. Poszła z samego rana. I dobrze, trochę matce posprząta, pomoże. Zakupy robi. Zbyszka już jej nie chcę przysyłać. Widzę, że nie ma siły za nim biegać.

Antoś smutnieje.

– Słaba jest ostatnio – mówi. – Niby nic jej nie jest. A widzę, że się męczy nawet przy lekkiej robocie.

Wzdycham.

– A co tu się dziwić, całe życie miała ciężkie. Te wszystkie problemy i troski na karku się kładą i do ziemi pochylają.

Przez chwilę milczymy, zmartwieni i zamyśleni.

– Wiesz co – wpadam na pomysł. – Trzeba mamę z domu wyciągnąć. Od śmierci ojca tak mało wychodzi. Pójdziemy na defiladę z okazji święta, a potem na kielbaski z rusztu na kiermaszu. Spędzi miło dzień, to zaraz jej się nastrój poprawi.

– Nie wiem, czy będzie chciała – powątpiewa Antoś.

– Już twoja w tym głowa, aby chciała. Wymyśl coś.

Antoś ochoczo potakuje, a potem zerka do tyłu.

– Werka mi pomoże. Matka ją lubi. Razem ją namówimy.

Kiwa ręką, aby dziewczyna do nas podeszła.

Weronika staje koło mojego brata. Wyciąga do mnie dłoń, a ja ściskam ją

serdecznie.

Do domu wracam w pogodnym nastroju, w głowie układając sobie weselne przyjęcie Antosia. To nic, że wyprzedzam czas, to nic. Trzeba mieć przed sobą coś, do czego można się uśmiechać.

Po drodze wchodzę do matki. Siedzą z Gosią na placu.

– Zobacz! – krzyczy matka, gdy tylko mnie dostrzeże, i podnosi zapisaną kartkę.

– Przed chwilą listonosz przyniósł list od Agnes. A wczoraj przyszedł od Helenki. Zmówiły się chyba. – Śmieje się w głos.

Widzę, że jest bardzo poruszona, ale też bardzo szczęśliwa. Brakuje jej córek, choć gdy byłyśmy małe, rzadko okazywała nam miłość. Wydawała się chłodna i zdystansowana. Wiecznie poganiająca do roboty. To ojciec był tym, który nosił na barana i głaskał po włosach. Matka złagodniała dopiero po jego śmierci. Nie mam jej za złe surowego wychowania. Wszyscy wyszliśmy przecież na ludzi.

– I co pisze Agnes? – pytam, siadając obok. Mnie również bardzo tęskno za siostrami.

– Wszystko dobrze u nich. Mają pracę, a to przecież najważniejsze.

Kiwam głową, choć widzę, że matkę jednak coś dręczy. Czekam, aż znów zacznie mówić.

– Tylko o dziecku nic nie pisze. Przecież ona już nie jest młoda. Zaraz będzie za późno.

– Nie wszyscy mają dzieci – próbuję tłumaczyć. – Czasem tak się zdarza, że nie można.

– Tylko chore nie mają – oburza się matka. – A Agnes zdrowa, silna. U nas zawsze dużo dzieci się rodziło.

Chciałabym jej przypomnieć, że w czterdziestym piątym Agnes została zgwałcona przez mongolskich wyzwolicieli. Wielokrotnie. Chciałabym jej przypomnieć, że od tamtego czasu już nie była ani taka zdrowa, ani silna i dopiero Leszek, który wrócił z wywózki, z pracy w radzieckich kopalniach, pomógł jej się podnieść i nauczył znów się uśmiechać. Chciałabym jej to wszystko teraz powiedzieć, ale wiem, że matka wyparła z pamięci tamte chwile. Nie będę jej mącić spokoju, który sobie stworzyła.

– Napiszę do Helenki, aby się za Agnes modliła. To pomoże. – Matka wkłada list do koperty, przekonana, że modlitwa mojej młodszej siostry, która wiele lat temu przyodziła zakonny habit, dopomoże w zmartwieniu.

Zostaję jeszcze przez chwilę, choć od czasu, gdy odebrano nam domy, nie lubię tego miejsca. Za dużo złych wspomnień, aby zdołały się przez nie przedrzeć te dobre.

– W niedzielę spotkamy się na defiladzie, a potem pójdziemy na kiermasz – mówię, gdy się żegnamy. – Antoś i Werka cię zabiorą.

Matka marszczy brwi, ale, o dziwo, nie protestuje. Już wiem, że zadanie, które dałam bratu, nie będzie trudne. Widać naprawdę musi lubić dziewczynę swojego jedyne go syna.

Gdy wracamy, jest już późno. Proszę Gosię, aby została ze Zbyszkiem na placu, a sama zaczynam przygotowywać obiad. Dziś nic wyszukanego. Ajlauf[13], a na drugie krupniok[14] z ciapkapustą.

Gotuję ziemniaki. Smażę na patelce boczek z cebulką. Gdy ziemniaki są już miękkie, sztampuję[15] je i mieszam z boczkiem i cebulą, a potem, do jeszcze gorących, wrzucam kiszoną kapustę. Cały czas walczę z pokusą, aby co chwila nie kosztować potrawy, która jest jedną z moich ulubionych. Wspaniale pachnie.

Krupnioki też skwierczą już na masełku. Za chwilę zawołam dzieci, niech zjedzą, zanim Władek wróci. Nie chce mi się nakrywać w drugim pokoju, a tak po kolei zjemy tu, przy kuchennym blacie pod oknem.

Głośne trzaśnięcie wejściowymi drzwiami burzy moje plany.

– Przepraszam, to przeciąg – mówi Władek, gdy wchodzi do kuchni. Oddycham z ulgą, już się bałam, że wraca z pracy wściekły.

– Myj ręce i chodź. Zjemy, a potem zawołam dzieci.

– Nie jestem głodny.

Przyglądam się mężowi z uwagą. Jak to nie jest głodny. Władek ma apetyt, nawet gdy jest chory.

– Zrobiłam ciapkapustę, przecież lubisz.

Władek wzrusza ramionami.

– Zawołaj dzieci, niech zjedzą. Ja zjem potem. – Odwraca się i wychodzi do łazienki.

Idę za nim, przecież nie pozwolę mu się tak zbyć. Widzę, że coś jest nie tak. Staję w drzwiach i przyglądam się, jak myje twarz. Pochylony nad zlewem, nabiera wody do złożonych na kształt miseczki dłoni i zanurza w nich brodę, nos, czoło. Woda zalewa mu włosy, spływa po rękawach koszuli. Nie podwinął ich.

– Chcą mi wręczyć medal – mówi, prostując się gwałtownie.

– Medal? Tobie? – pytam i zaraz orientuję się, że moje zaskoczenie jest co najmniej nie na miejscu.

– No właśnie – odburkuje Władek i wyciera ręcznikiem twarz. – Oni dobrze wiedzą, co robią.

Już o nic nie pytam. Czekam, aż sam zacznie mówić.

– Zośka, to taki szantaż. Jak przyjmę, jestem ich. Nie przyjmę, to – sama wiesz.

– Ale co to za medal? Za co?

Władek uśmiecha się smętnie.

– Order Sztandaru Pracy. Jestem ponoć przodownikiem.

Nie powiem tego głośno Władkowi, ale moim zdaniem to akurat prawda. Bez względu na to, po której stronie stoi mój mąż i w co wierzy, jest najlepszym drukarzem, i to nie tylko w naszej drukarni. Przecież już kilka razy przysyłano po niego samochód i wieziono to do Opola, to do Krakowa, bo tylko on potrafił naprawić zepsutą maszynę. Tylko on potrafił zaradzić klęsce.

– To nie tak źle. – Próbuję pocieszyć męża, gdy razem wracamy do kuchni.
– Wręczą ci, pogratulują i tyle. Nic strasznego.

– Wszyscy będą widzieli.

– Że jesteś dobrym pracownikiem. Co w tym złego?

– Dobrzy pracownicy zginęli w czerwcu, nie będę przyjmować medalu od ludzi, którzy mają krew tamtych na rękach.

Nie muszę się zastanawiać, o czym teraz mówi mój mąż. Doskonale pamiętam czerwcowe wydarzenia.

Wróg nieprzypadkowo obrał sobie jako teren prowokacji właśnie Poznań, w chwili gdy odbywają się tam międzynarodowe targi. Chodziło o to, aby rzucić cień na dobre imię Polski Ludowej, utrudnić rozwijanie naszej pokojowej współpracy międzynarodowej. (...) Sprawcy rozruchów, które miały charakter szeroko zakrojonej i starannie przygotowanej akcji prowokacyjno-dywersyjnej, zostaną ukarani z całą surowością prawa[16].

Stawiam przed Władkiem parującą zupę. Na zmartwienia nie ma nic lepszego niż dobry obiad.

Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciwko władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie[17].

Wciąż brzęczą mi w uszach słowa radiowego komunikatu. Tam naprawdę zginęli ludzie. Znów ulice miasta zostały poplamione krwią.

– No jedz, jedz. Muszę Gosię i Zbyszka wołać, bo już późno. Będą głodni.

Władek nie reaguje. Siedzi sztywno, wpatrując się bez ruchu w talerz.

– Powinniśmy stąd wyjechać. Masz siostrę w Niemczech, pozwolą nam, w ramach łączenia rodzin. W kilka miesięcy wszystko załatwimy.

Patrzę na Władka oniemiała. Wyjechać? Teraz, gdy mamy piękne mieszkanie, gdy zaczyna nam się dobrze żyć? Znów wszystko rzucić, pójść na poniewierkę tylko dlatego, że chcę przyznać mu medal?

– Nie zostawię matki. – Wyciągam najmocniejszy argument. – Za nic jej tu samej z Antkiem nie zostawię.

Walczę z napływającymi łzami, ale z drugiej strony chcę, aby Władek je dostrzegł.

– Taki ze mnie przodownik jak z koziej dupy trąbka – mruczy pod nosem i ściera mi te łzy, które zdążyły już popłynąć po policzkach. – Ale nie chcę wyjeżdżać. Tak tylko powiedziałem. Przecież wiesz.

Wiem, ale i tak oddycham z ulgą i zabieram się za nakładanie drugiego dania, zastanawiając się, gdzie ten medal będą Władkowi wręczali. Może na zbliżających się obchodach? Wtedy już na pewno zdołalibyśmy wyciągnąć matkę na defiladę.

– To już ostatni karton. Nic nie zostało. Możecie jechać! – krzyczę, przebijając się przez nieprzyjemne dla ucha trzaski w domofonie.

– Nie jedziesz z nami? – pyta Piotruś.

– Nie, poczekam na Konarskiego i oddam mu klucze.

– Możemy to potem razem zrobić.

– Wolę teraz. Nie chcę już ich nosić.

W domofonie zapada kilkusekundowa cisza.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Piotrek! Nie urodzę dzisiaj. A gdybym zaczęła, na pewno do ciebie zadzwonię.

Wiem, że nie powinna denerwować mnie troska męża, ale ciągle pytania o to, czy to już, zaczynają mnie irytować. A skąd ja mam wiedzieć, czy to już? Jak się zorientuję, powiem.

– No dobrze – wzdycha Piotrek. – Jadę, bo twój ojciec czeka na mnie w garażu. Do zobaczenia wieczorem.

– Pa – odpowiadam krótko, odkładam słuchawkę domofonu i odwracam się od drzwi. Sunę wzrokiem po pustych ścianach przedpokoju. Widzę miejsca, w których jeszcze wczoraj wisiały nasze zdjęcia i akwarelki kupione podczas wspólnych wycieczek. Gdyby nie te ciemniejsze plamy niewyblakłej farby, można by udawać, że nigdy tu nie mieszkaliśmy.

Ta kwatery nie miała jednak duszy. Gdy tylko oddam klucze Konarskiemu, zniknie po nas ślad. Tak jak zniknął po rodzinie, która wynajmowała ją przed nami. Pewnie nawet te ściany z jedynym dowodem naszej obecności odmalują.

Nie mogę okłamywać sama siebie, że nie boję się nadchodzących zmian. Głupek by się nie bał. Jestem jednak pewna, że nie będę tęskniła. To mieszkanie nigdy moje nie było, nigdy nie czułam tych pokoi, podłogi i sufitu. Teraz wracam do siebie. Jakkolwiek dziwnie to brzmi. W końcu wracam do siebie.

Konarski jest punktualny. Zamieniamy kurtuazyjnie kilka słów. Oddaję mu klucze, odpinając od nich filcowy breloczek. Dostałam go od Domi w dniu, w którym się tu wprowadziliśmy. Wychodzę. Zjeżdżam windą na parter, otwieram przeszklone drzwi i wraz z zapachem palonych liści, który zupełnie niespodziewanie wdziera się do mojego nosa, wciągam też w płuca zapach odzyskanej wolności. Przedziwne uczucie: odzyskać coś, jeśli nie miało się pojęcia o utracie.

Powinłam iść do mamy. Pół ich mieszkania stoi teraz zawałone naszymi kartonami. To, co się nie zmieściło, tata i Piotruś upychają właśnie w garażu. Niestety, będziemy się o ten nasz dobytek potykać przez wiele dni.

Rodzice jakimś cudem wygospodarowali dla nas jeden pokój, do którego wstawiliśmy nawet łóżeczko dla Zosi. Już pożegnałam się z nadzieją, że mała zaraz po urodzeniu znajdzie kątek w mieszkaniu swojej prababci. Remont potrwa wiele tygodni. Ważne, że decyzja została podjęta.

Po rozmowie z Ignacym przez szereg dni biliśmy się z myślami. Z jednej strony Dominika, którą natychmiast wtajemniczyłam w nasz pomysł, z drugiej – pan Ignacy podsyłali nam linki do stron informujących o unijnych dotacjach. Odwiedziliśmy również kilka biur i porozmawialiśmy z kilkoma urzędnikami. Dopiero gdy mieliśmy głowę i teczkę pełną bardziej i mniej realnych pomysłów na to, skąd uzyskać pieniądze na remont domu, a przede wszystkim pozostałości po starej kuźni, poszliśmy do mamy.

– Ale jak wy sobie dacie radę? – zmartwiła się. – Łatwo się Ignacemu mówi, ale przecież to masa pracy, załatwiania, kredyty. Dziecko, przecież ty lada dzień urodzisz.

Nie mogłam się klócić z mamą. Wiem, że to nie jest najlepszy moment na takie przedsięwzięcia, ale czy mieliśmy inne wyjście?

– Na razie zrobimy tylko to, co najważniejsze – zaczął wspierać mnie Piotruś. – Przebijemy ściankę. Już sprawdzałem. Da się. Trochę całość odświeżymy. Może uda się powiększyć toaletę. Reszta, gdy Zosia będzie już na tyle duża, że oboje z Oliwką będziemy mogli zaangażować się w pomysł z kuźnią i remontem całego domu.

– Czyli za jakieś dziesięć lat. Do tego czasu wszystko się rozpadnie. – Mama wciąż była sceptyczna.

– Nie takie rzeczy robi się z małymi dziećmi. – Do rozmowy włączył się tata. – Ludzie pół świata zjeżdżają z kilkutygodniowymi malcami. Dają radę.

– A co ty, Karol, taki chętny teraz? – Mama podniosła głos. – Przecież zawsze byłeś przeciwny tym domom.

– Byłem przeciwny, aby przeprowadzała się tam starsza kobieta, która przecież miała gdzie mieszkać. Byłem przeciwny temu, że ty albo Oliwia biegałyście tam po pracy, aby myć schody i prawie prosić lokatorów o zapłacenie czynszu; i tak zbyt małego, aby naprawić to, co się psuło.

– A teraz będzie inaczej?

– Gośka, oni są młodzi. Mają pomysł. Jeśli marzeniem Oliwki jest mieszkanie w takim zabytku, zamiast w nowoczesnym apartamencie, a Piotr się na to zgadza, tobie pozostaje tylko przepisać na nią spadek po babce.

– Mogłabym otworzyć przychodnię weterynaryjną od frontu. Tam, gdzie teraz jest sklepik z częściami do samochodów. Właściciel narzekał ostatnio, że mu firma źle idzie i chyba przyjdzie czas zamknąć interes.

Za wszelką cenę chciałam pokazać mamie, że naprawdę myślę o naszej przyszłości, że nie kierują mną wyłącznie emocje.

– Sama nie wiem. – Mama znów westchnęła, wstała i zaczęła zbierać naczynia po zjedzonym obiedzie. Podniosłam się z krzesła, aby jej pomóc.

– Siedź! – powiedziała stanowczo. – Jeszcze zdążysz się nabiegać i przy dziecku, i przy domach. Widać los naszej rodziny jest z nimi nierozzerwalnie związany.

Ojciec uśmiechnął się i dyskretnie uniósł kieliszek wina. Jak gdyby chciał wznieść toast. Mama zgromiła go wzrokiem.

Teraz, zamiast wsiąść do tramwaju i pojechać do rodziców, ruszam w kierunku domów, które już prawie należą do mnie. Wciąż nie potrafię objąć rozumem tego, że wystarczy jeszcze kilka rozpraw w sądzie, koniecznych, aby mama zrzekła się na moją korzyść domów babci, i oto stanę się gospodynią, właścicielką kamienic. I to nic, że

w tym przypadku nazwa „kamienica” jest mocno na wyrost, to nic, że tynk się sypie, dach przecieka, a poręcz przy drewnianych schodach ledwie się trzyma. To nic, że nasze przysze mieszkanie to na razie sterta gruzu, bo jak się okazało, nie wystarczyło jedynie pomalować i przebić ścianki. To wszystko mało ważne. Od kilku dni czuję, jakbym frunęła nad ziemią. A teraz, wchodząc w chłód bramy prowadzącej na plac między domami, czuję, że naprawdę jestem u siebie.

Ból pojawia się nagle. Dokładnie w chwili, gdy stoję na środku podwórka, głośnego od rozmów siedzących na ławce kobiet i śmiechu dwójki ich dzieci próbujących jeździć na hulajnogach po ubitej ziemi, pełnej wzniesień i zapadlin. Skurcz bardziej mnie zaskakuje, niż przestrasza. Czekam. Może kolejny nie nadejdzie. Mijają minuty, a może to sekundy. Wsłuchuję się w siebie, gładząc dłońmi brzuch. Staram się zachować spokój. W końcu odebrałam wiele porodów. Co prawda głównie psich, ale jednak mam jakąś wiedzę, wiem, co powinno się dziać.

– Wszystko w porządku, dobrze się pani czuje? – Jedna z kobiet podchodzi do mnie.

Odruchowo łapię ją za rękę, bo właśnie pojawia się drugi skurcz. Jeszcze silniejszy.

– Muszę jechać do szpitala – mówię. – Moja córka się rodzi.

Zosia
Grudzień 1958

– Urodziłem się już? – pyta mnie Zbyszek, przytulając dłonie do kaflowego pieca. Odrywam wzrok od płaszcza, z którego właśnie wypruwam podszewkę. Jest zupełnie zniszczona, muszę wszyć nową.

– Tak, przyszedłeś na świat rano – mówię i czuję, jak mimowolnie oblewam się rumieńcem. Wciąż nie przywykłam do takich rozmów. Dla mojej matki ciąża i narodziny dzieci były jednym z wielu zakazanych tematów, o których nigdy, przenigdy nie rozmawiała. Tym bardziej z dzieckiem. W dniu, w którym dostałam pierwszą miesięczkę i w panice, że umieram, pobiegłam do matki powiedzieć jej, że krwawię, dostałam w twarz, bo matka trzymała akurat na rękach kilkuletniego Antka. Chłopak wszystko słyszał.

Gdy sama chodziłam w ciąży, szeptała o tym fakcie tak, jakby mówiła o największym grzechu, a nie szczęściu, które powinno się odczuwać.

Teraz czasy się zmieniły, a Zbyszka nad wyraz wszystko interesuje. Pyta bez przerwy. Powinnam się już przyzwyczaić.

– Szybko przyszedłeś na świat. – Celowo mówię dalej, przełamując własną pruderyjność. – Duży i zdrowy jak rybka.

Zbyszek uśmiecha się i wybiega z pokoju. Nie mija chwila, a już słyszę trzask zamykanych drzwi wejściowych. Niech biegnie. Napadało nowego śniegu. Może chłopaki ulepią przed domem bałwana albo na górcie za domem sobie pojeżdżają.

Dziś są szóste urodziny Zbyszka. Boże, jak ten czas leci.

Gości zaprosiliśmy dopiero na sobotę, dziś Władek pracuje do późna. Zanim wyszedł, daliśmy Zbyszkowi prezent – łyżwy. Takie doczepiane do butów. Mocowane na skórzane rzemienie. Już od jesieni ciągle o nich mówił. Potrafił godzinami się przyglądać, jak Janusz i Kazio przygotowują buty, aby dopiąć do nich łyżwy. Co prawda ja uważam, że Zbyszek jest jeszcze za mały, ale Władek uparł się, że zrobi z niego hokeistę. Nasz solenizant bardzo się ucieszył, a jeszcze bardziej, gdy Władek obiecał, że w niedzielę po obiedzie pojedą do Katowic na lodowisko. Bliżej nas jest stawik, na którym co roku jeżdżą dzieci, ale lód nie jest mocny. Bałabym się go tam puścić.

Mam jeszcze jedną niespodziankę dla synka. W kredensie schowałam krepel[18], upiekłam je w nocy, gdy dzieci już spały. Zbyszek uwielbia pączki, a jemy je rzadko, bo to jednak bardzo dużo roboty.

– Mamo, mamo, jesteś? – Drzwi znów otwierają się z hukiem. Do mieszkania wpada Gosia.

– Tutaj. Szyję. Co tak późno? – odkrzykuję, ale niepotrzebnie, bo córka stoi już w progu pokoju.

Chcę ją ofuknąć, że nie ściągnęła butów i zdeptała cały przedpokój, ale widzę po jej minie, że to, co ma mi do powiedzenia, nie może czekać.

– Zuzanka od Kesiów ma Heinego-Medina. Wczoraj nogi jej sparaliżowało. Nie umie chodzić.

– Co ty za głupoty opowiadasz! – mówię szorstko i nazbyt głośno. Jakbym chciała zagłuszyć strach, który natychmiast rośnie w piersiach. – Ona była tylko przeziębiona. Nie, to niemożliwe.

– No mówię ci, aż dziwne, że nic nie wiesz, cała ulica o tym gada. W szkole o niej rozmawiali, a teraz jeszcze jej matkę widziałam. Cała zapłakana gdzieś biegła.

Zrywam się z krzesła, nie zważając na kilka szpulek, które leżały na moich kolanach. Turlają się teraz po podłodze, każda w inną stronę, rozwijając za sobą różnokolorowe ogonki. Nie zwracam na to uwagi.

– Biegnij po Zbyszka! – prawie krzyczę. – Jest gdzieś na placu.

Widzę, jak Gosia blednie.

– On się wczoraj z Zużą bawił. Kiesiowa mówiła, że jej już prawie przeszło i nudzi się w domu, to pozwoliłam Zbyszkowi do niej iść – odpowiadam na niezadane pytanie.

Gosia, nie czekając już ani chwili dłużej, znika za drzwiami.

Jestem bezradna wobec przerażenia, jakie mnie ogarnia. Wiem, że muszę się ruszyć, wiem, że muszę coś zrobić, cokolwiek, aby zminimalizować ryzyko, ale sama teraz stoję jak sparaliżowana. Przed oczyma przebiegają mi te wszystkie klepsydry wywieszane na drzwiach w ostatnich tygodniach, widzę małe białe trumienki i kolejne świeże groby na naszym cmentarzu. Nie mogę zapomnieć chudej i nienaturalnie wykręconej nóżki chłopczyka z ulicy Polnej, był pierwszą ofiarą choroby na naszym osiedlu. Gdy w końcu mógł wyjść z domu, pchany na dziecięcym wózku przez mamę, wszyscy przyglądali mu się jak małpce w dziecięcych książeczkach. Dotykali, oglądali niby z życzliwością, ale tak naprawdę wyłącznie dla zaspokojenia własnej ciekawości. To też było okropne.

Epidemia Heinego-Medina przetacza się przez nasze miasto od wielu miesięcy. Na nic zdają się szmaty nasączone odkażającym specyfikiem, którymi owijane są klamki w niektórych sklepach. Nic nie dają szczepienia, którymi objęto teraz obowiązkowo małe dzieci. Cieszyłam się, że Zbyszek jest już za duży. Na targu kobiety plotkowały, że to przez te szczepionki tyle teraz dzieci choruje, że te zaszczepione mają w sobie chorobę, którą zakażają innych. Jeśli tyle kobiet mówi to samo, to musi być w tym choć trochę prawdy. Boję się. Całe miasto drży o swoje dzieci.

Choć wydaje się, że przez ściskającą żołądek trwogę nie mogą już przedostać się żadne inne uczucia, do głosu dochodzi równie obezwładniające współczucie. To ono sprawia, że oczy stają się wilgotne. Dlaczego znów musiało trafić na Kiesiów? Taka dobra rodzina, taka pobożna i miła, a tyle nieszczęść na nią spada. Kilka lat temu Kieś zginął w wypadku w kopalni Barbara. Z osiemdziesięciu górników wtedy pożaru nie przeżyło. Władek mówi, że ofiar było jeszcze więcej, bo wśród górników byli też więźniowie, a ich łatwo było pominąć, nie wliczać w listy tych, co zginęli. Kiesiowa dostała od kopalni jakieś pieniądze, ale było tego jak na lekarstwo. Tyle tylko, aby jej usta zamknąć. Może gdyby jej najstarszy syn nie był już wtedy w seminarium, dostałaby więcej.

Rok po tej tragedii młodszy syn stracił nogę. Ponoć ktoś karbidką albo papierosem zaprószył ogień. Odratowano go, ale nogę ucięto, węgiel z niej tylko został. Chłopak już do końca życia będzie na utrzymaniu matki – wdowy. A teraz jeszcze najmłodsza córka, ukochana Zuzanka, która nawet nie pamięta nieżyjącego ojca, zachorowała. I tak

z czwórki dzieci, Kiesiowej do pomocy i pociechy w niedoli została tylko Stasia. Starsza z córek.

Dopiero gdy zdyszana Gosia i zapłakany Zbyszek stają przede mną, otrząsam się z letargu. Nie zważam na protesty synka i ciągnę go do łazienki, a nalewając do wanny gorącą wodę, rozbieram go z kurtki, butów, spodni i swetra. Zbyszek nie wie, o co chodzi, więc wyrywa się i drze wniebogłosy.

Ten lament i nerwy doprowadzają mnie na skraj wytrzymałości. Przerывam ściąganie ze Zbyszka ubrań, łapię go za ramiona i potrząsam gwałtownie.

– Zuzanka jest bardzo chora. Może umrzeć, a ty mogłeś się od niej zarazić. Rozumiesz?

Zbyszek natychmiast przestaje płakać, tak jakby ktoś w jednej chwili zakręcił kranik z łzami. Pewnie na każdym innym chłopcu taka mamina histeria nie zrobiłaby większego wrażenia, ale Zbyszek jest zbyt mądry, aby nie pojąć w mig powagi sytuacji. Choć szczerze mówiąc, nie wiem, czy szeroko otwarte oczy są teraz objawem lęku czy podekscytowania.

– Anna mówiła, że kąpiel w fiolecie może pomóc – tłumaczę już spokojniej.
– Będziesz miał fioletową wodę.

Łyzeczka nadmanganianu potasu, którą wlewam, natychmiast barwi wodę. Pomagam Zbyszкови wejść do wanny. Podaję mydło.

– Umyj się porządnie, a potem siedź w wodzie tak długo, póki nie zrobi się zimna
– pouczam synka i wychodzę z łazienki.

Przed drzwiami stoi Gosia. Jest wystraszona. Nie wiem, czy widmem choroby czy bardziej moją reakcją.

– W tamtym tygodniu byłam zobaczyć dziewczynkę, która umarła. Stasia Kieś poszła ze mną.

Patrzę na Gosię, w pierwszej chwili nie rozumiejąc, o czym mówi. Choć tak naprawdę wiem to doskonale, nie chcę tylko zaakceptować.

– Inne koleżanki też szły, a ja nigdy nie widziałam nikogo, kto umarł, chciałam zobaczyć.

– Widziałas babcię – przypominam córce głosem, którego nie poznaję.

– Wszystkie koleżanki szły się pomodlić – powtarza Gosia i wybucha płaczem.

Kiwam głową i na moment, odarta z wszelkich emocji, kładę dłoń na ramieniu córki. Tylko na takie pocieszenie teraz mnie stać.

– Wykąp się po Zbyszku i też wlej do wanny fiolet – mówię cicho.

Wiem, że nic nie dadzą krzyki, nic nie da dopytywanie, dlaczego mi wcześniej nie powiedziała i dlaczego wciąż, mimo swoich nastu lat, jest tak nieodpowiedzialna.

Zapominam o pączkach, zamiast wspólnego świętowania urodzin wysyłam dzieci wcześniej do łóżek. Szczotką szoruję wannę. Z fioletu, z brudu. Widzę śmiertelne zarazki, które Gosia i Zbyszek z siebie zmyli, i czyszczę wannę tak długo, dopóki ręce nie zaczynają mi mdleć z wysiłku.

Wiem, że teraz przez co najmniej kilka dni serce będzie mi się zatrzymywało na każde ich pociągnięcie nosem, na kaszel. Będę setki razy pytała o to, jak się czują i czy aby nie są osłabieni. Będzie mi się wydawało, że mniej jedzą, dłużej śpią i nie mają chęci

do zabawy.

A pewnego dnia od tak po prostu dam za wygraną. Oswoję lęk. Odpuszczę. Strach o życie dzieci wypala i niszczy. Rozlewa się czerwoną plamą przed oczyma i nic już poza nim nie widać. A najbardziej zawzięty jest wtedy, gdy jedno dziecko już się straciło.

To nieprawdopodobne, jak jeden dzień, kilka godzin, może zmienić perspektywę, może zburzyć i na powrót ułożyć naszą piramidę rzeczy nieważnych, ważnych i najważniejszych. Wszystko jest tylko umową, którą zawieramy sami ze sobą, aneksy do tej umowy są bardzo częste.

Leżę na szpitalnym łóżku, wciąż podłączona do kroplówki z płynami, które po ciężkim porodzie pomogą mi dojść do siebie. Obok, w kuwecie z pleksi, leży mój skarb – Zosia.

Nic nie szło tak, jak iść miało. Poród, który zaczął się szybko, nie chciał się zakończyć. Mijała godzina za godziną, kolejne znieczulenia zaczynały i przestawały działać. Oksytocyna też niczego nie przyspieszyła. Niby wszystko było, jak należy, tylko moje ciało nie chciało wypuścić Zosi na świat. Dopiero w nocy słabnące tętno małej skłoniło lekarzy do podjęcia decyzji o cesarskim cięciu.

Straciłam dużo krwi. Niska krzepliwość, która i dla mnie, i dla lekarzy była niemiłą niespodzianką, sprawiła, że stanęłam na granicy życia i śmierci. Konieczna była transfuzja, ale to już nie było ważne, bo najpierw usłyszałam płacz mojego dziecka. Najpierw położono mi ją na piersi i pozwolono dotknąć. Taką maleńką i zupełnie bezbronną. Wtedy naprawdę przemknęło mi przez myśl, że właściwie mogę już umrzeć, że spełniłam to najważniejsze zadanie. Byłam tak wyczerpana, że marzyłam tylko o tym, aby zasnąć. Wiedziałam, że Piotruś jest obok, że na pewno zaopiekuje się naszym dzieckiem.

Lekarze mieli jednak inne plany. Krew, witaminy, antybiotyk sprawiły, że z dnia na dzień czuję się lepiej.

Przez kilka dni byłam w ciągłym półśnie, przerywanym jedynie płaczem Zosi i nauką karmienia. Ani razu nie pomyślałam o domach, o toczącym się remoncie. Ten temat stał się zupełnie nieważny. Bez znaczenia.

Często wspominałam za to babcię Zosię. Jak wyglądały narodziny mojej mamy i wujka Zbyszka? Jakoś nigdy jej o to nie zapytałam. W domu, bez lekarza, bez sprzętów ratujących życie. Czy przeżyłabym w tamtych czasach? Czy moja mała Zosia zdołałaby przyjść na świat?

Jak niewiele czasem brakuje, aby szczęście zamieniło się w tragedię. Aby nie powstała żadna historia, żadna opowieść. Jesteśmy mali i delikatni jak muszka jednodniówka. Tylko wydaje nam się, że znaczymy więcej.

– Cześć, dziewczyny.

Nie zauważyłam, kiedy do sali wszedł Piotruś. On też wygląda już lepiej. W dniu, w którym rodziła się Zosia, swój strach widziałam w jego oczach.

Podciągam się na łokciach. Próbuje usiąść, ale wciąż kręci mi się w głowie. To skutki uboczne znieczulenia, jakie podano mi podczas cesarskiego cięcia; dobrze, że choć przestała mnie już boleć głowa.

Piotruś nachyla się nad śpiącą Zosią.

– Śmieszne minki robi – mówi. – Niby śpi, a cały czas czymś rusza.

– Rozmawiałam z lekarką, w piątek powinni nas wypuścić – zaczynam opowiadać, gdy Piotrek siada obok mnie. Od wczoraj jestem w pokoju sama, możemy więc swobodnie rozmawiać.

– To jeszcze trzy dni – wzdycha Piotruś. – Pusto bez was w domu.

Uśmiecham się z powątpiewaniem. Przecież wiem, że gdy wrócimy, zrobi się u rodziców naprawdę ciasno. Już odwykliśmy, już staliśmy się niezależni, tygodnie wspólnego mieszkania, bez względu na to, jak dobre relacje łączą nas z rodzicami, nie będą należały do łatwych.

– A jak remont? – pytam nieśmiało.

– Powoli, ale do przodu – odpowiada, siląc się na uśmiech, ale mnie nie zwiedzie. Nie patrzy na mnie, marszczy czoło. Coś jest nie tak.

– Piotr, co się stało?

– Ach, takie tam drobiazgi. Już załatwione.

– Ale co takiego? Piotr, mów. Nie mogę się teraz denerwować.

Mąż przygląda mi się uważnie.

– No właśnie chciałem, abyś się nie denerwowała.

– Mów! – powtarzam tak głośno, że jedna z pielęgniarek, która akurat przechodzi korytarzem, przystaje i gromi nas spojrzeniem. Uśmiecham się do niej przepraszająco.

– Myśleliśmy, że jest jeszcze jedna osoba do dziedziczenia domów. Ciotka Helena niespodziewanie przypomniała sobie, że masz jeszcze jednego wujka. Była pewna, że on też powinien mieć udział w spadku. Ale to nieporozumienie.

– Oczywiście, że nieporozumienie – odpowiadam. – Ciocia jest już stara, coś jej się pomieszało. Znam wszystkich swoich wujków i oni doskonale wiedzą o domach. Sam wiesz. – Uśmiecham się, choć w duchu zaczynam trochę przejmować się zdrowiem cioci. Czy takie pomyłki to początek kłopotów z pamięcią?

Zosia zaczyna kwilić, więc Piotrek nachyla się nad nią i bierze maleńkie zawiniątko na rękę. Znowu zalewa mnie fala wzruszenia a zarazem fascynacji doskonałością tego małego człowieka. Czuję, jak sprawy domów i opowieści cioci odpływają. Chętnie im na to pozwolę.

– Nieporozumieniem jest to, że człowiek, o którym mówi twoja ciocia, mógłby dziedziczyć po babci Zofii. To członek rodziny Zaleskich, nie Trauterów.

– Co ty mówisz? – pytam i jednocześnie głaszczę plecki Zosi. Oszłamia mnie jej zapach. Myślę, że to feromony tak pachną, magia, która sprawia, że matka nie porzuca i zawsze odnajduje swoje małe. Przecież tak samo działa to w świecie zwierząt.

– Jaki Zaleski, jaki Trauter? Nie rozumiem.

– Twój dziadek miał brata Józefa, prawda? – szepcze Piotr.

Przytakuję.

– Ale on już wiele lat temu zmarł. Jeszcze przed dziadkiem. Nie znałam go – wyjaśniam.

– Ponoć ten Józef miał syna. Mieszka w Warszawie.

– To niemożliwe, on nigdy nie miał żony.

Mój mąż patrzy na mnie tak, jakby chciał zmusić mnie do myślenia. Jakby czekał,

aż w końcu załapię, o czym mówi.

Wiem, że obecnie brak żony nie jest przeszkodą w posiadaniu dziecka, ale przecież to były zupełnie inne czasy.

– Nawet gdyby faktycznie miał nieślubnego syna, dlaczego wiedzę o tym posiadałaby akurat ciotka Helenka, siostra zakonna? – wypowiadam na głos biegnącą mi przez głowę myśl.

– W dniu narodzin Zosi twoja mama dzwoniła z nowiną i wtedy właśnie ciocia powiedziała jej o tym tajemniczym wujku.

– Ale po co?

– Myślała, że on też dziedziczy i nie chciała tego ukrywać. Myślała, że jest spadkobiercą.

– I na pewno nie jest? – upewniam się, bo choć wciąż wątpię w tę rodzinną tajemnicę, nie chciałabym, aby ktoś zupełnie mi obcy mógł mieć jakieś roszczenia i prawo do tego, co zostawiła babcia.

– Nie jest. To bratanek dziadka, a domy były przecież Trauterów, a nie Zaleskich.

– Jeśli to prawda, ciekawe, dlaczego ciotka nie powiedziała o tym, gdy babcia odzyskiwała domy? Albo teraz, gdy domów na rzecz mamy zrzekli się wujkowie i właśnie ciocia. Po co ukrywała tego człowieka, jeśli myślała, że on też ma prawo do domów?

Piotr patrzy na mnie bezradnie. Widocznie nie ma już nic więcej do dodania.

– Może sama dopiero się o tym dowiedziała – mówi w końcu, ale nie słyszę w jego głosie przekonania.

Zosia zaczyna kręcić główką i coraz głośniej prychać i sapać. Wiem, o co chodzi mojemu dziecku. Jest głodne. Już nie mogę myśleć o dziwnej rodzinnej tajemnicy. O tej niezrozumiałej sprawie. To niedobry czas na odgadywanie takich zagadek. Wyciągam rękę, a Piotruś kładzie mi córeczkę na piersiach. Przez chwilę obie staramy się do siebie dopasować. To nie jest łatwe i nie ma nic wspólnego ze słodkimi obrazkami karmiących mam, które pojawiają się w reklamach produktów dla niemowląt.

W końcu Zosia przypomina sobie, co powinna robić, aby się najeść. Kładę głowę na poduszce. Wystarczyła chwila intensywnej rozmowy, abym poczuła się zupełnie wyczerpana.

– Muszę porozmawiać z ciocią Helą – mówię cicho. – Jak wyjdziemy ze szpitala, zadzwonię. Ale wątpię, aby ten człowiek istniał.

Piotruś potakuje. Chyba jest zmartwiony. Może ma wyrzuty sumienia, że powiedział mi o czymś, co wywołało we mnie niepotrzebne emocje. Przecież teraz muszę być spokojna. Dla siebie i małej Zosi.

Ściskam dłoń, którą gładzi mnie po włosach. Teraz jesteśmy całością. W trójkę. Zamykam oczy. Słyszę, jak Zosia przętyka. Czuję, jak ssie moją pierś. Wyobrażam sobie, jak rośnie z każdym łykiem. Zdrowa. Nasza.

Zosia
Maj 1959

– Tyle zamieszania – komentuje Władek i sięgając zza moich pleców, wykrada gotowane ziemniaki, które właśnie kroję na szalot[19]. – Warto się tak męczyć?

Uderzam go lekko po palcach.

– Dwudziesta rocznica ślubu. Należało wszystkich zaprosić.

– Ja tam wolałbym pojechać z tobą do lasu na piknik. Tylko my dwoje, jak kiedyś.

Uśmiecham się do jego wspomnień. Faktycznie nie pamiętam, kiedy byliśmy gdzieś tylko we dwoje. Odkąd pojawiły się dzieci, jakoś nie wypada, nie godzi się podrzucać ich mamie tylko po to, aby spędzić ze sobą kilka chwil.

– Obiecuj mi, że latem, gdy Gosia i Zbyszek pojedą na kolonie, pójdziemy zobaczyć, czy nasze drzewo jeszcze stoi. Już kilka lat tam nie byliśmy.

To prawda, wszystko tak gna do przodu. Pory roku mijają. Już nawet nie dostrzegam tych zmian. A przecież kiedyś szukało się pączków na drzewach, cieszyło z pierwszych wschodzących kwiatów, z opadających liści i śniegu, który zawsze przychodził niespodziewanie. Odwracam się do męża.

– Dwadzieścia lat. Czy my jesteśmy już starzy?

Władek wyciąga mi z ręki nóż, który wciąż trzymam, i przytula mnie do siebie.

– Dopóki starzejemy się razem – szepcze mi do ucha – wszystko jest w porządku. Nie przeszkadzają mi ani twoje siwe włosy, ani moje zmarszczki.

– Mamo! On znów zabrał mi pióro i teraz nie wie, gdzie je położył!

Czar chwili pryska. Patrzę na Władka i teatralnie wzdycham. Ot, cały nasz romantyzm.

– Dajcie mamie spokój, ma robotę – gani dzieci Władek. – Zbyszek, nie rozumiem, po co zabierasz siostrze rzeczy, jeśli masz swoje.

– Bo jej lepiej pisze.

Odwracam się z powrotem do kuchennego blatu. Władek ma dziś wolną sobotę, niech się zмага z tym, z czym ja walczę na co dzień. Zresztą faktycznie roboty mam sporo. Na dzisiejszą kolację, którą mamy uczcić naszą rocznicę, zaprosiłam tyle osób, że musiałam pożyczyć od Kiesiowej krzesła. Zbyszek z Zuzanką nosili je do nas rano. Aż radość bierze, jak ta mała Kiesiówna pięknie biega. Po chorobie Heinego-Medina śladu już nie ma.

Wieczorem przyjdzie moja matka, Antoś z narzeczoną, Anna, Paulek i Ignas. Nawet Helenka dostała dziś pozwolenie na opuszczenie zakonu.

Powinna przyjechać za godzinę, zostanie aż do poniedziałku. Wysłałam zaproszenie również Józefowi, ale kto to wie, czy przyjedzie, kto to wie, gdzie on teraz przebywa. Już ładnych kilka tygodni nie mamy z nim kontaktu. Żal tylko, że Agnes i Leszka nie będzie. Czasem boję się, że już nigdy nie zobaczę siostry. Wciąż łatwo jest wyjechać. Wrócić nie pozwalają.

Aby osłodzić trochę żal z powodu odległości, jaka nas dzieli, Agnes przysłała ogromną paczkę. Zazwyczaj paczki od siostry otrzymujemy na Boże Narodzenie, w tym

roku zrobiła nam wszystkim majową niespodziankę.

W środku znalazłam kawę i słodczyce, jakich u nas nie można dostać. Dla dzieci Agnes przysłała pióra, o które teraz właśnie toczy się spór, dla Gosi jeszcze piękną bransoletkę. Dla Zbyszka jakieś kolorowe gazetki o samochodach i motocyklach. My też otrzymaliśmy prezent na rocznicę. Dwie porcelanowe filiżanki. Już stoją na romie[20]. Zdobia kuchnię.

Gdy przed obiadem przyjeżdża Helenka, uciechy jest co niemiara. Jej zakon nie jest wcale daleko. Do Bielska mamy zaledwie dwie godziny pociągiem. Gdy pracowałam w Pszczynie, taki dystans pokonywałam rowerem. A jednak tak trudno się wybrać. Nieczęsto odwiedzamy siostrę. Ona, z natłokiem obowiązków, z klasztornymi zakazami i nakazami, jest u nas jeszcze rzadszym gościem. Teraz cieszymy się swoim towarzystwem i choć proszę siostrę, aby po podróży odpoczęła, prawie natychmiast włącza się w przygotowania.

– Kiedyś tym jedzeniem najadłaby się cała nasza ulica – mówi, układając na talerzu plasterki szynkowej.

– Gdybyś ty wiedziała, ile ja musiałam za to zapłacić. I ile wychodzić. Ale faktycznie dużo tego. – Patrzę na półmiski wypełnione potrawami. – Myślisz, że to grzech? Chciwość, tyle mieć?

– Sophie. – Helenka wciąż jeszcze tak mnie nazywa, nie oduczyła się, mimo że wszyscy ją za to strofowaliśmy. – Pamiętasz, jak ojciec kroił jednego śledzia na sześć części, abyśmy wszyscy dostali choć po kawałeczku?

Nie muszę odpowiadać, głodu nie da się zapomnieć.

– Myślę, że to był grzech. Nie wiem czyj, nie wiem, kto zawinił, że tak było, ale człowiek powinien żyć godnie. Nie powinien przymierać głodem.

Zastanawiam się przez chwilę nad tym, co powiedziała moja młodsza, mądra siostra. Ma rację. Nie może być grzechem radość życia, pełen talerz i pełne brzuchy najedzonych dzieci.

Po południu dom wypełnia się ludźmi. Nasz największy pokój pęka w szwach, ale jest bardzo miło. Cieszę się, że udało mi się zebrać prawie wszystkich, na których mi zależy. Nie ma Józefa, ale to nie jest zaskoczeniem ani dla mnie, ani dla Władka. Patrzę na kolejne kieliszki wódki wypijane przez mężczyzn. Może lepiej, że nie przyjechał. Polityka lubi alkohol, wpełza po nim na wierzch. A ostatnie, czego chcę na naszym przyjęciu, to kłótnia.

Panujący gwar niespodziewanie przerywa Władek. Wstaje i głośnym chrząknięciem oraz ruchem dłoni nakazuje wszystkim milczenie. Nie od razu słuchają, ale po jakimś czasie faktycznie robi się cicho.

– Będiesz przemawiał? To nie spotkanie partii – dogryza mu Paulek, a ja znów się cieszę, że nie ma z nami Józefa.

– Chcę powiedzieć, że taki dzień nie może się zakończyć bez prezentu. – Władek patrzy na mnie. – Zosiu, mam nadzieję, że ci się spodoba.

Ja też mam nadzieję, nie wiem tylko, co ma mi się spodobać, bo w rękach męża nie widzę nawet najmniejszej paczuszki.

– Antoś, chodź. – Władek kiwa na Antka i obaj wychodzą z pokoju.

Wszyscy są ciekawi, więc cisza panuje nadal. Nasłuchują. Ja również. Panowie wracają po chwili, z trudem niosąc ogromne pudło. Jakim cudem wcześniej go nie zauważyłam?

– To telewizor – szepcze Paulek. – No, no, Władek. – Kiwa z uznaniem głową.

– Zosiu, to prezent dla nas. – Władek wyciąga do mnie rękę, abym podeszła.

Jestem tak zaskoczona, że nie mogę się ruszyć. Za to reszcie nie trzeba powtarzać, dzieci aż skaczą i piszczą z podekscytowania.

– W naszej klatce jeszcze nikt nie ma! – krzyczy Gosia i rzuca się Władkowi na szyję. – Zaprosimy wszystkich, tak, tatku? Niech zobaczą.

Władek cały czas patrzy na mnie. Wie, że nie zawsze podoba mi się nadmiar. Że czasem zamiast kolejnych rzeczy wołałabym jego. Uważam, że za bardzo rozpieszcza dzieci i mnie. Ale dzisiejsza rozmowa z Helenką coś we mnie zmieniła.

– Przepraszam bardzo – mówię głośno, wstaję z krzesła i próbuję przycisnąć się do Władka. – To w końcu mój prezent, chcę zobaczyć. – Piękny! – Nie potrafię ukryć zachwytu, gdy telewizor zostaje w końcu wyjęty z pudła i ustawiony na stole, z którego Gosia i Ania szybko pozbierały talerze i półmiski.

– I jaki duży – dodaje równie zachwycony Zbyszek.

Telewizor rzeczywiście prezentuje się wspaniale. Ekran w błyszczącej obudowie, a na niej jasne pokręta. Dotykam jednego z nich.

– To regulacja głosu – mówi Władek, wyraźnie zadowolony moim zainteresowaniem.

– Po co tłumaczyć, sprawdźmy. Podłączmy go! – woła Paulek.

I znów wszyscy próbują zorganizować miejsce, w którym miałyby stanąć telewizor. Anna przesuwając fotel, Władek z Paulkiem przynoszą z drugiego pokoju niewielki stolczyk.

– To tymczasowo, musimy kupić szafkę – mówi do mnie Władek, gdy w końcu telewizor zostaje podłączony do prądu.

Pochyliła się i manipuluje przy włączniku. Wszyscy znów milkną, wstrzymując oddech. Tylko matka, na którą w całym zamieszaniu zupełnie nie zwróciłam uwagi, siedzi skulona za stołem, odcięta od tego, co robimy.

Podchodzę do niej.

– Dobrze się matka czuje? Taki hałas się zrobił, pewnie to przeszkadza?

Podnosi głowę.

– Dobrze, dobrze, tylko tak sobie myślę, że już pora umierać.

– Co też za głupoty mówicie – ofukuję ją.

– Pora, bo ja do innego świata należałam. Prostsze. Tego waszego zupełnie nie rozumiem. – Antoś – zwraca się do syna. – Pojechałabym już.

Antek, który zobowiązał się, że odwiedzi matkę, gdy tylko poczuje się zmęczona, kiwa głową i natychmiast podnosi się z krzesła. Obok skrzyżowania przy zegarze stoją taksówki. Pobiegnie po jedną z nich.

Dotykam siwych przeredzonych włosów, nadal zaplecionych w warkocz i spiętych w lichutki koczek srebrną klamrą, którą kiedyś dostała od nas na geburstag.

– To może ja z matką pojedę – deklaruje się Helenka, która słyszy rozmowę.

Matka kręci głową.

– Ty zostań. Tak mało masz teraz przyjemności, a zabawa w życiu też ważna. Przeca inaczej by jej Jezusek nie wymyślił.

Zastanawiam się, od kiedy matka ma takie poglądy. Wcześniej raczej fukała, gdy któraś z nas wspomniała o potańcówce czy choćby wyjściu do kina.

Helenka chce zaprotestować, ale uprzedzam ją.

– Antoś szybko wróci. A matka pewnie i tak zaraz spać pójdzie. Jutro sobie pogadacie do woli.

Może to dziwne, ale czuję, wiem, że w maleńkim mieszkaniu, które matka dzieli z Antosiem, obecność Helenki będzie ją krępowała. Welon zakonny wokół twarzy wzbudza szacunek i dystans, nawet do córki. A przecież tam, gdzie nie ma łazienki, czasem trzeba skorzystać z wiadra.

– Jeeest! – Chóralny okrzyk sprawia, że odrywam wzrok od matki.

– Zobacz, Zosiu, zobacz, jaki piękny obraz. Wszystko doskonale widać.

Podchodzę do Władka i obejmując go mocno, przyglądam się migającym obrazom.

– To teatrzyk! – woła podekscytowany Zbyszek i siada po turecku na podłodze, za nim to samo robi Gosia. Inni ustawiają krzesła tak, aby mogli patrzeć na ekran.

– Niesamowite – komentuje podekscytowany Paulek. – Jak to w ogóle jest możliwe?

Nagle przypominam sobie dzień, w którym po raz pierwszy usłyszałam głos płynący z radia. Wieki temu, jeszcze przed wojną. Też zastanawiałam się, jak to jest możliwe. Bałam się głosu, który wydobywał się z tamtego pudełka. Miałam rację, bo niedługo potem właśnie radio przyniosło nam początek wojny. Mam nadzieję, że telewizor będzie przekazywał jedynie dobre wiadomości.

Zapatrzeni w ekran nawet nie zauważamy, kiedy wchodzi. Jak zwykle pojawia się, gdy już nikt się go nie spodziewa.

– Dlaczego nie zamykacie drzwi?

Niespodziewany głos sprawia, że aż podskakuję.

– Józef! Na litość boską, pojawiasz się jak duch. – Władek pierwszy podchodzi do brata, ściska jego prawicę i klepie po plecach. – Co tak późno?

– Coś zatrzymało mnie dłużej, niż sądziłem. Nie zdążyłem na wcześniejszy pociąg.

– Dobrze, że w ogóle dotarłeś – dopowiadam szybko.

Zawsze, gdy pojawia się Józef, dopada mnie wrażenie, że kłótnia wisi w powietrzu. Tylko czekam, aż padnie to jedno zbędne słowo, po którym nikt nie będzie już się hamował.

Dziś jednak nic takiego się nie dzieje. Paulek jest zbyt pochłonięty naszym rocznicowym prezentem, reszta też skupia się na oglądaniu programu bądź na rozmowie o nim.

Przyglądam się Józefowi, jest dziś inny niż zwykle. Siedzi za stołem, w najbardziej opustoszałym kącie. Nie włącza się do żadnych dyskusji, nie rzuca dowcipami, jak to ma w zwyczaju. Jedyne jego aktywność związana jest z butelką wódki, której z każdą chwilą coraz bardziej ubywa. Patrząc też na Helenkę. Ona również siedzi samotnie, na fotelu pod oknem. Jej twarz pozostaje łagodna i przyjazna wszystkim wokół, widzę jednak wyraźnie,

że myśli błądzą zupełnie gdzie indziej. Dojrzewająca wśród ciszy i harmonii klasztornych murów musi być już zmęczona naszą paplaniną i wychwalaniem rzeczy na wskroś materialnej. Może żałuje, że nie pojechała z matką.

Józef i Helenka, przez większość życia stojący po przeciwnych stronach barykady, dziś są sobie najbliżsi, najbardziej do siebie podobni.

Goście, z ociąganiem i kilkukrotnymi powrotami, wychodzą od nas grubo po północy. Zostaje Helenka i Józef. Mimo dużego mieszkania trudno jest mi ułożyć wszystkich do snu. W końcu Władek i Józef idą spać do pokoju, w którym już od kilku godzin śpi Zbyszek. Helenka, Gosia i ja kładziemy się natomiast w dużym pokoju w poprzek jedynej kanapy, na której zwykle sypiamy z Władkiem.

– Jak byliśmy małe, właśnie tak spałyśmy – przypomina Helena. – We trzy w jednym łóżku, aż do twojego ślubu.

– Wesoło było. Nigdy nie zasypiałyśmy od razu, obojętnie, jak bardzo byliśmy zmęczone. Tyle rzeczy było do opowiedzenia. Gadałyśmy, dopóki matka z kuchni nie sprzeżywała[21] nas i nie kazała zasnąć.

Kładziemy się obok siebie. I tak jak kiedyś z Agnes łapiemy za ręce. Gosia zasypia prawie natychmiast. Delikatnie, aby jej nie obudzić, całuję córkę w policzek. Mogłaby być moją siostrą, w tej chwili czuję, jakbyśmy wszystkie trzy były siostrami. To niemożliwe, że jestem już mamą nastolatki. Zupełnie tego nie czuję.

Helenka też już śpi. Ja długo jeszcze patrzę na cienie przesuwające się po ścianach pokoju, rozświetlonego uliczną lampą. Nasłuchuję hałasów z za okna. Słyszę obcasy jakiejś kobiety. Dokąd idzie o tak późnej porze? Rozmowy mężczyzn, pewnie wracających z baru. Szczekanie psa. Wdycham zapachy, którym przesiąknięte jest powietrze. Potrawy, dopiero przed chwilą wyniesione do kuchni, zostawiły swój ślad, zmieszały się z zapachem, którego źródłem jest nowiutki telewizor. Dziwny ten zapach, trochę obcy.

Budzę się za wcześnie. Mała wskazówka zegara ledwie dotyka szóstki. Jestem zła na siebie, bo przecież niedziela to jedyny dzień tygodnia, gdy można się wyspać, gdy nie trzeba wstawać z łóżka skoro świt i szykować śniadania najpierw Władkowi, a chwilę później dzieciom.

Niedziela to jedyny dzień, w którym to dzieci wstają przed nami. Przyjemnie jest w półśnie słuchać ich szeptów i chichotów.

Dlaczego dziś obudziłam się pierwsza? Może przez brak Władka obok, może przez niewygodną konieczność spania z nogami na dostawionym do łóżka krześle. Gosi najwyraźniej ta uciążliwość nie przeszkadza, śpi zwinięta jak niemowlę, wbijając mi kolana w biodra.

Mija dłuższa chwila, nim orientuję się, że pchamy się tak na siebie zupełnie niepotrzebnie, że miejsca na tapczanie jest teraz wystarczająco dużo. Helenki nie ma. A więc to nie ja obudziłam się pierwsza.

Nasłuchuję. Może wstała tylko za potrzebą i zaraz znów wsunie się pod ciepłą jeszcze kołdrę? Może poszła się czegoś napić do kuchni?

Nieobecność siostry przedłuża się jednak, a ja, zupełnie rozbudzona ciekawością, podnoszę się i siedząc z bosymi nogami opartymi o chłodne deski parkietu, wsłuchuję się

w ciszę panującą w mieszkaniu. Dom wydaje się pogrążony we śnie, a jednak gdzieś zza zamkniętych drzwi, gdzieś w głębi słyszę ciche szelesty, szepty świadczące o tym, że jednak nie wszyscy śpią. Ktoś rozmawia, próbując pozostać nieodkrytym.

Może Zbyszek się obudził i teraz Helenka opowiada mu którąś ze świętych przypowieści. Dzieci tak bardzo lubią słuchać miękkiego i uspokajającego głosu rzadko widzianej ciotki. Powinnam się położyć i spróbować jeszcze pospać choć pół godziny, przecież nie dzieje się nic złego.

A jednak coś odebrało mi ochotę na sen, coś niepokoi i sprawia, że nie mogę wyleżeć w łóżku. Wstaję i cicho, na palcach, podchodzę do drzwi. Uchylam je ostrożnie, uważając, aby zawiasy nie skrzypnęły. Na szczęście Władek dba o to, by w mieszkaniu wszystko działało jak w zegarku, więc drzwi otwierają się bezszelestnie.

Teraz, gdy stoję już w przedpokoju, słyszę wyraźnie szepty. Wiem, że dobiegają z kuchni i wiem, do kogo należą. Serce zaczyna mi uderzać dziwnie szybko. Jak to? Po co takie poranne schadzki, gdy wszyscy wokół śpią? Po co tajemnice? Jakie tajemnice?

Korytarz zakręca, ja z nim. Staję na wprost kuchennego blatu, przy którym siedzą dwie postacie. Helenka w habicie i welonie zasłaniającym włosy i Józef we Władkowych spodniach od pizamy i rozpinanym swetrze są tak pogrążeni w cichej rozmowie, że zupełnie mnie nie zauważają. Mogłabym tak stać bez ruchu i pewnie usłyszałabym wiele, pewnie potwierdziłabym bądź rozwiała moje obawy, ale przecież nie mogę podsłuchiwać. Nie mogę. Zaczynam więc kaszleć.

– Zakrztusiłam się – mówię, gdy dwie pary zaskoczonych oczu spoglądają na mnie.
– Muszę się napić wody.

Wchodzę śmiało do kuchni i odwracam się do pieca, na którym stoi garnek z wczorajszą herbatą. Nalewam gorzki napar do szklanki i piję powoli, dając czas na uspokojenie emocji, tych za moimi plecami.

Gdy się odwracam, Helenka stoi przede mną. Bardzo blisko. Józefa już w kuchni nie ma.

– Co widziałam? – pytam wprost, w końcu to moja młodsza siostra.

W oczach Helenki nie ma strachu, zmieszania czy złości. Panuje w nich zwyczajny spokój i to powoli mnie uspokaja.

– Nic nie widziałas, Sophie.

– Nie mogliście spać? Równocześnie zachciało wam się pić?

– Józef poprosił mnie wczoraj o rozmowę. – Helenka odpowiada szczerze. – Nie mogłam odmówić.

Nie wiem, co zrobić. Wiem natomiast, że jej powołaniem i celem w życiu jest niesienie pomocy innym. Ale z jakim problemem mógł się chcieć zwrócić Józef do siostry zakonnej? Czy ktoś z jego światopoglądem, największy wróg Kościoła, jakiego poznałam, mógł chcieć dzielić swoje troski z Helenką?

– Dlaczego nie porozmawiał z Władkiem? – pytam, choć przecież doskonale znam odpowiedź.

Helenka kładzie mi rękę na ramieniu.

– Sophie, on chciał rozmowy ze mną. Nic więcej nie muszę, nie mogę ci powiedzieć. Nie nalegaj.

Siostra obraca się i wychodzi z kuchni. Tak po prostu. Jak gdyby nic się nie wydarzyło...

Nic się nie wydarzyło... Nic się nie wydarzyło...

Mimo że kończy się już wrzesień, pogoda nadal przypomina letnią. Gdyby nie zmieniające się kolory liści i gromady dzieci wokół kasztanowców, można by pomyśleć, że to dopiero czerwiec i najcieplejsze miesiące jeszcze przed nami.

– Trzeba korzystać ze słońca – mówię do Zosi i kładę ją na przewijak. – Założymy sweterek i wyjdziemy na spacer. Nie ma co w domu siedzieć.

Zośce pomysł z ubieraniem nie do końca się podoba. Płacze i zaciska małe piąstki, aby wszystko mi utrudnić, ale nie daję za wygraną i po kilku chwilach obie jesteśmy gotowe do drogi.

Szczerze mówiąc, ten spacer to trochę ucieczka. Wykorzystałam moment, w którym zostałam w domu sama. Piotruś w pracy, tata w pracy, a mama pojechała do galerii kupić sobie garsonkę na chrzest wnuczki.

Gdyby któryś z domowników był obecny, na pewno nie pozwoliłby mi wyjść samej. Wciąż o mnie drżą. Nic nie dają tłumaczenia, że czuję się już doskonale, że wyniki badań mam dobre i na pewno nic mi się nie stanie. Boją się, że na ulicy mogę zasłabnąć, boją się, że wciąż jeszcze nie doszłam do siebie.

A ja potrzebuję jedynie chwili dla siebie. Zosia zasypia, gdy tylko wkładam ją do wózka, więc spacer mogłyby być idealnym czasem na pozбиieranie myśli. Mogłyby, gdyby wciąż ktoś mi nie towarzyszył. Dlatego dziś uciekam.

Nie myliłam się, patrząc przez okno. Na dworze jest przyjemnie. Wchodzimy do parku pełnego dzieci i psów. Nie przeszkadza mi takie połączenie. Jeśli tylko opiekunowie i malców, i czworonogów są odpowiedzialni.

Jako młoda mama powinnam zaglądać do wózków innych kobiet, lecz o wiele chętniej zerkam na to, co biegnie na smyczy. Odkąd pamiętam, kochałam zwierzęta. Może dlatego, że z powodu silnej astmy ojca nigdy nie miałam ich w rodzinnym domu. Wybór studiów i pracy był oczywisty. A że zawód weterynarza uznawany jest również za niezłe płatny, rodzice popierali mnie w tej decyzji. Gdy zamieszkaliśmy razem z Piotrkim, nasze mieszkanie zaczęły odwiedzać przeróżne zwierzęta. Czasem lecznicowi rekonwalescenci, czasem pozostawione u nas na czas urlopu zwierzaki znajomych. W końcu pojawił się również schroniskowy Bruno – owczarek niemiecki. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Patrzę na śpiącą Zosię i myślę, że powinna się wychowywać w towarzystwie psa bądź kota, że choć po śmierci Bruna – cierpiał na nieuleczalną chorobę nerek – obiecałam sobie, że już nigdy, przenigdy nie pozwolę sobie na taką miłość, która zawsze za wcześnie odchodzi, może już czas. Postanawiam, że gdy tylko przeprowadzimy się do naszego mieszkania, kupimy psa. Wiem, że Piotrek się zgodzi, sam nieraz o tym wspominał.

Pchając wózek, zaczynam rozmyślać nad rasą najbardziej odpowiednią dla małego dziecka. W końcu wybór znów pada na psa ze schroniska. Uśmiecham się sama do siebie, postanawiając również, że za kilka dni wraz z Zosią pójdziemy w odwiedziny do mojej przychodni. Muszę pilnować, aby nie zabrakło tam dla mnie miejsca.

Zrelaksowana, w doskonałym nastroju, siadam na najbliższej ławce i właśnie w chwili, gdy próbuję zacząć czytać zabraną ze sobą książkę, przypomina mi się ciocia Helenka.

Odkąd przyjechałam z Zosią do domu, kilkakrotnie wracaliśmy do rozmowy o tajemniczym synu Józefa. Mama i wujek Zbyszek byli nie mniej zaskoczeni nowiną. Wciąż zastanawiamy się, czy leciwa już ciocia czegoś nie pomyliła.

– Przecież ktoś by wiedział. Ojciec, mama. Takich rzeczy nie da się długo ukrywać – zastanawiał się wujek Zbyszek.

– Helena by nie kłamała.

– Nie twierdzą, że celowo kłamie. Twierdzą, że coś jej się pomyliło.

Takich rozmów było co najmniej kilka. I choć ciekawość narastała chyba u wszystkich równomiernie, przez pierwsze dni pobytu w domu z małą Zosią nikt nie miał głowy ani chęci na rozmowę z ciocią i być może na konieczność wyprowadzenia jej z błędu. To może być przykre dla niej i dla tego z nas, kto zdecyduje się na telefon do niej.

Wiedziona nagłym impulsem, w pośpiechu, aby nie zmienić zdania, otwieram przymocowaną do wózka torbę i z jednej z przegródek wyciągam telefon. Mam szczęście, że jakimś cudem był tam, gdzie być powinien. Wybieram numer, przykładam telefon do ucha i biorę głęboki oddech. Czekam.

– Szczęść Boże, Oliwko. – Ciocia dopiero od kilku lat, na zakonnej emeryturze, dostała zgodę na posiadanie telefonu, a i tak bardzo rzadko decyduje się go włączyć. Najczęściej leży gdzieś w szafce, zupełnie zapomniany. Albo miałam dziś szczęście, albo ciocia na mój telefon po prostu czekała.

– Dzień dobry. Szczęść Boże, ciociu – odpowiadam zmieszana pozdrowieniem.

– Dziecko, jak dobrze, że dzwonisz. Małgorzata mówiła, że mała Zosia z wielkim trudem przyszła na ten świat. Modliłam się o wasze zdrowie. Czy już wszystko dobrze?

– Tak. Obie z Zosią czujemy się świetnie.

– To dobrze, to dobrze.

Ciocia milknie, ja również nie wiem, jak kontynuować rozmowę. Cisza staje się krepująca.

– Ciociu, chciałam cię zaprosić na chrzciny Zosi. Za dwa tygodnie u nas w parafii. Ciocia wzdycha.

– Moja kochana, przyjadę, jak tylko zdrowie mi pozwoli. Ostatnio strasznie puchną mi nogi.

Kiwam głową na znak, że rozumiem. To śmieszne, że odruchowo wykonujemy gesty, których rozmówca i tak nie może dostrzec.

– Pamiętam chrzest twojej matki, jakby to było wczoraj. – Ciocia zaczyna snuć opowieść, zawsze pięknie opowiadała. – Była okropna pogoda. Zosia się bała, że Małgosia się przeziębi. Ale potem wyszło słońce.

Kilkakrotnie otwieram usta, aby w końcu zapytać ciocię o to, po co zadzwoniłam, ale trudno jest mi jej przerwać.

– Wiele osób składało życzenia. Byli sąsiedzi z naszych domów i z tych baraków, do których Władka i Sophie przenieśli. No i przyjechał też Józef. Wszyscy byli

wstrząśnięci jego wizytą.

– Właśnie, ciociu...

– Zawsze, kiedy przyjeżdżał, siał zamęt. Ale wiesz, w głębi serca to był dobry człowiek.

– Ciociu!!!

– Och, słucham, Oliwko. Jak zwykle za dużo mówię.

– Ciociu, czy to prawda, że Józef miał syna?

– Miał.

– I przez tyle lat nikt o nim nie wiedział? Dlaczego? Jak to możliwe?

– Czy to ważne, Oliwko?

– Gdyby nie było ważne, nie powiedziałabyś o tym mojej mamie. Ciociu, czy jesteś pewna, że Józef miał syna? Może to chodzi o kogoś innego.

Słyszę, jak ciotka wzdycha głośno. A potem przez chwilę dobiega do mnie tylko tłumione pokasywanie.

– Wiedziałaś, że starej kobiecie nikt nie uwierzy.

W głosie cioci wyraźnie wyczuwam urazę. Muszę ją ułagodzić.

– To nie tak, że nie wierzymy. Tylko dlaczego ciocia nigdy wcześniej o nim nie wspominała? Czy dziadek i babcia też nie wiedzieli? Trudno w to uwierzyć.

Ciocia znów wzdycha ciężko. Nie przekonała ją moje tłumaczenie. Jest dotknięta naszą niewiarą w sprawność jej umysłu. Czy ja sama w tej sytuacji nie byłabym urażona?

– To nie jest czas na taką rozmowę, Oliwko. Przyjedź do mnie do zakonu. Czuję, że taka podróż dobrze ci zrobi.

– Nie wiem, czy mama zostanie z Zosią – próbuję się wykręcić.

Przekraczanie furty zakonnej zawsze wywoływało u mnie niepokój.

– Przyjedź, jeśli chcesz porozmawiać. Powiadomię cię, gdy matka przełożona wyrazi zgodę na odwiedzin.

– Dobrze – zgadzam się, nagle potulna jak baranek.

– Z Panem Bogiem, Oliwko.

– Z Panem Bogiem.

Bramę klasztoru przekraczam jak zwykle z bólem brzucha. Nie wiem, co takiego mają w sobie te mury, zapach, którym przesiąkły, dziwne przytłumione dźwięki, że czuję się nieswojo. Gdy byłam małą, przez cały czas trwania wizyt u ciotki nie puszczałam ręki mamy albo babci, jakbym bała się, że ktoś zechce mnie tutaj zostawić. Teraz już nie mam kogo trzymać, choć trwoga wcale nie jest mniejsza.

Z ciocią witam się w rozmównicy, nieskazitelnie czystym, skromnie umeblowanym pokoju. Siadamy przy stole, na którym młoda i uśmiechnięta od ucha do ucha siostra kładzie dzbanek z herbatą i domowe ciasto.

Śledzę ją wzrokiem, gdy znika za drzwiami. Taka śliczna, o wydatnych ustach i niespotykaniu zielonych oczach. Mogłaby rozkochiwać w sobie chłopców, a kiedyś zostać żoną jednego z nich. Trudno jest mi uwierzyć w powołanie. Raczej w ucieczkę przed czymś.

Ciekawe, czy ciocia pamięta jeszcze, przed czym uciekała.

– Małgosia została z małą Zosią? Nie miała do ciebie pretensji o wyjazd?

Pytanie ciotki na powrót przenosi mnie na krzesło w rozmównicy. Muszę szybko wymyślić odpowiedź, przecież nie powiem ciotce, że wszyscy są tak zaciekawieni pojawieniem się potomka Józefa, że mama wręcz wypchnęła mnie z domu, deklarując swoją pomoc przy Zosi, abym tylko czegoś się w końcu dowiedziała.

– Mama chętnie zajmuje się Zosią. Poza tym karmię z butelki, więc nie ma obaw, że mała będzie głodna.

– Och, twoja mama karmiona była kozim mlekiem. Nie musisz się martwić, córeczko nie stanie się przez to żadna krzywda. Zresztą teraz do mleka dla niemowląt dodaje się mnóstwo potrzebnych witamin.

Potakuję zaskoczona wiedzą ciotki na temat wychowania niemowląt. Wydawało mi się, że mury zakonu skutecznie oddzielają siostrzyczki od nowinek współczesnego świata. Chyba byłam w błędzie.

– Ale przecież nie o twojej córeczce przyjechałaś ze mną rozmawiać.

To ciocia pierwsza podejmuje temat, który z jednej strony mnie frapuje, z drugiej – budzi jakiś niewytłumaczalny lęk. Może nie powinnam poruszać strun, które dawno już nie grały, odkopywać tego, na czym dawno wyrósł już mech. Ale w końcu to nie ja zaczęłam drążyć.

– Skąd wiedziałaś, ciociu, że Józef miał syna? – Mimo wątpliwości podejmuję temat. – Kiedy się dowiedziałaś? Niedawno?

– Sam mi o tym powiedział. Lata temu.

– I nikt inny nie wiedział? – Wciąż trudno mi w to uwierzyć.

– Dotrzymałam obietnicy, przez pół wieku nikomu nie powiedziałam.

Jestem zaszokowana słowami ciotki.

– To dlaczego teraz? Właśnie teraz postanowiłaś wyjawić sekret?

Ciocia wzdycha. Jej otoczone zmarszczkami, jak pajęczą siecią, usta zaciskają się. Przypominają teraz narysowaną bladą różową kredką linię.

– Bo dopiero teraz mogłam. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ufam, że już nie łamię danej Józefowi obietnicy. Wiem, że popełniłam błąd, myśląc, że ten chłopak może mieć prawo do części domu. Nie znam się na przepisach. Ale chyba dobrze się stało, może w innym przypadku dłużej bym zwlekała.

Ściska mnie w dołku. Cała sprawa, w którą wchodzę, wydaje się wręcz nieprawdopodobna. Rodzinne tajemnice, szeptane obietnice. Czy takie rzeczy nie dzieją się jedynie w powieściach?

– Chodźmy do ogrodu – mówi nagle ciocia i wstaje z krzesła. – Tam będzie się przyjemniej rozmawiało.

Nie sprzeciwiam się, choć moja ciekawość sięga zenitu. Wychodzimy. Ciocia idzie przede mną. Otulona w czerń habitu, przygarbiona, nienakładająca.

– Jak dziś pamiętam tamten dzień – zaczyna.

Zatrzymuje się, abym się z nią zrównała. Łapie mnie pod ramię, idziemy powolutku jedną z ocienionych owocowymi drzewkami alejek.

– Twoi dziadkowie obchodzili rocznicę ślubu. Zaprosili nas wszystkich. Józefa również. Ale on się spóźnił. Gdy przyjechał, prawie nie zwrócono na niego uwagi. Wszyscy byli zafascynowani telewizorem. Władek kupił go Sophie w prezencie. Choć

raczej sam zrobił sobie tym większą przyjemność. – Ciocia uśmiecha się bezwiednie, pogrążona we wspomnieniach. – Oliwko, czy ty wiesz, czym wtedy był telewizor? Nie mam pojęcia, do czego mogłabym to porównać. Niewiele jest teraz rzeczy, którymi ludzie tak się zachwycają, jak wówczas telewizorami. A Józef siedział markotny. Zupełnie niezainteresowany. Myślami był bardzo daleko. Obserwowałam go. Musiał to zauważyć, bo gdy goście wychodzili, poprosił, abym z nim porozmawiała. Wiedziałam, czułam, że nie mogę odmówić, że to niezwykle ważne.

– I wtedy powiedział cioci, że ma syna?

– Dopiero następnego dnia rano. Wszyscy jeszcze spali.

Ciocia przerywa. Nasz spacer chyba ją zmęczył. Czuję, że moje ramię jest dla niej coraz większą podporą.

– Wiesz, na tej rozmowie nakryła nas Sophie. Wydaje mi się, że przez jakiś czas myślała, że widziała coś, czego przecież nie było. Potem bardzo uważnie się nam przyglądała.

– I co wtedy powiedział ci Józef? – Wiem, że nie powinnam ponaglać cioci, powinnam dać jej czas, pozwolić na niełatwą wędrówkę po wspomnieniach. Ekscytacja jednak bierze górę, nie potrafię czekać.

– Powiedział, że urodził mu się syn.

– Chodziło o to, że nieślubny? – pytam, bo to pierwszy i jedyny powód utrzymania narodzin dziecka w sekrecie, jaki przychodzi mi do głowy.

– To, że dziecko przychodzi na świat, zanim rodzice zwiążą się sakramentem, zawsze rodzi problemy – odpowiada mi ciotka, a ja widzę przed oczami wielu moich znajomych, którzy szczęśliwie uniknęli kłopotów, mimo że ich nieślubne dzieci raczkują, jeżdżą na rowerkach i chodzą do przedszkoli. Nie powiem jednak siostrze zakonnej o tym, że świat się zmienił. – Ale w przypadku Józefa wszystko, co już i tak jest niełatwe, było o stokroć trudniejsze – kontynuuje ciotka.

Znów zamieniam się w słuch. Chcę się w końcu dowiedzieć.

– Tamtego dnia powiedział mi nie tylko o tym, że od kilku tygodni jest ojcem. Wyznał również, że nie będzie mógł ani poślubić matki chłopca, ani widywać swojego syna.

– Dlaczego? – wyrywa mi się pytanie.

Ciocia kładzie mi rękę na ramieniu, wiem, że tym gestem daje mi do zrozumienia, że powinnam być bardziej cierpliwa, a potem wypowiada dobrze mi znane nazwisko. Tak nazywała się ulica, przy której mieszkała moja przyjaciółka z podstawówki. Potem przyszły lata zrywania starych tabliczek i zmian w dowodach. Ulica mojej przyjaciółki gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych również dostała nowe imię.

– To z córką tego generała Józef miał syna. To ją poznał podczas zjazdu i w niej się zakochał, choć była od niego sporo młodsza.

Milczę jak zakłęta, choć na usta cisną mi się setki pytań.

– W tamtym okresie twój wujek nie wierzył już tak gorliwie w partię, choć nie mówił tego głośno. Z łatwością można było dostrzec, że idee, które głosił, nie były tymi, które wprowadzano. Uleciał entuzjazm, uleciała wiara w równość i jedność. Niestety partia nie tolerowała odwrotów, nie pozwalała na inne zdanie, szczególnie tym, którzy

byli tak wysoko, jak twój wujek.

– I przez to, że przestał wierzyć w komunizm, nie mógł się ożenić z tamtą dziewczyną? – Jakoś nie chce mi się wierzyć w tę opowiastkę. – Zresztą, przecież wcale nie musieli brać ślubu, mogli po prostu ze sobą żyć. Przecież to nie było średniowiecze, to już nie czasy megaliansów.

Ciocia podnosi utkwiony w ziemi wzrok, przygląda mi się, trochę jak dziecku, które jeszcze niewiele wie o życiu.

– Oliwko, w dniu, kiedy twój wujek mi o tym opowiadał, w kieszeni płaszcza miał już bilet na samolot, bilet dla jednej osoby, w jedną stronę.

– Uciekł?

– Można tak na to patrzeć. Może wyjechał, bo wystraszył się gróźb, może ktoś mu kazał wyjechać i wcisnął w rękę ten bilet, może Józef chciał w ten sposób chronić tę kobietę i dziecko. Oliwko, nie każdy jest bohaterem, a to były czasy, w których ludzie znikali. Czasem po prostu ginął po nich ślad.

Zastanawiam się przez chwilę nad tym, co powiedziała ciocia. W pięknym ogrodzie, gdzie jestem otoczona zapachami i kolorami, łatwiej przychodzi mi zrozumienie i wybaczenie nawet niezrozumiałego zachowania.

– No dobrze – mówię po chwili. – Wyjechał, nie przyznawał się do dziecka, pewnie nawet nigdzie nie widniał jako ojciec. Rozumiem, że ciocia obiecała, że dochowa tajemnicy, ale dlaczego nagle ten Józefowy syn wychodzi na jaw? Dlaczego teraz ciocia o tym mówi? Nie wierzę, że tylko domy i szukanie spadkobierców było powodem.

Ciocia na moment zamyka oczy, drżą jej powieki.

– Ciężka mi ta tajemnica. Wiedziałam, że jest na świecie ktoś, w czyich żyłach płynie krew naszej rodziny i nie mogłam nic powiedzieć. Na wiele lat słuch po Józefie zaginął. Myślę, że nawet Władek nie miał pojęcia, co się dzieje z bratem.

– Szeptano, że był agentem – mówię, bo przecież postać Józefa wielokrotnie przewijała się w rodzinnych rozmowach, szczególnie podczas urodzinowych przyjęć, zakrapianych nieco wódką. – Pamiętam, gdy przysłał telegram.

– Ile miałaś wtedy lat? Dziesięć?

– Mniej, nie chodziłam jeszcze do szkoły. Ale pamiętam, że dziadek płakał, opowiadając o tej niespodziewanej depeszy. Jeden raz w życiu widziałam dziadka płaczącego. Właśnie wtedy. A potem był telefon.

– Tak, rozmawiali kilka razy. Józef dzwonił z Kanady, w której wówczas mieszkał. Mieli się spotkać, ale szczęśliwego zakończenia nie było. Twój wuj zmarł.

– Dlaczego wtedy nie powiedziałaś, że miał syna?

– Chciałam, ale przecież wciąż żyła jeszcze matka chłopca. Nic o niej nie wiedziałam. Jak poukładała sobie życie po upadku komunizmu, po upadku jej ojca? Obiecałam Józefowi, że będę milczała.

– Ona też zmarła?

– Zmarła, ale tego dowiedziałam się już od Przemysława.

Czuje, jak włoski na rękach stają mi dęba. Nie muszę pytać, wiem, czuję, kim jest Przemysław. Ten rodzinny sekret zaczyna mnie nagle wciągać jak bagno. Czego jeszcze nie wiem?

– A więc ciocia go zna? Znalazła go ciocia?

– Oliwko, to on mnie znalazł. Przyjechał tutaj dosłownie kilka dni przed narodzinami małej Zosi. Powiedział, kim jest, powiedział, że zmarła jego mama, a on w dokumentach po niej znalazł zapiski o Józefie, o mnie, o naszej rodzinie.

Naprawdę nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Jestem tak oszołomiona, że już nie wiem, o co mam pytać. Jak to możliwe, że w mojej zwyczajnej śląskiej rodzinie ukryty był potencjalny agent i nieślubne dziecko, które przez całe życie nie wiedziało, kim jest jego ojciec? A teraz jeszcze ta spowiedź siostry zakonnej.

– Powinnaś się z nim spotkać, Oliwko. Właśnie ty.

– Ja? Ciociu, to mama powinna albo wujek Zbyszek. Dlaczego ja?

– Nie wiem – przyznaje ciocia. – Ale właśnie tak mu powiedziałam, że to ty do niego zadzwonisz.

– Ciociu!!!

Czuję, że ta misja mnie przerośnie. Przecież nie znałam Józefa, słyszałam o nim mnóstwo historii. Często zupełnie sprzecznych. Babcia, dziadek, mama. Dla każdego był kimś innym. Komuchem, oszustem, który zrobił wiele złego, kimś, kto został wepchnięty na złą drogę i nie potrafił z niej zejść, albo bratem i synem, który pomagał, który się troszczył, jak mógł.

Które oblicze Józefa jest prawdziwe? Pewnie każde po trochu. Bo tak właśnie jest najczęściej. Ale wciąż nie wiem, jak i o czym mam rozmawiać z jego synem.

– Zrobisz, jak zechcesz, Oliwko. Dam ci numer telefonu, który pozostawił. Chciałabym po tylu latach odpocząć, odetchnąć od tajemnicy Józefa.

Patrzę na zmęczoną twarz cioci. Czarny welon sprawia, że skóra wydaje się nieprawdopodobnie biała, wręcz przezroczysta i cienka jak pergamin. Wiem, że nie mogę odmówić. Obarczać ją tą sprawą choćby dzień dłużej.

– Dobrze, spotkam się z nim – obiecuję, choć zupełnie nie mam pewności, czy wystarczy mi odwagi.

Ciocia pogodnieje. Wstaje z ławki i wyciąga do mnie rękę.

– Chodź – mówi. – Sprawdźmy, czy siostra Bernadeta nie sprzątnęła jeszcze ciasta. Podjemy sobie trochę.

Zosia
Wrzesień 1959

– Wstawać, śpiochy! Nie ma co leżeć w łóżkach. Jest piękna pogoda, pojedziemy na wycieczkę. – Władek krzyczy na całe gardło, otwierając drzwi do pokoju, w którym śpią Gosia i Zbyszek. Kilka lat temu, aby dać nastolatce odrobinę prywatności, postawiliśmy szafę w poprzek pokoju. Gosia ma okno, Zbyszek – pokój przechodni. Chłopak nie musi mieć aż tyle intymności.

– Po co ich już budzisz? – pytam, gdy z pokoju wydobywają się pomruki niezadowolenia.

Sama jeszcze jestem w nocnej koszuli, miałam zamiar spokojnie przygotować śniadanie, posiedzieć trochę z Władkiem w kuchni, a dopiero potem zawołać dzieci. Mało mamy chwil tylko dla siebie, próbuję chwycić każdą możliwą, teraz jedna z nich uciekła.

– Ty też się ubieraj. Za godzinę wychodzimy.

– Dokąd? – pytam zdziwiona, a może nawet trochę zaniepokojona. Władek ma czasem zupełnie szalone pomysły.

– Niespodzianka. – Uśmiecha się do mnie i łapie w ramiona Zbyszka, który właśnie pojawił się w drzwiach.

– Gośka, ty też wstawaj! – krzyczy ponownie Władek, przerzucając sobie syna przez ramię, i choć jęki niezadowolenia wydobywające się zza szafy są jeszcze głośniejsze, wiem, że Małgosia nie będzie kazała ojcu wołać w nieskończoność. Dzieci czują przed Władkiem respekt, a jednocześnie jest dla nich świetnym partnerem zabaw, żartów i rozmów. Posiadał niezwykłą umiejętność łączenia dwóch cech dobrego rodzicielstwa, o którym teraz mówi się tak wiele. Wychowanie dzieci stało się odpowiedzialnym zadaniem. Za naszych czasów po prostu się dzieci miało.

Podczas szybkiego śniadania Gosia i Zbyszek cały czas pytali Władka, jaką niespodziankę ma dla nich. Liczyłam, że coś z niego wyciągną, bo sama byłam niezwykle zaciekawiona, ale on nawet jednym słowem się nie zająknął. Poleciał nam tylko włożyć wygodne buty, a Gosi doradził zamianę krótkiej spódniczki na spodnie. Podejrzywałam, że pojedziemy do lasu, ale gdy zaczęłam ściągać z pawlacza wiklinowy koszyk, w którym zawsze wieziemy kompot i coś na drugie śniadanie, powiedział, że tym razem nie będzie nam potrzebny, że zjemy coś innego. Tym stwierdzeniem zupełnie mnie zaskoczył.

Choć Władek cały czas nas popędzał, ledwie zdążyliśmy na autobus. Zziajana i nie do końca w dobrym nastroju, zajmuję wolne miejsce.

– Coś ty znów wymyślił? – szepczę do męża, gdy siada obok.

– Nie wiem, czy ci się spodoba – Władek mówi szczerze. – Ale dzieci będą zachwycone. Jestem pewien.

Dobrze wie, że takimi słowami sprawi, że zaraz się rozpogodzę. Jeśli to coś miłego dla dzieci, to dla mnie tym bardziej.

Jedziemy dosyć długo, ale w końcu Władek wstaje. Wysiadamy. Wiem, co to za przystanek. Dzieci również. Ich podniecenie rośnie z każdą chwilą. Wejście główne do Parku Śląskiego.

Socjalizm oznacza organizację dostatniego i kulturalnego życia dla wszystkich członków społeczeństwa – brzmi napis na tablicy, którą mijamy. Zarówno Władek, jak i Gosia doskonale pamiętają tę organizację. Do budowy parku wzywano pracowników okolicznych zakładów pracy oraz starszych uczniów. Wszyscy pomagali. Przekopywano alejki, sadzono drzewa i kwiaty na klombach. Niejedną sobotą Władek, zamiast w domu z nami, spędził tutaj.

Pamiętam, jak wyśmiałam Annę, gdy pewnego dnia opowiedziała mi, co wyczytała w jakiejś gazecie: że hałdy i biedaszyby, po których biegał Antek i Helenka, mają zmienić się w piękny park. Nie wierzyłam, że coś takiego może się udać, a teraz, choć roboty wciąż trwają, wchodzę w alejki, które wiją się wśród łąk i kwiatów. Pośród nich co rusz wyrasta też nowa atrakcja, która ma cieszyć nie tylko dzieci.

Jest ogromny stadion i planetarium, można w nim podziwiać gwiazdy. Kolejka parowa wozi ludzi w różne zakątki parku. Można też po prostu spacerować ścieżkami i wejść na oranżadę bądź rurki z kremem do jednej z kawiarenek. Wszystko to jest dostatecznym powodem, aby się cieszyć, ale Władek prowadzi nas dalej i dalej. Zamiast odpowiedzieć w końcu na nasze pytania, dokąd idziemy, uśmiecha się tylko pod nosem, a oczy znów mu się iskrzą, jak chłopcu.

Trasa naszego marszu prowadzi wzdłuż torów kolejowych. Dzieci żałują, że nie jedziemy jednym z mijających nas wagoników, smutnieją, gdy Władek nie zatrzymuje się na przystanku ciuchci, a mnie ta dziwna tajemnica zaczyna denerwować. Tym bardziej że teren, po którym idziemy, z każdym naszym krokiem staje się coraz bardziej wyludniony i dziki, tu już nic nie ma, ani ławek, ani latarni, kończą się też wyasfaltowane alejki i tylko wydeptane przez ludzi ścieżynki wiją się między krzakami.

W końcu, gdy ja i dzieci jesteśmy na skraju wytrzymałości, z dala zaczynają majaczyć kolejne zabudowania. Dziwne kształty. Zupełnie nieprzypominające niczego, co znam.

– Idziemy do wesołego miasteczka! – prawie histeryczny krzyk Zbyszka sprawia, że aż podskakuję. – Tato, tatko, powiedz, że to prawda. Idziemy do wesołego miasteczka? Jakaś para, która właśnie nas mija, wybucha śmiechem.

– Tato! – Teraz również Gosia szarpie Władka za koszulę. – Masz bilety? Naprawdę masz bilety?

Władek ogania się od dzieci jak od natrętnych muszek. Ale widzę po jego minie, że trafiły, że oto odgadły sekret ojca. Sięga do kieszeni spodni. Wyciąga z niej kilka kartoników.

– Szef mi wczoraj dał. Ktoś z jego rodziny kupił i nie mógł pójść.

Dzieci piszczą i krzyczą jedno przez drugie.

– Ponoć tam są samoloty na linach. Taaakie wielkie. – Zbyszek rozkłada ręce tak szeroko, jak tylko potrafi. – I zjazd do wody, i samochodziki, i karuzele.

– I kawiarnia, która pływa po jeziorze – dodaje Gosia. – Chodźmy już.

Dzieci, nie czekając na nasze pozwolenie, zaczynają biec w stronę dobrze już widocznego placu przed wejściem.

Wesołe miasteczko – głosi wielki napis.

– To już otwarli? – pytam zaskoczona, bo nie umiem przypomnieć sobie relacji

z takiego wydarzenia w żadnej gazecie.

Władek rusza za dziećmi. Idę za nim.

– Otwarli tydzień temu zupełnie po cichu. Miało być 22 lipca, nie zdążyli, więc teraz nie byłoby się czym chwalić.

– Mogli poczekać i otworzyć za rok – stwierdzam, bo przecież wiem, jak często zmienia się terminy tylko po to, aby zakończenie, oddanie czy otwarcie łączyło się z jakimś ważnym świętem.

Władek wzrusza ramionami.

– Pewnie potrzebne były pieniądze z biletów. Ale biorąc pod uwagę liczbę ludzi przed wejściem, chyba nie uzbierają ich dużo.

Faktycznie, na placyku pomiędzy kasami a wejściem nie ma tłumu, którego można byłoby się spodziewać. A więc nawet najznakomitszej władzy czasem coś się nie udaje.

Gdy tylko przekraczamy bramę, muszę jednak zmienić zdanie. To, co widzę, zaskakuje mnie. Wesołe miasteczko kojarzyło mi się dotąd z rozklekotanymi karuzelami i strzelnicą, jeżdżącymi z miasta do miasta w ślad za cyrkami. Prawie co roku rozstawiają się na skwerku za naszym domem. Wtedy Zbyszek i Gosia znikają na większość dnia, wołając jedynie, aby im zrzucić z okna drobne na kolejny przejazd.

To, co rozpościera się wokół mnie, mimo że chodników jeszcze nie wyłożono kostką, a na słupkach przed niektórymi karuzelami wiszą kartki z napisem *nieczynne*, zupełnie nie przypomina tych miejskich lunaparków.

– To jest ogromne – szepczę, chyba bardziej do siebie niż do reszty rodziny.

Dzieci, równie oniemiałe, stoją obok, chyba nie do końca potrafiąc się zdecydować, w którą stronę pójść i od czego zacząć. Władek uśmiecha się, zadowolony, że sobotnia niespodzianka aż tak mu się udała.

– Samoloty! – krzyczy Zbyszek, podnosząc w górę rękę.

Jedna z karuzel właśnie ruszyła. Ogromne samoloty, w których mieści się może osiem, może dziesięć osób, wzbijają się w powietrze nad naszymi głowami. Serce mi staje, żołądek robi fikołka.

– Chodźmy najpierw na samoloty! – powtarza Zbyszek i puszcza się biegiem do kolejki stojącej przy wejściu na karuzelę.

– Za nic na to nie wsiądę – mówię i ruszam w ślad za dziećmi.

W kolejce Gosia, Zbyszek i Władek mają sporo czasu, aby mnie przekonać. Nie wiem, jak im się to udaje. Gdy wchodzę do samolotu i siadam na jednej z ławeczek, a pan z obsługi sprawdza, czy dobrze zapięłam pas, drżą mi ze strachu kolana.

To zupełnie bez sensu. Wywołujemy w sobie sztuczny strach, tak jakbyśmy już zapomnieli, jak smakuje ten nieudawany.

– Mamusiu, nie bój się. – Dłoń Zbyszka zaciska się na mojej dokładnie w chwili, gdy karuzela zaczyna się rozpędzać.

Matko Boska, miej mnie w swojej opiece.

Unosimy się coraz wyżej i wyżej. Ludzie, którzy pozostali na dole, stają się maleńcy niczym mrówki, świat wiruje.

Gosia, która siedzi na ławeczce przede mną, unosi w górę ręce. Jej warkocze podskakują w górę i w dół. Władek zajmuje miejsce obok córki. Nie mogę na niego

spojrzeć, ale potrafię sobie wyobrazić, co teraz wyrażają jego oczy.

Pozwalam się ponieść. Pozwalam, aby wiatr owiewał mi twarz, aby serce pędziło. Przymykam powieki. Mknę. Kto by pomyślał, że w moim życiu tyle jeszcze będzie miejsca na śmiech i bez troskę. Kto by pomyślał.

To, co miało być najważniejszym punktem, okazuje się zaledwie początkiem. Wraz z dziećmi i Władkiem zaliczam spalinowe samochodziki, mniejsze karuzele i ześlizg do wody w wieloosobowej łodzi.

Aż wstyd jest mi się przyznać, jak dobrze się bawię. Choć przecież nie jestem jedyna. Wokół nas całe rodziny, rozbawione, roześmiane, z lodami i watą cukrową. Na karuzelach, w kawiarenkach, na ławkach.

– Nigdy nie zapomną tego dnia – mówię do Władka, gdy na moment zostajemy sami.

Władek obejmuje mnie ramieniem.

– Dużo czasu straciliśmy. – Moje i Władka myśli znów biegną jednym torem. – Ale teraz możemy brać od życia wszystko, co chcemy.

– To teraz chciałabym kielbaskę z rusztu – mówię, bo właśnie zanurzyłam się cała w zapachu dolatującym z jednej z blaszanych budek. – Dzieci też pewnie już głodne.

Nie czas na wspomnienia, szczególnie te, które wciąż wywołują smutek. Wszyscy tu mają podobnie. Próbuję zgadnąć, w jakim mundurze walczył łysiejący pan, który właśnie bierze synka na barana. A ten w szarej kurtce? Czy pluto mu pod nogi za mundur Wehrmachtu? Ile lat mogła mieć kobieta pchająca wózek ze śpiącym niemowlęciem, gdy wkraczała tu armia wyzwolicieli? Czego wówczas doświadczyła?

Każdy, kto przechodzi obok, bez względu na to, jak szeroki uśmiech gości na jego twarzy, musi mieć w sercu te małe drzwiczki, furtkę, którą i ja mam. Nie warto już jej otwierać. Niech zarośnie perzem i winoroślą. Udawajmy, że jej nie ma.

– Nie powinnaś tam z nią wchodzić, przecież dopiero skończyli malować, śmierdzi farbą.

– Nic jej nie będzie – odpowiadam mamie, nie przerywając wyciągania Zosi z wózka. – Teraz farby nie zawierają już toksycznych substancji, są bezpieczne. Poza tym zaczyna padać.

– Można rozłożyć folię na wózek.

– A my mamy moknąć? Daj spokój!

Wiem, że mama chciałaby postawić na swoim i zostać z Zosią na placu, gdy tymczasem ja miałabym szybciotko pobiec na górę i zobaczyć postępy w remoncie naszego mieszkania. Tym razem będzie tak, jak ja zaplanowałam. Biorę Zosię na rękę. Wózek stawiam w sieni i idziemy na górę we trzy.

Nie mam wątpliwości, że mama chce dobrze, że wszystkie jej zakazy i nakazy wynikają z obawy o zdrowie Zosi i moje. Ale ciągła kontrola, ciągłe „nie chcę się wtrącać, ale moim zdaniem powinnaś...” stają się męczące. Piotruś po pracy ucieka do domów, ojciec też jest wiecznie nieobecny, a my z mamą i Zośką kisimy się we własnym sosie i tylko czekać, kiedy powstanie z tego jakaś bardzo wybuchowa substancja. Dlatego teraz prawie biegnę po czerwonych schodach, aby zobaczyć, czy w ciągu kilku dni mojej nieobecności tutaj remont dobiegł końca.

Naciskam na klamkę wciąż tych samych drewnianych drzwi, które otwierałam i zamykałam już setki razy. Nie wymienimy ich, odnowimy, pomalujemy, ale nie zamienimy na nowe, dźwiękoszczelne i przeciwwłamaniowe, zresztą, kto chciałby się tu do nas włamywać. W tych drzwiach zapisana jest historia. Muszą pozostać.

Pierwsze, co widzę, gdy wchodzę do środka mieszkania, to Piotruś, a raczej jego promienny uśmiech. Jest umorusany farbą i zmęczony, ale ja widzę w jego oczach coś więcej niż zadowolenie i już wiem, że wszystko poszło dobrze.

– I jak? – pyta, biorąc ode mnie Zosię.

Powoli zaczynam rozglądać się wokół. Stoję pośrodku babcinej kuchni. Odmalowane ściany, wyszorowane deski podłogi. To właściwie wszystko, co zostało tu ruszone. Kuchnia babci Zofii jest teraz moją kuchnią. Do zielonego byfyju już za kilka dni włożę talerze i kubki. Do zamykanych szuflad trafi walek do ciasta – prezent przedślubny od moich kolegów z pracy, chochla, nożyczki, talerzyki, łyżeczki i otwieracz do wina, który razem z Piotrusiem kupiliśmy kilka lat temu w Zakopanem, gdy okazało się, że nie damy rady wbić podeszwą moich chodaków korka do środka butelki. W babcinych szufladach będzie rodziła się też nowa opowieść, bo znajdę tu również miejsce na Zosine butelki, a później miseczki i silikonowe łyżki z ergonomicznymi rączkami. W starym byfyju musi również być miejsce na schowane w pudełku babcine zdjęcia.

– Wejdz dalej – zachęca Piotruś, chyba trochę zaniepokojony tym, że zamiast zwiedzać całe mieszkanie, uwagę poświęcam jedynie kredensowi, który przecież dobrze

znam.

Mrugam szybko, aby nie zauważył, że szklą mi się oczy, i przechodzę do drzwi, których wcześniej tu nie było. Za nimi, a raczej za ścianą, w której został wybity otwór, przez blisko sto lat było inne mieszkanie. Łapiąc za klamkę, czuję, jakbym wchodziła do innego świata.

Przede mną pusty pokój. Uratowaliśmy drewnianą podłogę, ale farbę ze ściany trzeba było zdzierać aż do cegły, taki był grzyb. Teraz, pokryta tapetą w delikatne poziome pasy, ma optycznie powiększać naszą maleńką sypialnię, do której musimy wstawić szafę i łóżko. Na przeciwległej ścianie kolejne drzwi, a nawet dwoje. Te w głębi prowadzą do łazienki, drugie – do pokoiku, którego jestem najbardziej ciekawa. Maleńki świat Zosi został pomalowany na biało. Tylko na jedną ze ścian nakleiliśmy pistacjową tapetę z wznoszącymi się od podłogi owocowymi drzewkami. Będą rzucały cień w letnie dni.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

– Trochę jak pociąg – mówi Piotrek niepewnie, wciąż widocznie obawiając się mojej reakcji. – Z wagonu do wagonu.

Chcę się z nim trochę podrażnić, przytakuję, próbując zachować powagę.

– Ale wiesz – zaczynam, gdy mina Piotrusia rzednie – to jest nasz pociąg. I nie zamieniłabym go na żaden inny.

Gdyby nie to, że w ramionach mojego męża śpi Zosia, rzuciłabym mu się teraz na szyję. Właśnie spełniło się moje marzenie. Jestem tutaj. Wreszcie u siebie. I to nieważne, że czeka nas jeszcze ogrom pracy, że właściwie dopiero teraz zaczniemy starania o dofinansowanie na remont domów i stworzenie miejsca upamiętniającego dawną kuźnię. Czuję, jak wstępują we mnie nowe siły, wiem, że pokonamy wszystkie przeszkody.

– To kiedy parapetowa?

Oboje z Piotrkim oglądamy się za siebie. Przez moment zupełnie zapomniałam o obecności mamy. Teraz, trochę zawstydzeni, trochę zaskoczeni, patrzymy, jak ociera oczy chusteczką higieniczną.

– Mamuś, co ci jest? – Podchodzę bliżej i dotykam jej dłoni. Drży, ale twarz już jej pogodnieje, już się uśmiecha.

– Wspomnienia mnie dopadły – mówi. – Wiesz, na śmierć rodziców zawsze jesteśmy za młodzi. Nigdy niegotowi – wzdycha. A potem macha rękami, jakby chciała rozgonić chmurę, która sprawiła, że nagle zrobiło się chłodniej. – Nie przypuszczałam, że wyjdzie tak ładnie – przyznaje szczerze. – Gdy wstawi się meble, będzie bardzo przytulnie. Nie byłam entuzjastką waszego pomysłu, ale myślę, że będzie się wam tu dobrze mieszkało.

Mama ma rację, już nie chce mi się stąd wychodzić, już chciałabym przenieść meble, nasze łóżko i łóżeczko Zosi. Chciałabym się zadomowić, a potem powoli zapuścić tu korzenie.

Na to muszę poczekać jeszcze kilka dni, aż zamontują prysznic i umywalkę w łazience, a ze sklepu przyjedzie lodówka i kuchenka. W końcu to nasze własne, nowiutkie, po raz pierwszy niemające na sobie śladów używania poprzednich

podnajemców, mieszkanie.

Rozsiadamy się na obróconych do góry dnem wiaderkach po farbie. Znów w powietrzu unoszą się wspomnienia o dziadkach. Przypominamy sobie opowieści o dniu ich ślubu i pierwszych, tych najszcześniejszych chwilach tutaj spędzonych.

Godzinę później dołącza do nas tata. Przynosi szampana i plastikowe kubeczki, z których mamy go wypić. Piotruś przez chwilę mocuje się ze srebrnymi drucikami oplatającymi korek. Raz, dwa, trzy – liczy, śmiejąc się.

Zatykam uszy. Mam jednak nadzieję, że Piotrkowi uda się otworzyć butelkę bez zbędnego wystrzału, który mógłby wystraszyć Zosię, śpiącą w przyniesionym z sieni wózku.

Huk, który słyszę, zupełnie mnie zaskakuje, wręcz oszałamia. Nie, nie taki odgłos wydaje otwierana butelka szampana. W pierwszej chwili nie dociera do mnie, że coś się stało. Instynktownie podbiegam do wózka. Zosia śpi. Patrzę na Piotrka i rodziców, oni również rozglądają się bezradnie.

Na korytarzu prawie natychmiast zaczynają rozbrzmiewać głosy. Słychać nawoływania. Ktoś zbiega po schodach. Jakieś dziecko zaczyna płakać.

– To na dworze – mówię i ruszam do okna, próbuję je otworzyć, ale tata powstrzymuje mnie, chwytając za nadgarstek. Zbliżamy twarze do szyby. Jest ciemno, ale mimo to widzę kłęby dymu buchające z okien na pierwszym piętrze, w domu naprzeciw.

– Boże, coś się zawaliło – oznajmiam zachrypłym głosem i rzucam się do drzwi. Drogę zastępuje mi Piotrek.

– Bierz Zosię i uciekaj stąd. Nie wiadomo, czy jeszcze coś nie runie – krzyczy. – Ale idź tyłem, przez kuźnię.

Znów pochodzę do wózka. Na klatce i podwórzu słyszę coraz więcej głosów. Jestem jak w letargu, nie potrafię się skupić na tym, co dzieje się wokół. Czuję się, jakbym oglądała film, a nie w nim uczestniczyła. Wyciągam Zosię z wózka i podaję ją mamie.

– Ty idź – mówię do niej rozkazująco. – Idźcie z tatą. Ja muszę tu zostać. Muszę sprawdzić.

O dziwo, mama nie protestuje. Narzuca na Zosię koc wyciągnięty z wózka. Wybiegamy do sieni. Na dole są już prawie wszyscy lokatorzy.

– Nikt nie jest ranny? Ktoś wezwał karetkę? – krzyczy Piotrek, unosząc do ucha telefon.

– Co się stało? Co się zawaliło? Schody? – Łapię za rękę mężczyznę, który przystaje obok mnie. Jest w samych kalesonach. Wiem, że mieszka w naruszonej części domu.

– Schody? Pani Oliwio, nie czuje pani, jak śmierdzi? To nie schody.

– Tylko co? Co się stało?

– Gaz wybuchł. U Hofmanów. Wszystkie szyby poleciały i pewnie pół kuchni w gruzach.

– Gaz? Jak to? Przecież tu nie ma gazu? – mówię już sama do siebie, bo mężczyzna, z którym rozmawiałam, właśnie zajął się rozganianiem mieszkańców tłoczących się przy bramie wjazdowej.

– Pogotowie jedzie. – Dobiegł mnie jego krzyk. – Zejdźcie z drogi, ludzie. Już jadą. Szukam Piotrka, ale on stoi po drugiej stronie placu. Wciąż gdzieś dzwoni. Ciemność przede mną robi się gęstsza, jakby nagle pogasły lampy oświetlające podwórko. W pierwszej chwili myślę, że może je wyłączyli dla bezpieczeństwa, ale powoli dociera do mnie, że ta ciemność jest tylko przed moimi oczami, pochylam głowę, opierając dłonie o kolana. Oddycham głęboko. Jeszcze tylko tego brakuje, abym tu zemdląła. Wiem, że to ze zdenerwowania, wiem, że minie, gdy tylko uspokoję się choć trochę. Ale jak tu się uspokoić, jeśli być może właśnie tracimy coś, co dopiero odzyskaliśmy.

Zosia
Sierpień 1961

– Szmaty, stare szmaty skupuję! – Słyszę nawoływania dobiegające z ulicy i już wiem, co się wydarzy za moment.

– Maaamooo, maaamooo! – wydziera się Zbyszek. Wtórują mu koledzy, patrzący w inne okna. – Szmaciorz przyjechał.

Staję w otwartym oknie i gestem daję Zbyszkowi znak, że ma chwilę poczekać, a potem wychodzę do przedpokoju. Tam, w kącie szranku[22], pod zimowymi płaszczami trzymam płócienny worek z rzeczami na taką okazję. Podarte koszulki, jakiś pogryziony przez mole mantel[23], moja spódnica z plamą po burakach, nie do sprania. Wracam do kuchni i zrzucam tobolek wprost przed nogi Zbyszka. Z innych okien lecą podobne zawiniątka.

– A wybierz ładny garnuszek, żeby nie był dziurawy – napominam syna.

Dobrze wiem, że nie wołał mnie po to, aby pomóc mi w pozbyciu się starych ubrań i również nie po to, aby kupić garnek – niestarannie wykonany odpad z huty. Zbyszek i inne dzieci, które sierpniowe popołudnia spędzają na placu, uwielbiają, gdy na ulicy zjawia się szmaciorz, bo kieszenie tego starego, zarośniętego chłopca wypchane są landrynkami.

Władek często kłóci się ze mną, dlaczego pozwalam brać Zbyszkowi od „dziada” omamlane bombony, jeśli w domu, w naszym zielonym byfyju zawsze znajdzie się choć kilka irysów albo garść kukułek. W najgorszym razie zawsze można jeszcze zrobić malto, domowe cukierki, z kakao, które dostaliśmy w paczce od Agnes.

– Wy nie wiecie nawet, co on jeszcze w tych kieszeniach nosi i co wcześniej trzymał w czarnych rękach, którymi wam te cukierki daje – gromi Zbyszka, bo Gosia już przecież wyrosła z ugania się za haderlokami[24]. Powoli nadchodzą czasy, że zacnie się uganiać za chłopcami, i nie wiem, czy to nie będzie bardziej niebezpieczne.

Władek chyba zapomniał już, że najlepsze łakocie, które leżą w domu, nie smakują tak dobrze jak te „zarobione” u szmaciorza, a potem zjedzone za winklem z resztą podwórkowej bandy.

Patrzę więc przez okno, prawie zapominając o podgrzewającej się na piecu zupie, jak szmaciorz wjeżdża na ulicę, otoczony przez całe gromady krzyczących z radości dzieci. Na wózku ciągniętym przez chudego siwka, który chyba jedną nogą jest już w zwierzęcym rajcu, telepią się garnki różnych wielkości. Obok, przykryty dziurawym kocem, leży stos szmat, a w koszu butelki po piwie i oranżadzie. Zenek Herzok, któremu wojna zabrała nie tylko jedną rękę, ale i kawałek zmysłów, uśmiecha się do malców, pokazując kilka zżartych próchnicą zębów. Przyjmuje pakunki, coś tam ogląda, kręci głową z niezadowoleniem, na któregoś warknie głośniej i wtedy na moment dziecięcy gwar milknie. W końcu jednak każdemu wręcza garnek, a z kieszeni spodni wyjmuje kilka sklejonych ze sobą cukierków. Dzieci wkładają je do ust tak łapczywie, jakby nigdy niczego lepszego nie jadły.

To faktycznie obrzydliwe, wzdrygam się, gdy Zbyszek powtarza zachowanie

kolegów. Władek ma rację, myślę w duchu, ale wiem też, że nie odmówię synowi tej dziecięcej przyjemności. Nic mu się nie stanie. Najwyżej go brzuch rozboli, a i to pewnie nie. Po wiśniach jedzonych z pestkami przez całe lato i wodzie pitej prosto z kranu, gdy nie ma czasu czekać, aż się ugotuje na herbatę, ma żołądek mocny jak stal. Nic mu nie będzie.

Gdy Zenek i chłopcy znikają za rogiem domu, wygaszam gaz pod garnkiem z ajntopfem[25] i przysiadam na chwilę przy stole. Właściwie powinnam się zabrać do szycia, bo znów stosik materiałów na zlecone sukienki i bluzeczki rośnie. Nie zbawi mnie jednak taka chwilka. Wypiję tylko kompot, który nalałam sobie do szklaneczki. Przez chwilę odpocznę. Pomyślę.

Jakie to niezwykle przyjemnie uczucie, móc tak po prostu się nacieszyć spokojem letniego popołudnia. Nie potrafię w to uwierzyć, ale w końcu moja rodzina doczekała czasów, w których nie musimy się o nic bać. Nie ma w mojej głowie żadnych lęków. Bo co tam kolejki w sklepach, co tam wieczne braki w towarach. Przecież nikt z nas nie chodzi głodny. Ludzie narzekają, tak jakby nie pamiętali, jak jedno jajko musiało wystarczyć na kolację dla całej rodziny. Może powinnam się buntować, czuć to, co czuje Władek, gdy opowiada z czerwoną od złości twarzą, co wyprawia partia, o kłamstwach, o tłumionych siłą buntach. Może to i prawda, że gdzieś tam zabito ludzi, bo krzyczeli zbyt głośno. Tak, wierzę Władkowi, wiem, że jest tak, jak mówi. Ale nie potrafię się tym bardzo przejmować.

Czy jestem przez to złym człowiekiem? Może, bo cieszę się z tego, że Gosia i Zbyszek mogli w tym roku pojechać na kolonie do Ustki i wrócili opaleni i roześmiani, że wieczorami w telewizji oglądają bajkę, jedząc chleb, choćby tylko z pomidorem, ale za to tyle, ile tylko dają radę zmieścić w żołądku. Nie mogę nie czuć spokoju, gdy wiem, że moim dzieciom nigdy nie burczy w brzuchach z głodu, że nie znają wstydu połatanych ubrań i butów, z których wystają palce. Może jestem złym człowiekiem, może partia jest zła, może rządzą nami ludzie oddający pokłon tym, którzy w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego gwałcili Agnes, a mnie zostawili ledwie żywą. Może. Ale to minęło, przeszło. Dla mnie liczy się to, że moje dzieci mają kolorowe sny. I jeśli nawet te sny są okupione wolnością naszego kraju, nie chcę od życia nic więcej.

– Zosiu, jesteś?

Zdezorientowana odwracam głowę w stronę korytarza.

– Tutaj, w kuchni – wołam do Władka, który właśnie wszedł do mieszkania. Zupełnie go nie słyszałam, nawet nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak się zamyśliłam.

Wstaję od stołu i podchodzę do pieca, na którym stoi ajntopf. Mam nadzieję, że jest jeszcze dostatecznie ciepły. Mieszam chochlą w gęstej od zasmażki zupie. Takie zupy można robić tylko latem. Pełne świeżych warzyw. Jest tu również boczek i swojska kiełbasa, którą czasem udaje mi się kupić od baby na targu. Władek uwielbia taki obiad, ja i dzieci również. Oczywiście do zupy musi być pajda chleba. Nim Władek zdąży umyć ręce, wszystko będzie już czekało na stole. Ja także zjem. Dzieci dostały obiad, zanim wybiegły na dwór.

– Był listonosz? – Władek mimochodem zadaje mi pytanie, maczając równocześnie skórki chleba w zupie.

Kręcę głową, a on podnosi do ust rozmoczony chleb, wycierając sobie brodę dłonią. Wiem dobrze, że pytanie nie było nieistotne, a odpowiedź sprawiła, że w sercu Władka znów ubył odrobinę spokoju.

Przed chwilą, zanim wrócił, nie umiałam przypomnieć sobie o żadnej naszej trosce, teraz już wiem, że jedną mamy na pewno – znów ma na imię Józef. Ostatnio widzieliśmy go dwa lata temu. W dniu, gdy wczesnym rankiem przyłapałam jego i Helenkę na potajemnej rozmowie. Potem zjedliśmy wspólnie śniadanie, jeszcze później obiad, po którym Józef wyjechał. Rozpłynął się. Przepadł.

Na początku nikt się nie przejął ciszą z Warszawy. To, że Józef nie odzywał się do nas przez kilka tygodni, było czymś naturalnym, niebudzącym podejrzeń. Życie płynęło zwyczajnie, ale tygodnie zaczęły zmieniać się w miesiące, a Władek coraz częściej pytał o listonosza. I listonosz w końcu się pojawił. Na kilka dni przed świętami dostaliśmy kartkę z życzeniami. Fotografia przedstawiała ośnieżoną choinkę i dzieci, które wieszały na niej bombki. Nigdy wcześniej nie widziałam tak pięknej kartki. Na odwrocie kilka słów, życzenia wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku. Nie było podpisu, ale zaraz wiedziałam, że to pismo Józefa. Mimo że świąteczna kartka od szwagra komunisty była czymś niezwykłym, ulżyło mi i ucieszyłam się, że wieczorem, gdy Władek wróci z pracy, będę mogła mu powiedzieć, że zaginiony brat w końcu się odnalazł. Kartkę wsunęłam za szybką byfyju i w natłoku przedświątecznych prac zupełnie o niej zapomniałam.

– Skąd to masz? – Władek zaskakuje mnie wieczorem, kiedy właśnie wiem zasłony. Patrzę na niego z góry, z poziomu taboretu, na którym stoję. Trzyma w ręku kartkę.

– Listonosz przyniósł. Widzisz, zapomniałam ci powiedzieć. To od Józefa. Nie podpisał się, ale to przecież jego pismo.

– Zosiu, ta kartka jest z Kanady – Władek mówi powoli, głosem pełnym niepokoju.

– Jak to z Kanady, skąd wiesz?

– Nie zauważyłaś pieczętki?

Zdażyłam już zejść z taboretu i stanąć przy mężu.

– Zobacz, tutaj. Trochę zamazana, ale widać wyraźnie.

Faktycznie, literki na pieczętce i znaczku pocztowym tworzą słowa, których nie potrafię odczytać.

– Ale jak to: z Kanady? To nie Józef przysłał?

Jestem zupełnie zdezorientowana. Przecież rozpoznaję pismo Władkowego brata. Już nieraz je widziałam, niejeden list od niego przyszło mi czytać.

– Masz rację. To pismo Józefa i właśnie to mnie martwi.

– Myślisz, że pojechał na wakacje? Dali mu paszport? Ale dlaczego zimą?

Nie chcę się przyznać przed Władkiem, ale zupełnie nie wiem, gdzie leży Kanada. Myślałam, że to dosyć daleko, bo nigdy nie słyszałam, aby ktoś tam wyjeżdżał albo miał rodzinę.

– Na miłość boską, Zosiu! Tam nikt nie jeździ na wczasy. To nie Zakopane. Wiesz w ogóle, gdzie jest Kanada?

Mąż jak zwykle mnie rozszyfrował. Nie mam pojęcia, skąd Józef wysłał nam świąteczne pozdrowienia.

– Chodź. – Władek łapie mnie za rękę. – Pokażę ci.

– A zasłony?

– Potem, potem – mówi coraz bardziej podenerwowany.

Odsuwa od stołu krzesło i sadza mnie na nim, a sam podchodzi do oszklonego regału, w którym trzymamy książki. Nie jest ich wiele. Wszystkie kupił Władek. Sięga po najgrubszą.

– Zobacz, Zosiu. – Otwiera stronę, na której jest ogromna mapa. – Tutaj leży Polska, widzisz? Obok są Niemcy, dalej Francja. A Kanada... – Władek sunie palcem. Szybko kończą się kolorowe plamy państw i zaczyna błękit wody. – Tutaj jest Kanada – mówi, gdy w końcu dociera do celu. – Widzisz, aby się do niej dostać, trzeba przepłynąć ocean. To bardzo długa podróż. Nie na wczasy, tylko na... – głos Władka załamuje się, odchrząkuje, chcąc to ukryć. – To podróż na całe życie – kończy.

Milczę. Zdezorientowana patrzę na mapę. Może Władek się myli, może to wcale nie jest tak daleko. Dostawiam w myślach jedną Polskę do drugiej, aby wypełnić nimi odległość między państwami, odległość, którą musiał pokonać Józef.

– To po co miałyby tam jechać? – pytam w końcu. – Tam też jest komunizm? Tam też rządzi partia?

– Nie, Zosiu, tam rządzi angielska królowa.

– To może chcą to zmienić, może pojechał na jakieś rozmowy i wróci za kilka tygodni. Tylko dlaczego nam nie powiedział?

Wątpliwość poganiała wątpliwość. Oczy Władka są smutne.

– Zosiu, nie wiem, dlaczego Józef wyjechał, nie wiem, dlaczego się z nami nie pożegnał. Ale myślę – znów drżenie głosu – jestem pewny, że nie zobaczę już brata.

Od tamtego przedświątecznego wieczoru mija wiele miesięcy. Władek zazwyczaj potrafi odnajdywać odpowiedzi. Gdy wyrzucają go drzwiami, wraca oknem. Gdy pięciu urzędników wzrusza ramionami, on pyta szóstego. Dotychczas była tylko jedna sprawa, której mój mąż nie potrafił ruszyć – domy, które zostały nam odebrane. Mimo dokumentów, świadków, zeznań nie ma sposobu, aby oddano nam zabraną zaraz po wojnie własność. Zresztą ja wcale nie jestem przekonana, czy chciałabym odzyskać coś, z czym wiąże się tyle bólu. Widać rany jeszcze się nie zagoiły, bo czasem nawet wizyty u mamy i Antosia są trudne.

Teraz do listy spraw nie do załatwienia dochodzi jeszcze Józef i tajemnica jego zniknięcia. Nikt nic nie wie. No, może niezupełnie nikt. Nie mogę zapomnieć, że ostatnią osobą, która rozmawiała z Józefem w tym domu, była Helenka. Teraz już wiem, że musiał jej wtedy wyjawić, dlaczego wyjeżdża, musiał już wtedy wiedzieć, że przemierzy te setki, tysiące kilometrów, że przepłynie ocean.

Pytam Helenkę o to wielokrotnie. Proszę, błagam, mówię o strapieniu Władka, o jego ciągłych poszukiwaniach i codziennym dopytywaniu o jakąkolwiek wiadomość. Helena milczy jak zakłeta.

Nie mogę powiedzieć Władkowi o moich przypuszczeniach, bo albo wytrząsnąłby z Helenki siłą słowa, których nie chce nam zdradzić, albo zniechęciłby moją siostrę. Wiem, jakie emocje targają teraz moim mężem. Choć ani przede mną, ani przed dziećmi, chyba nawet przed sobą samym się do nich nie przyznaje.

On już raz stracił brata. Cierpiał wiele lat, a potem w jeszcze większych bólach Józef i Władek odzyskiwali siebie nawzajem. Teraz wszystko się powtarza. Znow coś stało między braćmi. I w głębi duszy wiem to, o czym Władek powiedział głośno nad rozłożoną na stole mapą. Józef już nie wróci.

– Nie myślałam, że się zdecydujecie. Oryginalni jesteście, nie ma co. – Domi siedzi przy przysuniętym do okna stole i od niechcienia miesza drewnianą łyżką w misce z resztkami zastygającej czekolady.

– I kto to mówi? – Uśmiecham się do niej, czekając przy piecu, aż czajnik z postawioną na herbatę wodą zacznie pisać. – Od ośmiu lat mieszkasz w tej swojej komunie i mówisz mi, że jestem oryginalna, bo zamieszkałam w domu babki. Naprzeciw nas też młodzi mieszkają. A na parterze rodzina z trójką kilkulatków.

– Dobrze wiesz, że do familoków, takich jak ten, przeprowadzają się ludzie, których nie stać na inny lokal, a nie sentymentalni romantycy. Zresztą sama się przekonałaś, kto tu mieszka. Myślałam, że po tej katastrofie zmienicie zdanie.

– Bez przesady, to nie była żadna katastrofa. Nikomu nic się nie stało.

– Ale mogło. – Dominika jest nieugięta. – Co za lekkomyślność, butle bez atestu trzymać w domu. Napełniać na lewo.

– Z oszczędności.

– Oj, Oliwka, sama mówiłaś, że jak gaz wybuchł, to facet spał w pokoju obok, kompletnie pijany.

– Cud, że nic mu się nie stało – przyznaję.

– I nie będziesz się bała tu mieszkać? Przecież to się może powtórzyć.

– Wszędzie może. Dominika! Ty też z różnymi ludźmi mieszkałaś. Tak naprawdę, to ja się cieszę, że to była tylko butla, a nie schody albo dach. Mogliśmy mieć poważne kłopoty. Mogliśmy stracić domy.

– To tylko stare rudery.

– Na Nikiszowiec, do takich ruder, przenoszą się artyści i adwokaci, raczej nie z biedy.

– Ale ta ulica to nie Nikiszowiec. – Domi nie daje za wygraną. Chyba ma zły dzień i chce mnie wkurzyć.

Nalewam herbatę do białych kubków i podchodząc do stołu, przelotem zerkam na odrapaną elewację domu naprzeciw. Wiem, że Dominika ma rację, dom jest w oplakany stanie i wymaga solidnego remontu. Jeśli nie dostaniemy dotacji, o którą się staramy, jeśli nasz wniosek przepadnie, nie wiem, jak zdobędziemy pieniądze na wszystko, co się sypie, przecieka i gnije. Wzięliśmy sobie na ramiona ogromny ciężar, ale o dziwo, wcale mi on nie ciąży.

– Ty nie tylko przeprowadziłaś się do nowego mieszkania. Mam wrażenie, że odbyłaś też podróż w czasie.

– W czasie? Dlaczego?

Domi przygląda mi się przez chwilę, widzę w jej oczach krytykę.

– Popatrz na siebie, no normalnie gospodyni domowa. Pierniki robisz. Cała kuchnia aż błyszczy, tak ją wyszorowałaś.

– A to źle? Przecież idą święta. Ty też je lubisz.

Dominika wzrusza ramionami. Teraz zamiast w misce miesza łyżką w herbacie.

– Co się stało? – pytam w końcu, bo przecież dobrze wiem, że zły humor mojej przyjaciółki musi mieć jakąś przyczynę.

– Pamiętasz? Miałymy pojechać na święta do Ustki. Chciałam zobaczyć morze zimą. Miałymy karmić łabędzie i robić zdjęcia poławiaczom bursztynów, a popatrz teraz na siebie, latasz w fartuszkach pomiędzy Zośką a piecem.

– Tak, pamiętam, mówiłyśmy o tym z pięć lat temu, gdy Piotrek był w pracy w Anglii, ale wtedy ty akurat poznałaś Maćka i w ostatniej chwili zmieniłaś nasze plany.

– A teraz miałabym ochotę.

– A teraz ja mam męża i małe dziecko – mówię dosadnie, zerkając na drzwi, za którymi śpi Zosia. Trochę już denerwuje mnie zachowanie Domi.

– I to znaczy, że już nigdy nigdzie razem się nie ruszymy?

– Nie, to znaczy, że pokłóciłaś się z Maćkiem i masz w perspektywie samotne święta. Przyjdź do nas, zamiast się tak zachowywać.

Dominika marszczy czoło, widzę, że w pierwszym odruchu chce zaprotestować. Uznać, że moje domysły nie mają nic wspólnego z prawdą, ale po sekundzie twarz jej łagodnieje. Odkryłam jej sekret, może się wyżalić.

– Ten idiota wymyślił sobie, że wyjadę z nim za granicę.

– Do pracy? Na długo?

– Maciek mówi, że on nie chce oszczędzać i odmawiać sobie wszystkiego, aby tutaj przywieźć pieniądze. Wyobraź sobie, że on myśli o wyjeździe na stałe.

– Gdzie?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Do Norwegii, Szwecji, Kanady.

– Do Kanady?

– Oj, Oliwka, tak tylko powiedziałam. Nie wiem gdzie. Co to ma za znaczenie?

– A ty nie chcesz jechać? – pytam, tłumiąc żal, bo jeśli Domi się zgodzi, mogę stracić najlepszą przyjaciółkę. Właściwie jedyną, jaką mam. – Znasz angielski, może tam znalazłabyś pracę w swoim zawodzie, a przynajmniej normalne mieszkanie. Za stara już jesteś na tę zbiorówkę. – Odgryzam się troszkę za wcześniejsze uwagi Dominiki. – Pewnie to wasze mieszkanie tak Maćka zmęczyło, że chce wyjechać.

– Nieprawda. On lubi ze mną mieszkać. Tylko szef znów nie dał mu umowy o pracę, kolejna zleceniówka. Tego ma dość.

– W sumie to ma rację – muszę przyznać. – Ile można tak pracować pokątnie!

– Ma – potwierdza Dominika. – Ale ja nie chcę jechać. Nie wyobrażam sobie życia w innym miejscu. Tak daleko od wszystkiego, co znam. To koniec, rozstaliśmy się.

Podnoszę się i okrążam stół. Staję za krzesłem Dominiki i przytulam się do jej ramienia.

– A co na to twoje przecucia?

– No właśnie chyba przez to jestem taka zdenerwowana. Oliwka, ja wciąż widzę Maćka gdzieś daleko, mnie przy nim nie ma.

– Tym razem musisz posłuchać rozumu, nie przecuć. Do wigilii jeszcze kilka dni, zdążycie się pogodzić i spędzić wspólnie święta w tym waszym zatłoczonym gniazdku.

– Mieliśmy jechać do jego rodziny – pociąga nosem Domi.

– To pojeździecie. A jeśli Maciek naprawdę będzie chciał wyjechać, to też żadna tragedia. Świat jest mały. Teraz samoloty raz-dwa zawiozą cię i przywiozą. Kiedyś to były wyjazdy! Jak raz granicę przekroczyłaś, mogłaś już nigdy nie zobaczyć bliskich – mówię i zastygam bez ruchu, bo właśnie przypomniało mi się coś, o czym przez tę całą przeprowadzkę zupełnie zapomniałam. Chcę opowiedzieć Domi o Józefie i jego tajemniczym synu, ale właśnie zza uchylonych drzwi dobiega mnie płacz córki.

Choć pokoik Zosi czeka gotowy, na razie łóżeczko stoi przy naszym, w sypialni „przelotowej”, jak mówi na nią Piotrek. Tak nam wszystkim jest wygodniej. Śmieję się, że martwiliśmy się o brak miejsca, a teraz mamy go aż za dużo.

– Poczekaj, ja do niej pójde. – Domi podrywa się z krzesła.

– Jest głodna! – wołam do jej pleców. – Zrobię mleko i przyniosę.

Gdy tylko Dominika znika w drugim pokoju, płacz milknie, moja córeczka jest bardzo towarzyska, a Dominika, choć głośno się temu sprzeciwia, byłaby świetną mamą. Spokojnie przygotowuję mieszankę, do której dosypię kilka łyżeczek kaszki. Potrząsając równomiernie butelką, aby kaszka się wymieszała, przyglądam się kuchni i muszę przyznać, że Domi ma rację. Faktyczne pomieszczenie łni. Białe ściany, z których jedną pomalowaliśmy dekoracyjnym wałkiem, nanosząc niebieskie liście, nie zdążyły się jeszcze zakurzyć. Stara drewniana podłoga, wycyklinowana i pociągnięta bezbarwnym lakierem, nie została zdeptana przez niczyje ubłocone buty. To jeszcze ten czas, zaraz po gruntownych remontach, w którym wszyscy się pilnujemy, aby niczego nie zarysować i nie zaplamić. Sunę wzrokiem po babcinym zielonym kredensie, półce na filiżanki, makatce wiszącej pod nią i sztrykowanych zazdrostkach w oknach. Rzeczywiście można się tu poczuć jak w muzeum etnograficznym. Uśmiecham się sama do siebie i wdycham słodki zapach pierników, którym wypełnione jest całe mieszkanie. Domi myśli, że zwariowałam, i pewnie ma rację, ale nic nie poradzę na to, że właśnie w takim miejscu jest mi dobrze.

Dominika wychodzi, gdy nakarmiona i utulona w ramionach cioci Zosia z powrotem zasypia. Czuję, że jest już spokojniejsza. Mam nadzieję, że stanie się tak, jak jej mówiłam. Pogodzą się z Maćkiem i spędzą święta wspólnie u jego mamy. Mam też nadzieję, że nigdzie nie wyjadą. Nie chcę tracić przyjaciółki, a tu przecież też można dobrze żyć.

Coś jeszcze nie daje mi spokoju, więc gdy tylko upewniam się, że Zosia mocno śpi, tak jak spać mogą tylko przebrane i nakarmione niemowlaki, wyciągam z szuflady laptop, a potem odnajduję w jednej z przegródek portfela karteczkę, którą kilka tygodni temu dała mi ciotka Helenka.

Dobrze, że oprócz numeru telefonu syn Józefa zanotował na niej również adres mailowy. Nie miałabym odwagi zadzwonić, napisanie wiadomości jest o wiele łatwiejsze. Nie trzeba wsłuchiwać się w czyjeś reakcje, nie trzeba przeczekiwać długich chwil ciszy, ukrywać skrępowania i nieśmiałości. Po prostu piszesz i... to również wcale nie okazuje się łatwe.

Szanowny Panie,

ten adres mailowy dostałam od siostry Heleny, mojej ciotki. Kontaktował się Pan

z nią w sprawie Józefa Zaleskiego, który był Pana ojcem i bratem mojego dziadka Władysława.

Nie wiem, czy jest coś, w czym mogłabym Panu pomóc. Jeśli tak, chętnie porozmawiam.

Pozdrawiam serdecznie

Oliwia Kowalska

Zdania wychodzą mi niezgrabnie, mam nadzieję, że poprawnie. Nigdy nie było mi po drodze z pisaniem. Język polski nie należał do moich ulubionych przedmiotów.

Sprawdzam wielokrotnie, czy nie popełniłam błędów, ale w końcu naciskam przycisk *wyślij*. Czuję ścisk w żołądku. Co będzie dalej?

Z jednej strony jestem ciekawa człowieka, który bądź co bądź jest moją rodziną, z drugiej – chyba wołałabym, aby milczał. Nie wiem, czy może wnieść w moje życie, we wspomnienia, które mam, coś pozytywnego.

Piotruś wraca z pracy kilka minut po dwudziestej pierwszej. Stoję z Zosią przy oknie i czekam, aż wejdzie przez bramę na plac, zaledwie muśnięty światłem jednej z kilku zamontowanych na murze domów lamp.

Patrzę, jak z rękami w kieszeniach i ze spuszczoną głową, chroniąc się przed mrozem, wydeptuje ścieżkę w świeżym śniegu. Co wieczór tę samą. Na chwilę zatrzymuje się na wprost naszego okna, zerka w górę, uśmiecha się, macha nam, a potem robi jeszcze kilka kroków i znika pod daszkiem nad wejściem do sieni. Słyszę skrzypienie schodów i coraz wyraźniejsze odgłosy kroków. W końcu otwierają się drzwi. Mój mąż wrócił do domu.

Wieczorami nie ma zbyt wiele czasu na spokojną rozmowę. Na opowieści o tym, jak minął dzień. Jest już późno, a po naszej szybkiej wspólnej kolacji trzeba jeszcze wykąpać Zosię. W małej łazience jest zbyt ciasno, przesuwamy więc stół na środek kuchni, stawiamy na nim plastikową wanienkę z ciepłą wodą i delikatnie zanurzamy w niej Zośkę, która oprócz ubierania najbardziej na świecie nie lubi właśnie kąpieli. Jej protesty muszą słyszeć wszyscy mieszkańcy domu. Ponoć, jeśli będziemy ją kąpać regularnie, w końcu się przyzwyczai. Tak mówi lekarz. Ja odnoszę inne wrażenie. Zośka po prostu lubi być brudna.

Po kąpieli i butli mleka nasza córeczka zasypia, a my padamy na łóżko. Walka z płaczącym niemowlakiem jest wyczerpująca. Cicho, aby nie obudzić małej, opowiadam Piotrkowi o upieczonych piernikach, wizycie Domi i o mailu napisanym do syna Józefa.

Budzi mnie ciche kwilenie córki. Jest przed drugą. Nawet nie wiem, kiedy oboje usnęliśmy. Czas na nocny posiłek. Dziś moja kolej, aby wstać i przygotować mleko. Półprzytomna wchodzę do kuchni i nastawiam w czajniku wodę. Czekając, aż się zagotuje, odruchowo włączam laptop i już zupełnie świadomie loguję się do poczty.

Wśród kilku ofert i reklam widzę odpowiedź, na którą czekałam. Serce staje mi na moment, gdy mail powoli się otwiera.

Droga Oliwio (jesteśmy rodziną, więc pozwól, że będę mówił do Ciebie po imieniu)!

Cieszę się, że napisałaś, wiem, że to była niełatwa decyzja.

Bardzo chciałbym się z Tobą spotkać. Porozmawiać o rodzinie ojca, którą to, jak zapewne wiesz, dopiero odnalazłem.

Pozdrawiam serdecznie

Przemysław

Zosia
Lipiec 1964

– To smutne, że nie możemy być razem – wzdycham. – Nawet podczas wojny rodziny się spotykały przy takich okazjach, a teraz...

Ania podaje mi list od Agnes, który jej pokazałam. Moja siostra pisze w nim, że choć bardzo by tego pragnęła, nie przyjadą z Leszkiem na ślub Antka. Nie mogą. Leszek się boi, że jeśli Agnes przyjedzie, to jej już nie puszczą z powrotem. Aresztują, ukarzą za ucieczkę. Ma rację. Tylu wyjechało, nikt nie wraca. Wyjazd mojej młodszej siostry i jej męża w 1950 roku nie był legalny. Nikt nie wydał zgody na tę emigrację. Pojechali na zaproszenie Trudy, dziewczyny, z którą przyjaźniliśmy się jeszcze przed wojną. Mieli wrócić po kilku tygodniach. Zostali. Tak jak setki, tysiące innych. Oczywiście nie obyło się bez wezwań na milicję, zadawania rutynowych pytań. Gdyby mieli karać rodziny wszystkich, którzy uciekli, musieliby ukarać cały Śląsk. Nic złego nam nie groziło, ale oni wrócić nie mogą.

– U nas na ulicy – przypominam sobie pewną historię – mieszkała wdowa z trójką dzieci. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Jak wybuchła wojna, to starszy poszedł do polskiego wojska, tak jak Władek. Chyba nawet w tej samej kompanii byli. Młodszy w czterdziestym pierwszym dostał powołanie do Wehrmachtu. Co miał zrobić? Zgłosił się. A rok później ich siostra wychodziła za mąż. Aniu, wyobraź sobie, że obaj bracia przyjechali na ślub. Jeden w polskim mundurze, drugi z hakenkreuzem na piersi. Długo jeszcze o tym weselu na ulicy szeptano, ale czy to jedno takie było? A teraz zobacz, niby wojny nie ma, niby bezpiecznie, a rodziny rozdzielone. Jak to tak?

– Jest wojna, Zosiu, tylko taka, w której nie słychać wystrzałów. Choć i te coraz częściej będą się pojawiać. Zobaczysz. Ta niema wojna zacznie zbierać coraz większe żniwo.

W jednej chwili robi mi się zimno.

– Wypluj to – mówię szybko i zanim Ania zdąży mi cokolwiek odpowiedzieć, wychodzę z kuchni.

Gdy wracam po kilku chwilach, moja przyjaciółka dopija herbatę, patrząc na coś za oknem. Na jej twarzy widnieje tylko spokój. Nie wiem, jak to możliwe, że ona się nie boi – o siebie, Paulka, a przede wszystkim o Ignasia. Ja wciąż tłumaczę Gosi i Zbyszkowi, że o pewnych rzeczach głośno mówić nie można, że to, co słyszą w domu, to, co czasem krzyknie w złości Władek, nie może wyjść poza nasze izby.

Anna i Paulek są mniej ostrożni, skutki tego już widać. Jakiś czas temu oboje byli wezwani do szkoły w sprawie swojego dorosłego już przecież syna. Ignacy na lekcji historii głośno zapytał o to, o czym mówić nie wolno – poprosił nauczyciela, aby ten opowiedział klasie o obozie na Zgodzie. O miejscu, w którym zginął jego ojciec. Jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności cała sprawa rozeszła się po kościach. Choć nie tak do końca, bo zdolny i bystry uczeń, jakim niewątpliwie jest Ignacy, nie został dopuszczony do matury. Musi powtarzać ostatnią klasę technikum. Anna się tym chyba nie przejmuje.

– To ile osób będzie na weselu? – pyta, zupełnie zmieniając temat. Jestem jej za to

wdzięczna.

– Mało. W sumie to tylko nasza czwórka, matka, Helenka, rodzice i rodzeństwo Werki. Ktoś z piekarni. Ale ładną salę mają, na ogródkach działkowych. Odnowiona niedawno.

– Na pewno wszystko się uda. A duże wesela wcale nie są w modzie.

– Przynajmniej będzie większe od wesela Agnes albo od twojego.

Anna się uśmiecha.

– Nie lubię, gdy jest tłoczno – mówi.

Faktycznie, nie dane mi było się pobawić na weselu siostry, której do szczęścia wystarczył tylko pusty kościół, obiad w domu, a potem wyjście na wieczór taneczny do hotelu, który omal nie zakończył się zatrzymaniem Leszka za ostre dyskusje z przedstawicielem władzy.

Ślub Anny i Paulka to szybka kawa w cukierni po uroczystości w urzędzie stanu cywilnego. Anna nie chciała ślubu kościelnego, mówiła, że ten już raz zawarła ze swoim nieżyjącym mężem. Wiem, jak bardzo go kochała. Paulek nie protestował. Chyba tylko matki załamywały nad decyzją młodych ręce.

Za trzy dni kolejne wesele. Już ostatnie z naszej czwórki bierze ślub. Ścisza mnie w dołku, kiedy pomyślę, że mój mały braciszek będzie miał żonę i pewnie niedługo własne dzieci. Dla mnie to on wciąż jest dzieckiem. Ale jestem szczęśliwa, bo pomimo biedy, wojny i tylu życiowych nieszczęść każde z nas znalazło swoje miejsce w życiu, każde spotkało szczęście. Szkoda tylko, że ojciec tego nie dożył. Myślę, że byłby dumny ze swoich dzieci.

– A wicie, że zabrzańskie hajery[26] zrobili rekord świata we fedrowaniu[27]? Ostatni noleżoł do czeskich hajerów – mówi ojciec Werki rozparty na krześle. – To była wetka[28] za szpil[29], co go sfalili[30].

Przyglądam mu się z niesmakiem, jest bardzo gruby, a za mała koszula rozchodzi mu się na brzuchu. Przy nim jego żona, matka panny młodej, wygląda jak zapalka, taka jest chuda.

– A skąd to pan wie? – pyta Władek, a ja z całej siły kopię go pod stołem. Widzę, jak na jego twarzy pojawia się rozpoznawalny tylko przeze mnie uśmiech. Robi mi na złość!

– Z kroniki filmowej. Co tu godać, jo tyż w Zabrze robiólech cołkie życie, ino na inkszyj grubiej[31]. Znom tych hajerów.

– Niektórzy wcale nie lubią stachanowców – Władek ciągnie odważnie albo głupio. – Ludzie protestują przeciwko łamaniu prawa pracy. Czy pan wie, że w niektórych kopalniach nie pozwalają górnikom zjeżdżać na szychta w zegarkach? Mają nie wiedzieć, ile godzin pracują, aby się nie buntowali, że za długo.

Znów kopię Władka w kostkę. Czy on w ogóle wie, z kim rozmawia? Czy zna tego człowieka? A jeśli to jakiś szpicel, ubek? Znam teorię mojego męża. Uważa, że to tylko kwestia czasu, kiedy kopalnie i górnicy przyłączą się do zbiorowych strajków. Władza wie, że musi uważać, że nie może za bardzo cisnąć górników, aby się nie zbuntowali, ale im też coraz mniej podoba się sytuacja, w której żyjemy. Coraz większe normy, zmniejszanie płac. Ten dobrobyt jest tylko pozorny. I jeszcze Kościół, którego władze nie

pozostają obojętne na to, co się dzieje. A przecież nie ma chyba bardziej bogobojnej grupy niż górnicy, no może jeszcze górale. Lepiej, aby Władek teraz o tym nie wspominał.

– Pan nie robi na grubie, to gównu pan wiesz – odpyskowuje Władkowi ojciec panny młodej.

Awantura wisi w powietrzu.

– Nie, ale w drukarni. Z gazet też wiele można wyczytać.

– W gazetach cyganią[32]! – odkrzykuje rozmówca Władka i nagle milknie. Widzę, jak jego i tak czerwona już twarz zaczyna przypominać dojrzałego buraka.

Władek nie spuszcza oczu z mężczyzny. Unosi brwi. Tryumfuje. A ja rozglądam się, czy aby nikt nie przysłuchiwał się tej rozmowie. Gazety są przecież narzędziem w rękach obecnej władzy. Jeśli kłamią gazety, to znaczy, że kłamie partia. Tego na głos absolutnie powiedzieć nie wolno.

– Byli państwo w kinie ostatnio? – próbuję zmienić temat. Zatuszować wpadkę.

Widzę, jak Władkowi warga drży z rozbawienia.

– Byliśmy na *Żonie dla Australijczyka* – mówi cienkim głosem teściowa Antka. Ona również jest wystraszona. – Mąż dostał bilety z kopalni, to poszliśmy.

– Widzisz – zwracam się do Władka z udawanym oburzeniem. – A my w ogóle przestaliśmy do kina chodzić.

– Bo mamy telewizor – mówi głośno Władek. Tak, aby cały stolik nas słyszał.

– Chodź, zatańczymy. – Ciągnie mnie za rękę. – Lubisz tę piosenkę.

Czuję ulgę, gdy odchodzimy od stołu.

– Mógłbyś przestać?! – syczę Władkowi do ucha, gdy obejmuje mnie w talii i zaczyna prowadzić w rytm melodii, którą gra wynajęty przez młodych zespół muzyczny.

– Ale co przestać? – Mój mąż udaje głupiego.

– Przestać wszczynać awantury.

– Przecież nie ma żadnej.

– Władek! Ja już dobrze wiem, co ty myślisz o tym rekordzie światowym. A on widocznie w to wierzy.

– A ty jak zwykle się boisz o wszystko, straszku – mówi, całując mnie w nos.

Nie mam ochoty się na niego gniewać. Mimo teścia Antka, który nie wzbudził mojej sympatii, dawno tak dobrze się nie bawiłam. Przyglądam się innym weselnym gościom. Obok nas tańczą Antoś i Weronika, którzy wręcz promienieją szczęściem. Patrę, jak układa się sukienka na mojej bratowej. Sama ją szyłam. Udała się. Zresztą oboje pięknie wyglądają. Antoś jechał po garnitur aż do Rybnika.

Kto by pomyślał, że mój mały brat z wiecznie pozdzieranymi kolanami wyrośnie na tak przystojnego mężczyznę. Wirują przy nas w rytm piosenki *O mnie się nie martw, o mnie się nie martw, ja sobie radę dam. Jesteś, to jesteś, a jak cię nie ma, to też niewielki kram*. Mam jednak nadzieję, że młodzi za bardzo nie wsłuchają się w słowa. Niech im się uda. Niech będą dla siebie wsparciem, przede wszystkim w niełatwych chwilach, które nadejdą.

Z lewej strony parkietu, prawie pod oknem, tańczy Gosia z młodszym bratem Weroniki. W butelkowej sukience, zwężanej w talii, w koczku z warkocza moja córka wygląda pięknie. Jest wyższa i zgrabniejsza ode mnie i rysy ma łagodniejsze, bardziej

kobiece.

– Boże, ona nie jest już dzieckiem – szepczę do Władka, nie umiając opanować nagłego wzruszenia.

– W jej wieku byłaś już moją żoną – mówi Władek.

– W jej wieku musieliśmy siebie zostawić i ruszyć na wojnę.

– Wiem – mówi Władek i delikatnie głaszcze mnie po plecach. – Ale to dobrze, że im jest lepiej.

Teraz on też przygląda się naszym dzieciom. Gosi, która uśmiecha się do nas znad ramienia swojego partnera, i Zbyszkowi, który siedzi na parapecie okna i majdając nogami, wyraźnie znudzonym wzrokiem obrzuca tańczące pary.

– Na szczęście z drugim dzieckiem jeszcze jakiś czas się pomęczymy – komentuje w końcu Władek i choć piosenka jeszcze się nie skończyła, przestaje tańczyć.

– Przejdźmy się trochę – mówi i prowadzi mnie do drzwi. – Odetchniemy.

W przelocie zerkam jeszcze na matkę. Rozmawia teraz z matką Werki. Choć obie szczupłe, w szarych, niemodnych sukienkach wydają się do siebie podobne, widać też to, co je dzieli. W odróżnieniu od matki Werki moja pozostała w świecie, którego już nie ma. Utknęła gdzieś przed wojną, przed erą pralek dla każdej gospodyni, telewizorów i wesel, które można zrobić gdzie indziej niż tylko na placu pomiędzy familokami. Odeszły już czasy, do których pasowała. Bezpowrotnie.

– Kupimy sobie kiedyś taki samochód – mówi Władek, jakby na potwierdzenie moich rozmyślań o matce, i staje przed zaparkowaną przed lokalem białą syrenką. Kierownik Antka pożyczył ją młodemu, aby nim pięknie podjechali pod kościół. Oczywiście kierował syn szefa, nikomu innemu by nie pozwolił. Ależ była wrzawa na placu, gdy auto pojawiło się w bramie. Przypomnił mi się dzień, w którym Władek, jeszcze przed naszym ślubem, pożyczył od swojego kierownika rower i potem uczył mnie na nim jeździć. Dzieci szalały, biegały, piszczały i błagały Władka, aby przewiózł je choć kawałek. Teraz takie samo zamieszanie wywołane zostało przez auto.

– Zrobię sobie prawo jazdy – ciągnie Władek. – I zaczniemy podróżować. Będziemy jeździć w góry albo i nad morze.

– Dałbyś radę? – pytam, bo zmuszenie takiej maszyny do ruchu wydaje mi się czymś prawie niemożliwym.

– Oj, Zosiu, to nie takie trudne. Już w wojsku nas szkolono.

– Pojechalibyśmy do Pszczyny – nieśmiało pozwalam podążyć moim wspomnieniom tam, gdzie teraz jest Władek.

– Do Pszczyny? Przecież zawsze mówiłaś, że nie chcesz tam wracać, że to zamknięte drzwi.

– Wiem, ale ostatnio często śnią mi się tamte czasy. Dom, w którym mieszkałam, park zamkowy.

– Tęsknisz? – pyta mąż, a ja wiem, że to pytanie wciąż jeszcze wywołuje w nim dreszcz niepewności. Mimo tylu lat, które minęły. Mimo że Eryk Lanx, mężczyzna, który pomógł mi przetrwać tamte czasy, zniknął bezpowrotnie w dniu, w którym stamtąd uciekliśmy, i nie wraca nawet we wspomnieniach i w snach.

– Za młodością – mówię, bo właśnie to czuję. – Pszczyna to moja młodość.

– Nadal jesteś młoda. – Władek staje przede mną.
– Młodość dawno za mną – wzdygam.
– Bzdury opowiadasz, jesteś siostrą pana młodego, wyglądasz młodziej od niego, widzę, jak oglądają się za tobą wszyscy mężczyźni.

– Bo sobie ładną sukienkę uszyłam – przekomarzam się.
– Bo ty jesteś ładna. – Władek chwytą mnie w pasie. – Co ja mówię! Jesteś piękna. Rozumiesz? Dla mnie zawsze będziesz najpiękniejsza.

Prawie kręci mi się w głowie od tych komplementów, a może od lipcowego powietrza, przesyconego zapachem rozkwitających kwiatów i owocowymi drzewami, których tutaj w ogrodzie pełno.

Gdzieś tam wewnątrz budynku umilkła muzyka. Słychać pobrzękiwanie wnoszonych talerzy. Może właśnie roznoszą gulasz. Zdobyte prawie cudem i przepłacone pięć razy mięso musi dobrze smakować.

– Jesteś głodny? – pytam Władka.

– Tak, ale to, na co mam ochotę, stoi przede mną – odpowiada, śmiejąc się.

A potem zaczyna mnie całować, tak jakby to było nasze wesele. Nasza noc poślubna.

Za oknem dopiero świta, Piotruś i Zosia śpią w najlepsze, a ja siedzę na łóżku zupełnie rozbudzona. Już od dobrych kilkadziesiąt minut wierciłam się, licząc, że sen jeszcze się pojawi. Nic z tego. Wstaję i cichutko, aby nikogo nie obudzić, wychodzę do kuchni. Jest chłodno. Elektryczne piece w naszej sypialni i pokoju Zosi spełniają swoje zadanie, ale tu trzeba napalić pod blachą, aby zrobiło się miło. Nauczyłam się tego w kilka dni. Co więcej, te chwile spędzone na ryczce[33], kiedy czekam, aż wrzucony do pieca węgiel zacznie czerwienieć, sprawiają mi radość. Pewnie do czasu. To nic. Nawet jeśli kiedyś będzie to tylko uciążliwym obowiązkiem, teraz jest nowym i romantycznym początkiem dnia.

Ogrzewam się ciepłą kawą, ale nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Coś mnie gdzieś ciągnie. Każe mi wyjść. Decyduję się na poranny spacer. Na szczęście ze względu na brak przedpokoju to właśnie w kuchni, obok drzwi, stoi szafa z kurtkami i płaszczami. Przy niej buty. Zakładam wszystko na piżamę i wymykam się z mieszkania. Schody skrzypią nieznośnie. Potem, gdy wychodzę z sieni, skrzypi śnieg. Jest zimno, ale mimo wczesnej pory słońce już próbuje się przebić przez poranne chmury. To będzie ładny zimowy dzień.

I znów nogi same mnie prowadzą. Przez kilka tygodni po śmierci babci tak bezwiednie kierowały mnie do tego domu, teraz idę dalej, skręcam za róg budynku i już po chwili staję w miejscu, gdzie przed wielu laty pracowała pradiadkowa kuźnia.

Nie powstałaby, gdyby nie dziadek Władek, to on namówił swojego przyszłego teścia, aby, zamiast zupełnie się załamać po zwolnieniach w hucie, spróbował otworzyć coś, co przyniesie mu pieniądze i jedzenie dla wciąż przymierającej głodem rodziny. Pradiadek posłuchał dziadka i tak przez kilka dobrych lat spod ręki kowala Trautera wychodziły nie tylko przedmioty użyteczne, ale i piękne dzieła sztuki. Okazało się, że pradiadek miał niezwykle zdolności.

Kuźnia została odebrana wraz z domami. Popadła w ruinę. Resztki rozebrano i rozkradziono. Pradiadek zmarł. O tym, co stało za domem, mówiono niewiele. Nie myślano o smutnej przeszłości.

A teraz ja mam to zmienić. Tak, jak doradził nam Ignacy, krok po kroku, dokument po dokumencie zbliżam się do stworzenia tu miejsca, które upamiętni dawny kunszt kowalski. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeśli dostaniemy pieniądze na realizację pomysłu, który już się w urzędach spodobał, od wiosny zaczną się prace. Na razie w niewielkim blaszanym kontenerze gromadzimy wszystko to, co przynoszą nam okoliczni mieszkańcy. Pierwsze kowadło trafiło do nas, gdy myśleliśmy, że o naszym pomysle nie wie nikt prócz nas i naszych rodziców. Do dziś nie mam pojęcia, kto puścił plotkę, że zbieramy stare narzędzia.

Prócz młotów, kleszczy i imadeł zaczęliśmy również szukać wspomnień. Kilka dni temu, gdy spacerowałam z Zosią, podeszła do mnie starsza pani i ni stąd, ni zowąd zaczęła opowiadać, że miała kłamrę do włosów, którą zrobił dla niej mój dziadek. Był to prezent od narzeczonego. Dowiedziałam się też, że narzeczony zginął na wojnie i nie zdążyli się

pobrać. Ale spinka została. Piękna, jak od jubilera.

Coraz więcej wokół nas takich opowieści. Coraz większe przekonanie, że robimy coś ważnego nie tylko dla siebie.

– Tu jesteś. Już się martwiłem, dokąd mi uciekłaś. – Piotruś przytula się do moich pleców. Zupełnie nie usłyszałam, jak podchodzi, śnieg tłumiał kroki, a ja myślami byłam daleko.

– Nie mogłam spać. Nie chciałam was budzić, wierząc się i chodząc po kuchni – mówię, opierając głowę o jego ramię. Mój mąż doskonale wie, kiedy potrzebuję jego bliskości.

– Denerwujesz się przed wyjazdem – bardziej stwierdza, niż pyta.

Wzruszam ramionami.

– Sama nie wiem. Przecież nie ma czym – odpowiadam, choć dobrze wiem, że Piotrek ma rację. Na co dzień nie budzę się o szóstej rano i nie snuję po mieszkaniu, nie potrafiąc znaleźć sobie miejsca. Na co dzień nie czuję w brzuchu i w sercu zdenerwowania mieszającego się z ekscytacją.

– Nie wiem, czy to dobrze, że jedziesz sama. Będę się martwić. Nie wiadomo, jaki to człowiek. Dlaczego to on nie mógł nas odwiedzić?

Nie znam odpowiedzi, która teraz uspokoiłaby Piotra. Prawda jest taka, że w którymś z naszych maili Przemysław poprosił o spotkanie w Warszawie. Zgodziłam się. Może za szybko. Nie zastanowiłam się nawet nad tym, dlaczego ja mam pojechać do niego, w końcu to on szuka kontaktu z rodziną, ja nigdy go nie straciłam.

Potem nie potrafiłam się już wycofać.

– Powinnaś mi chociaż pozwolić jechać z sobą.

– A kto zostanie z Zosią?

– Zabralibyśmy ją. Pojechalibyśmy samochodem.

– Daj spokój. – Macham ręką na znak, że to głupi pomysł. – Jest zima, po co mamy ją męczyć podróżą. Porozmawiam z nim i wrócę wieczorem. Wszystko będzie dobrze.

– I dlatego tak się denerwujesz?

– Piotrek. – Odwracam się i uderzam go lekko w pierś. – Jestem dorosła. Poradzę sobie.

Mój mąż przytula mnie do siebie. Ma na dłoniach grube rękawiczki, na szyi szal. Tak jakby wybierał się w długą podróż. Jest rozsądny i bardziej przezorny niż ja. Nie podejmuje niemądrych decyzji.

Droga do Warszawy wlecze się niemiłosiernie. Sosnowiec – Zawiercie, kilka dłuższych postojów gdzieś między stacjami. Współczuję ludziom, którzy muszą pokonywać tę trasę zbyt często. Przyglądam się ośnieżonym polom, wsiom i miasteczkom, które w to poświęteczne mroźne przedpołudnie wyglądają jak wymarłe, zupełnie wyludnione.

Im bliżej stolicy, tym moje zdenerwowanie przybiera na sile, już nie mogę się go wypierać. Ogarnia mnie cała, co najmniej jakbym jechała na spotkanie w sprawie pracy. Najgorsze jest to, że nie umiem odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego się denerwuję. Usiądziemy przy kawie, opowiem mu tyle, ile wiem o Józefie, a że wiem niewiele, nasza rozmowa będzie krótka.

Zastanawiam się teraz, dlaczego nie wystarczyła mu rozmowa z ciotką Helenką. Przykre, że stracił kontakt z ojcem, ale choć w wymianach mailowych zawsze był miły i wyważony, naprawdę nie wiem, po co to nasze spotkanie, co mogę powiedzieć nieznanemu.

Zgodnie z umową mamy spotkać się w jednej z dworcowych kawiarenek. Przed wejściem zrzucam z siebie niepewność i zdenerwowanie, nie chcę, aby je zobaczył. Wystarczy jedno spojrzenie na ludzi siedzących wewnątrz, abym wiedziała, że mój rozmówca już jest. Nie od razu zauważa moje wejście, ja natomiast widzę oczy dziadka i ten zupełnie niezwykły odcień siwizny, którą ma przyprószone skronie. Nigdy u nikogo nie widziałam takiego koloru włosów – jest ołowiany.

– Dzień dobry – mówię już zupełnie spokojnie, stając po drugiej stronie stolika, przy którym siedzi Przemysław.

Powoli podnosi wzrok znad kubka herbaty, którą pije. Uśmiech. Kolejny dowód, że oto ten obcy jeszcze przed chwilą człowiek jest niezaprzeczalnie członkiem naszej rodziny.

– Och, już pani jest... To znaczy: już jesteś. – Przemysław podrywa się z krzesła. – Przemysław Zaleski – przedstawia się oficjalnie, a mnie dreszcze przechodzą po plecach.

– Usiądź. Czego się napijesz? – pyta i ściska mnie tak, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Czekam tylko, aż usłyszę „kopę lat” albo coś w tym stylu. Jestem odrobinę zażenowana, ale mija to tak szybko, jak się pojawiło. Gdy siadam na wskazanym krześle, a mój towarzysz staje w kolejce do baru, aby kupić dla mnie gorącą czekoladę, i zerka co chwilę w moją stronę, uśmiechając się przy tym szeroko, uspokajam się zupełnie. Nie może być inaczej, gdy patrzę na człowieka tak bardzo przypominającego dziadka Władka, noszącego jego nazwisko.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że ten obcy mężczyzna może być ostatnim z rodu Zaleskich. Mój jedyny kuzyn – syn wujka Zbyszka po rozwodzie rodziców pozostał przy nazwisku matki – Azjatki. Pozornie – nic takiego, kto dziś przywiązuje wagę do nazwisk, a jednak żal. I teraz nagle okazuje się, że jest ktoś, kto być może wciąż podpisuje się Zaleski, jest ktoś, w czym dowodzie widnieje właśnie takie nazwisko. Uświadamiając to sobie, nabieram równocześnie pewności, że to będzie przyjemna i potrzebna rozmowa.

– Jak się ma twoja córeczka? – pyta Przemysław, stawiając przede mną kubek. Nawet nie pamiętam, czy w mailu wspomniałam, że mam dziecko. Może zrobiła to ciotka Hela.

– Dziękuję, dobrze. Rośnie i jest zdrowa. Została z Piotrkim. To znaczy z moim mężem.

Przemysław kiwa głową ze zrozumieniem.

– Ja też mam córkę. Już całkiem wyrosniętą – śmieje się, a ja zaczynam po raz kolejny liczyć, ile Przemysław ma lat. Z tego, co mówiła mama i ciocia, musi być przed pięćdziesiątką. Ile zatem może mieć jego córka? Dwadzieścia, nawet trzydzieści, choć równie dobrze może mieć zaledwie kilka. W końcu ja też nie jestem już najmłodszą mamą. Różnie się w życiu układa.

– Majka chodzi do liceum. Strasznie pyskata nastolatka. – Przemysław sam rozwiewa moje wątpliwości.

– Masz żonę? – wymyka mi się niedyskretne pytanie.

– Tak, jest wykładowcą na Uniwersytecie Warszawskim. Ale to moja druga żona. Pierwsze małżeństwo trwało zaledwie dwa lata. Kompletna klęska. – Przemysław mówi zupełnie swobodnie, a ja przestaję się martwić swoją niedyskrecją.

– A ty? Ty czym się zajmujesz? – zadaję kolejne pytanie.

Przez twarz Przemysława przesuwa się cień. Zauważam go, choć znika szybko.

– Jestem tłumaczem i trochę pisarzem – mówi.

Nie potrafię ukryć zaskoczenia. Nigdy przedtem nie rozmawiałam z pisarzem i teraz nie mam pojęcia, czy nie uraziłam go tym, że nie wiem nic o książkach, które wydał.

– Nie wiedziałam, ale ja ostatnio nie mam zbyt wiele czasu na książki – tłumaczę się głupio.

Przemysław marszczy czoło.

– Tak naprawdę to wydałem dopiero jedną książkę, to powieść historyczna, osadzona w czasach pierwszej wojny światowej, teraz przymierzam się do drugiej.

– I o czym ta będzie?

Na czole mojego rozmówcy znów pojawia się głęboka bruzda. Jest chyba oznaką zdenerwowania. Przemysław upija łyk herbaty.

– Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać.

Zosia

Styczeń 1966

– Nie chcę go znać! – krzyczy Gosia i rzuca na kuchenną podłogę naręczce kwiatów, a potem wybiega, zanosząc się płaczem.

Przez chwilę oboje z Władkiem siedzimy jak zamurowani. Takie zachowanie nie pasuje do naszej córki.

– Co to ma być? – odzywa się w końcu Władek, trochę zdenerwowany, trochę zaniepokojony. – Co to za histeria?

– To chyba chodzi o Karola – mówię cicho i wstaję z krzesła. – Powinnam do niej pójść.

– Zosiu, a kto to Karol?

Wzdycham ciężko. Władek w dalszym ciągu pracuje na dwa etaty i czasem zupełnie nie wie, co się dzieje w domu. Nie mam mu tego za złe, ale jest trochę obok dorastania naszych dzieci.

– Od kilku tygodni się spotykają. Całkiem miły. Studiuje. Chyba będzie mosty projektował.

Władek wzrusza ramionami. Wiem, że choć ceni sobie w ludziach pracowitość i chęć zdobywania wiedzy, bardziej liczy się u niego praca rąk niż głowy. Solidny fach, a nie wykształcenie, zapewnia dostatnie życie. Nie mówię mu tego, ale tym stwierdzeniem świetnie współgra z linią partii. Oni też nie cenią inteligentów.

Wiele było kłótni i długich rozmów, gdy Gosia zamiast do technikum gastronomicznego, które wybrał dla niej Władek, zdecydowała się pójść do liceum pedagogicznego. Władek nie mógł tego zaakceptować. Chyba dopiero po wspaniale zdanej maturze i prawie natychmiastowej ofercie pracy w szkole na naszym osiedlu stwierdził, że najważniejsze jest, aby w życiu robić to, co się kocha, tak jak on. O tym, że Gosia planuje pójść na studia, na razie wiem tylko ja.

– Ja tam nie rozumiem tej dziewczyny. – Władek nadal jest zapatrzony w drzwi, za którymi zniknęła zdenerwowana Małgosia. – Ignas to taki miły chłopak i widać, że zainteresowany Gosią. A ona zupełnie go nie zauważa.

Rozbawia mnie to Władkowe poszukiwanie męża dla córki.

– Och, ja też chciałabym mieć Ignacego za zięcia, a Annę za swatkową – mówię, przytulając się do Władka. – Ale to będzie tylko jej wybór.

– Powinna choć posłuchać mądrych rad.

– Gdybyś ty posłuchał matki, nie byłabym twoją żoną – przypominam.

– To były inne czasy.

– Miłość jest zawsze taka sama. Młodzi decydują, a starym nic do tego.

– I jak długo mamy znosić takie zachowanie?

Przytulam się jeszcze mocniej i całuję Władka w szyję.

– Jak długo będzie trzeba – szepczę. – A teraz pójde otworzyć, bo chyba ktoś puka do drzwi. Dzieci się nie ruszą przecież.

Powinnam była wiedzieć, powinnam była to przeczuć. Przecież takie wiadomości

zawsze przychodzą zupełnie nieproszone, nieoczekiwane. Zjawiają się w chwilach, w których właśnie pozwalamy się uwieść zupełnie złudnemu poczuciu spokoju. Ileż nauczek trzeba przeżyć, aby raz na zawsze zapamiętać, że nie ma czegoś podobnego? Człowiek nigdy nie wie, co czai się za rogiem.

Za drzwiami, które otwieram, stoi Antoś. Nic nie musi mówić. Rozpoznaję tę twarz, zbyt szeroko otwarte oczy, spłoszone jak u zwierzęcia, za którym ktoś ruszył w pościg, spierzchnięte biegiem usta, zbyt szybko wciągające powietrze.

– Co z matką? – pytam i nie czekając na odpowiedź, odwracam się i schylam do szafki, aby założyć buty. Pewnie jest już w szpitalu, a może w domu i trzeba będzie ją tam szybko zawieźć. Myślę o taksówce, powinny stać na postoju. Zaraz tam pobiegniemy. A może szybciej będzie wysłać po nią Zbyszka? Myśl goni myśl. Wszystkie nerwowe, poszarpane.

– Zosiu, mama umarła.

Słowa docierają do mnie nadzwyczaj szybko, trafiają niczym strzała, niczym rzucony kamień. Prosto w głowę. Podłoga zaczyna wirować. Chwytam się garderoby i wciąż trzymając w ręce jeden brązowy kozak, odwracam się do brata.

– Jak to? Co się stało? – zadaję podstawowe pytanie. Choć tak naprawdę zupełnie nie interesuje mnie to, jak zmarła mama. Chciałabym zapytać, dlaczego, dlaczego tak wcześnie, ale przecież dorosła kobieta nie może tak pytać.

Obok mnie pojawia się Władek, z pokoju wychyla się Zbyszek, po chwili Gosia. Ma czerwone od płaczu oczy.

– Poszła na mszę do kościoła. Tę popołudniową, na którą chodzi od lat. Usiadła w pierwszej ławce. Kobiety myślały, że zasnęła, ponoć tak właśnie wyglądała, jakby spała. Zosiu, przecież tylu ludzi śpi w kościołach. Wezwali pogotowie, ale to nic nie dało. Nikt nie mógł jej już pomóc. Nikt nie mógł dobudzić. Lekarz powiedział, że to była cukrzyca. Tyle lat z nią mieszkałem i nawet nie wiedziałem, że na to choruje. – Oczy Antka napełniają się łzami. Patrzę, jak gromadzą się w kąciku, tuż przy nosie, a potem spływają, jakby po z góry wyznaczonym szlaku, jedna za drugą, aż do czerwonych i zapuchniętych ust.

Podchodzę do Antka. Obejmuję go. Ściskam bez słowa.

– To chyba dobrze, że zmarła w kościele, prawda?

Przytakuję, choć tak naprawdę nie czuję, aby mogło to matce w czymkolwiek pomóc. Zamiast słów jeszcze mocniej tulę brata w ramionach.

– Teraz jesteśmy już sami, Zosiu. – Łka jak mały chłopczyk, któremu niedawno wyskrobywałam skwarki z dna słoika ze smalcem, któremu opatrywałam palce pocięte dyscyplinką. – Całkiem sami, Zosiu.

Nawet w oplakiwaniu najbliższych można nabrać wprawy. Nawet to po pewnym czasie staje się czymś rutynowym i przewidywalnym. Załatwiając z Antosiem formalności pogrzebowe, dotykając po raz ostatni chłodnej i zeszywniałej dłoni matki, a potem krocząc za trumną w kondukcje pogrzebowym, wiedziałam, że najgorsze jest jeszcze przede mną. Ze spokojem przyjmowałam kondolencje, stojąc obok zapłakanego Antosia i zaciskającej blade wargi Helenki. Dziękowałam za słowa otuchy bliskich i tych, którzy na pogrzeb przyszli jedynie, aby zebrać porcję plotek do opowiadania przez wiele

dni. A teraz, stawiając na stole wazę z rosołem podczas niedużej stypy, która odbywa się w naszym mieszkaniu, wiem, że ból dopiero nadejdzie, bo choć przez cały czas błąka się gdzieś po sercu i żołądku, koniecznymi obowiązkami potrafiłam go skutecznie zagłuszać. Nie uda mi się to za kilka godzin, gdy goście wyjdą, a dzieci i Władek usną. Wtedy przyjdzie z całą siłą, uderzy i nie pozwoli się bronić.

I choć za dnia będę sobie świetnie radziła z byciem sierotą – tak dobrze, że pewnie niejedna sąsiadka obgada mnie za brak łez – noce będą długie. Nocami będę pozwalala, aby łzy, których nie zobaczy nawet Władek, wsiąkały w poduszkę.

– Może jednak to przesadzone obawy. Może bez problemu pozwolono by jej wyjechać z powrotem – Antoś po raz kolejny przywołuje temat naszej nieobecnej siostry.
– Jak ona musi się tam teraz czuć, sama, bez nas.

– Ma Leszka. – Staram się, aby mój głos zabrzmiał jak najdelikatniej. – Dobrze wiesz, Antoś, że jej przyjazd byłby bardzo ryzykowny. Niepotrzebna nam jest druga tragedia.

Wiem, że wszyscy zgromadzeni uznali moją wypowiedź za chłodną i zbyt rzeczową. Ale muszę jakoś wygaszać obraz siostry siedzącej w ciemnym kącie swojego niemieckiego mieszkania, ściskającej telegram, w którym informowałam ją o śmierci matki. Muszę wymazać z głowy jej samotność, stokroć większą od naszej. I to poczucie winy, że nie ma jej tutaj z nami, nie ma jej tam, gdzie być nakazuje nie tylko serce, ale i wszelkie przykazania boskie i ludzkie.

– Ostatni Trauterowie zniknęli z domu ojca – wzdycha niespodziewanie Helenka.
– Tato myślał, że to będzie prawdziwy rodzinny dom. Pamiętasz, jak mówił, że jego prawnuki i praprawnuki będą jeszcze się bawiły w ciaplycie[34] na placu? Szybko poszło.

– Kto mógł wiedzieć, że przyjdzie wojna? Że wszystko zabiorą? – Władek próbuje pocieszyć zmartwioną Helenkę. – Nikt nie mógł przecież tego przewidzieć. Ale może jeszcze uda się odzyskać domy. Cały czas próbuję coś załatwić.

– Jedzmy. Wszystko stygnie – ucinam przykrą rozmowę i aby dać przykład innym, zaczynam jeść zupę. Przez chwilę słychać tylko odgłosy uderzania łyżki o talerz.

– Ja już bym nie chciał tam wracać – mówi nagle Antoś. – Dobrze mi u teściów. Może w końcu tę część życia musimy zamknąć.

Jeszcze niedawno sama tak myślałam, jeszcze niedawno przyznałabym mu rację. Ale od kilku dni, od chwili, w której uświadomiłam sobie, że mogę już nigdy nie pójść na naszą ulicę, mogę nie zobaczyć okien, za którymi spędziliśmy z Władkiem tych kilka szczęśliwych chwil młodości i nie wejść do mieszkania, w którym dorastaliśmy, nie mogę się z tym pogodzić. Przecież nie można ot tak, wraz z odejściem rodziców, pogrzebać również wielu lat własnego życia. Nie chcę, nie chcę tego!

– Nie było nam tam źle – mówię krótko zamiast tego wszystkiego, co skłębiło się w mojej głowie.

I jak to bywa na każdej stypie, gdzieś między roladą z kluskami i modrą kapustą a kołoczem z makiem i serem, rozwiązuje się nam tobolek ze wspomnieniami.

– Pamiętasz, jak dostałaś od Władka kotka, a on pierwsze, co zrobił, to nasikał na samym środku maminej kuchni? Kazała ci się go natychmiast pozbyć. Goniła was ze szmatą aż na korytarz – Helenka śmieje się głośno. – Ukryłaś go u ojca w kuźni. Dobrze

się tam miał.

– Z Zosią to matka miała zawsze najwięcej problemów. – Do opowieści włącza się Antoś, próbuje się uśmiechnąć, choć wciąż ma bardzo smutne oczy. – Ile mogłem mieć lat, gdy omal nie podpałałaś całego domu? Mały jeszcze byłem.

– Naprawdę? – Zbyszek i Gosia odzywają się chyba po raz pierwszy, odkąd wróciliśmy z pogrzebu. Nie mają już ani jednej babci i ani jednego dziadka. Nie powinno tak być.

– Wasza mama lunatykowała w nocy i kiedyś przez sen rzuciła kołdrę na karbidkę, która paliła się na stole. Matka w ostatniej chwili ją ściągnęła. Gdyby się to pierze zapaliło, pożar murowany.

– A pamiętacie, jak Agnes przyszła do domu z pomalowanymi lakierem paznokciami? Albo jak sobie zrobiła maseczkę z mydlin w dzień przed naszym weselem? Matka z nią też miała wieczne utrapienie – mówię i nagle zdaję sobie sprawę, że już nikt nawet nie próbuje się uśmiechnąć. Niepotrzebnie wspomniałam Agnes, niepotrzebnie o niej pomyślałam. Znow widzę ją tam, hen, hen, daleko. Znow wypełnia mnie to palące uczucie, że jej też już nigdy więcej nie zobaczę.

Oliwia
Styczeń 2007

– Ale jak to: napisać książkę? – tato, spacerując po kuchni, po raz kolejny zadaje to samo pytanie. – O czym? Nie rozumiem.

– Och, Karol, czego ty nie rozumiesz? – mama się denerwuje. – Jest pisarzem, a to temat, który na pewno świetnie się sprzeda.

Ten nadmierny entuzjazm mamy jest irytujący. Nie wiem, czy wyobraziła sobie, że będzie bohaterką książki. A może drażni mnie właśnie to, że naprawdę ma szansę nią być.

– To nie do końca tak. – Staram się nie ulegać emocjom, nie chcę, aby miały wpływ na ich decyzję. – Przemysław faktycznie jest pisarzem. Wracając z Warszawy, kupiłam nawet jego powieść. Nie bardzo lubię taką tematykę, ale książkę dostałam bez problemu nawet w dworcowej księgarni, więc możliwe, że jest całkiem dobra.

– I chce napisać książkę o nas? – pyta znów ojciec.

Mama cmoka.

– Nie o nas – zaczynam tłumaczyć po raz kolejny. – To znaczy nie do końca o nas. Przemysław przez wiele lat nie miał pojęcia, kim jest jego ojciec. Wychowywany był wyłącznie przez mamę. Ze „sławnym” dziadkiem również nie miał kontaktu. O tym, kim był jego tata i w jaki sposób rozstał się z mamą, dowiedział się dopiero z notatek odnalezionych po jej śmierci, a potem z rozmowy z ciotką Heleną.

– I o tym chce pisać?

– Tak, bo to naprawdę niezwykła historia. Z tego, co opowiadał, jego matka opisała Józefa jako wspaniałego człowieka. Chciał się z nią ożenić. Chciał wychowywać dziecko. Bardzo się kochali, choć Józef był sporo starszy. Ale zięć, który chciał wystąpić z partii, nie spodobał się przyszłemu teściowi. Młodzi nie otrzymali zgody na ślub, a Józef, zamiast odejść, wciąż się buntował. Ponoć oboje próbowali zdobyć nielegalne dokumenty, aby razem uciec.

– I co? Nie udało się?

– Nie. I właśnie wtedy Józef zniknął.

– Wyjechał?

– Dokładnie nie wiadomo, co się stało. W pamiątkach po matce Przemysław nie znalazł rozwiązania zagadki. Jedyne ślady po Józefie to kilka niepodpisanych pocztówek z Kanady.

– I ani razu nie zadzwonił? Z Władkiem przynajmniej się skontaktował pod koniec życia.

– Najprawdopodobniej nie. Choć Przemysław podejrzewa, że po prostu ten kontakt był im uniemożliwiany. Zresztą on też przez te wszystkie lata był pewien, że jego ojciec zmarł. Tak mu wmawiano.

– To bardzo zagmatwana historia – stwierdza tata.

– Ale jaka romantyczna – dodaje mama. – Aż trudno uwierzyć, że bohaterem opowieści jest wuj Józef. Sama bym przeczytała taką książkę.

– I jeszcze rola ciotki Heleny i sekret, jaki nosiła – przypomina ojciec. – Doprawdy,

gdyby ktoś mi o tym opowiedział, nie uwierzyłbym.

– Przemysław nie chce, aby to był romans. To ma być książka o losach rodziny, o komunizmie i władzy, która sięgała wszędzie.

– O losach naszej rodziny również?

– Trochę o naszej również. Ale w luźny sposób, bez nazwisk i miejsc. Chyba nawet nie musiałby pytać o zgodę, to nie biografia. Chce tylko pozbierać informacje.

– Trudno tak się wychowywać bez korzeni – wzdycha mama. Wstaje i podchodzi do taty, który trzyma na rękach śpiącą Zosię. – Z tego, co mówisz, ten chłopak był od nich zupełnie odcięty.

Przyglądam się rodzicom. Kim bym była, gdybym nie znała któregoś z nich? Gdybym nie poznała wszystkich historii opowiadanych przez dziadka na dobranoc?

Miał talent. W jego opowieściach wojna jawiła mi się jako przygoda, może ciut niebezpieczna, ale na pewno warta przeżycia. Te historie dorastały wraz ze mną, poważniały i uczyły. Nie stworzyłabym siebie bez nich.

– Może zaproszę tu Przemysława? Opowiesz mu o Józefie; takim, jakiego ty znałaś?

Mama zerka na ojca, tak jakby to on miał za nią się zgodzić bądź nie, ale ojciec milczy. W końcu ta sprawa niewiele go dotyczy. Widzę jednak, że nie ma nic przeciwko powstaniu książki.

– Dobrze – mama odzywa się w końcu. – Niewiele dowie się ode mnie o swoim ojcu, Józef jest dla mnie zaledwie kilkoma migawkami, ale zawsze myślałam o nim dobrze. Niech jego syn to wie.

– Opowiesz mu o Władysławie. Byli braćmi. – Tata podaje mi Zosię, a potem obejmuje mamę. Wie, jak bardzo brakuje jej rodziców, jak trudno jest zawsze silnej i dyrygującej nami kobiecie pogodzić się z faktem, że została sierotą. Szczególnie teraz, gdy rana po śmierci babci Zosi jest jeszcze świeża.

Przyglądam się im. I w głowie kołacze mi się tylko jedna myśl – jak dobrze, że są.

Gdy mama i tata wychodzą, piszę mail do Przemysława, bawię się z Zosią, a potem, gdy zasypia, siadam przy ciepłym piecu ze szklanką kakao i czekając na Piotrusia, jeszcze raz myślę o rozmowie, którą przeprowadziliśmy dziś z rodzicami. Czy historia Józefa i jego niedoszłej żony jest naprawdę romantyczna? Nie mogę się zgodzić z mamą. Nigdy nie lubiłam książek, które źle się kończą, nigdy nie oglądałam filmów, w których wielka miłość tragicznie umiera. Tym bardziej nie podoba mi się takie zakończenie czegoś, co jest na wskroś prawdziwe, czego doświadczyli moi bliscy. Historia dziadków była romantyczna. Bo choć przeżyli wiele tragedii, mieli też swoje piękne dni. Mieli siebie podczas wszystkich życiowych zawieruch i podczas lat spokoju, które na szczęście w końcu nastąpiły.

Józef i kobieta, z którą miał syna, z różnych przyczyn nie doczekali się siebie, ta miłość się nie spełniła.

Robi mi się smutno. Żal mi rodziny Józefa, żal mi kobiety, która być może do końca życia czekała, i żal Przemysława, który nie poznał ojca. Podchodzę do okna. Czekam na Piotrka. Wiem, że przyjdzie, wiem, że mnie obejmie i odgoni wszystkie złe myśli.

Zosia
Czerwiec 1967

Stoję pośrodku niczego. W którąkolwiek stronę bym spojrzała, otacza mnie ciemność. Przedostaje się przez nią jedynie złowrogi szum drzew. Gdyby nie licha wiata przystanku i latarnia obok, mogłabym pomyśleć, że jestem w środku lasu. Jest inaczej, czekam na autobus, choć tak naprawdę nie potrafię przypomnieć sobie, dokąd mam pojechać. Chyba jest zimno, bo choć zupełnie tego nie czuję, przy każdym oddechu pojawia się obłoczek z ust. Musi też mocno wiać, bo latarnia zaczęła skrzypieć, a jej blade światło przygasa i drży.

Boję się. Ciemności, braku innych ludzi wokół, ale chyba najbardziej tego, że zupełnie nie wiem, co robię na tym pustkowiu. Przecież tak rzadko wychodzę z domu po zmroku, to niebezpieczne.

– Mamo, mamo, nie wiesz, kiedy wróci Gosia?

Wzdrygam się. Znika wiata przystanku, uliczna latarnia i ciemność. Otwieram oczy i oddycham z ulgą. Jestem w swojej kuchni. W bezpiecznym i ciepłym miejscu. Musiałam przysnąć, uciąć sobie drzemkę.

Patrzę nieprzytomnie na Zbyszka. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że śpię.

– A jej jeszcze nie ma? Która godzina? – pytam.

– Po dwudziestej pierwszej – odpowiada syn. – Chciałem pożyczyć od niej *Ojca chrzestnego*, bo kupiła ostatnio a jeszcze nie czyta, nie wiem, gdzie go położyła.

Szczerze mówiąc, niewiele mnie teraz obchodzi powód, dla którego Zbyszek pyta o Gosię. O wiele bardziej chciałabym się dowiedzieć, dlaczego córki nie ma jeszcze w domu. Staram się sobie przypomnieć, czy mówiła mi, że dziś wróci późno. Wiem, że po pracy miała się udać do jakiejś dziewczynki, która z powodu operacji kręgosłupa nie może chodzić do szkoły. Nauczyciele jeżdżą do niej do domu. Ile godzin mogły trwać lekcje? Dwie? Trzy? Obojętnie jak liczyć, najdalej koło dziewiętnastej powinna być w domu.

– Może umówiła się z Karolem? – podpytuję Zbyszka.

Wzrusza ramionami. Nie wie.

– Zawsze mówi, o której przyjdzie.

Zaczynam się niepokoić coraz bardziej. Może coś się stało?

– Mamo. – Zbyszek macha ręką. – Nie martw się, pewnie jest u Karola albo z koleżankami się umówiła i zapomniała powiedzieć. W końcu jest dorosła. Ciągle o tym zapominasz.

Zbyszek odwraca się i wychodzi z kuchni. Pewnie zupełnie spokojnie zacznie przekopywać teraz szafki Gosi w poszukiwaniu książki.

Chłopak ma rację, nie mogę się martwić, że dorosłej kobiety nie ma w domu o dwudziestej pierwszej. Nie jest już dzieckiem, nie jest dzieckiem, nie jest. Obojętnie jak długo bym to powtarzała, i tak sobie nie uwierzę.

Robię herbatę i zaczynam krążyć od okna w kuchni do okna w pokoju. Minuty mijają. Zegar tyka coraz głośniejsze. Może to przez ten sen czuję taki niepokój. Nie, przecież

ja nie wierzę w sny. On nie miał znaczenia.

Gdyby choć Władek już przyszedł.

Wchodzę do pokoju Zbyszka.

– Na pewno nic ci nie mówiła?

– Maaammmo!!! – Syn podnosi na mnie wzrok. Czyta, więc chyba znalazł książkę.

– Tylko pytam. Może poszedłbyś do budki i zadzwonił do Karola?

– Przecież poczta jest już zamknięta.

– Wiem, ale obok kościoła postawili nowy telefon. Mam drobne, dam ci.

– Ale to daleko – Zbyszek wykręca się, jak może. – A jak poszli gdzieś na miasto, to i tak się nie dowiesz, czy są razem.

Racja. Telefon niewiele mi da. Tylko jeszcze bardziej się zdenerwuję, jeśli ich nie będzie.

Swoją drogą, ciekawe, kiedy nam założą telefon w domu, tak jak u Karola. W Gliwicach ponoć coraz więcej mieszkań podłączają do centrali. U nas na razie nikt o tym nawet nie wspomina.

Kolejna herbata. Coraz częściej zerkam w okna.

Dochodzi dwudziesta druga, gdy decyduję się pójść do budki telefonicznej. Przecież nawet jeśli młodych nie będzie, rodzice Karola powinni coś wiedzieć. Znowu wyjdę pewnie na rozhisteryzowaną matkę, ale niepokój jest już zbyt silny, abym miała się tym przejmować.

Zakładam buty i płaszcz. Krzyczę przez drzwi, że zaraz wracam, i wychodzę do sieni. Zbiegam ze schodów i wyciągam rękę, aby chwycić za klamkę wejściowych drzwi, ale one same otwierają się przede mną.

– A ty dokąd idziesz? – pyta zaskoczony Władek. – Nie chodź teraz nigdzie po zmierzchu. Znów znaleziono zwłoki kobiety – szepcze.

Nogi uginają się pode mną. Czuję, jak zimny pot spływa mi stróżką po plecach.

– Gosia...

– Tak, spotkaliśmy się w autobusie. Już jej nagadałem, że tak sama wraca.

Władek omija mnie i zaczyna wchodzić po schodach. W sieni jest ciemno, nie dostrzegł mojego przerażenia. Dopiero teraz widzę, że Gosia stoi za nim. Cała i zdrowa.

– Boże jedyny, dziecko – mówię cicho i chwytam Gosię za płaszcz. Tulę ją do siebie i całuję, a potem odpycham gwałtownie.

– Gdzieś ty była! – prawie krzyczę.

Gosia jest wyraźnie zaskoczona moim zachowaniem.

– Przecież sama mnie prosiłaś, abym po zajęciach pojechała jeszcze do Anny po soki z lipy.

Dźwiga do góry siatkę, w której pobrzękują butelki.

– Trochę się zasiedziałyśmy, ale nie jest przecież jeszcze aż tak późno. Słyszałaś o tym wampirze? Dlatego się bałaś?

– Hej, a wy tam chcecie zostać? – Władek krzyczy do nas, przechylając się przez barierkę schodów.

– Cicho! – strofuję go. – Sąsiadów pobudzisz.

Postanawiam nie przyznawać się Goście ani Władkowi do tego, że zapomniałam

o tym, o co sama prosiłam. O zdenerwowaniu, które czułam, też nie powiem. Mam nadzieję, że Zbyszek mnie nie zdradzi.

Przy późnej kolacji Władek opowiada nam o zabójstwie. Tym razem ciało kobiety odnaleziono w Będzinie. Choć żadna gazeta nie ujawniała szczegółów, plotka rozniosła się szybko, ponoć to kolejna ofiara wampira z Zagłębia, już osiemnasta, wliczając te, które przeżyły atak.

A wszystkim wydawało się, że tych zbrodni już nie będzie. Morderca z jakiegoś powodu dał sobie spokój. Po kilku miesiącach przerwy ludzie zaczęli o wszystkim zapominać. Kobiety znów chodziły same po parkach i ciemnych zakamarkach. Nie bały się.

– Ciekawe, czy kiedyś go złapią – zastanawia się Zbyszek.

– Złapią – Władek mówi bez cienia wątpliwości. – Nie wiadomo tylko, czy właściwego.

– Jak to? – pytam, bo odpowiedź Władka jest dziwna. – Po co mieliby łapać niewłaściwego? Muszą znaleźć mordercę.

Władek wzdycha.

– Zośka, jak nie znajdą mordercy, to znajdą byle kogo, aby tylko w gazetach to odtrąbić, aby naiwny lud uspokoić.

– Na pewno nie! – mówię stanowczo.

Władza jest, jaka jest, ale czegoś podobnego na pewno by się nie dopuściła. W końcu chodzi o bezpieczeństwo kobiet.

W milczeniu kończymy kolację.

Tej nocy długo nie potrafię zasnąć. Zastanawiam się, co pcha ludzi do takich zbrodni. Co musi się dziać w głowie mężczyzny, który robi takie rzeczy.

Kiedyś tego nie było. Nikt nie bał się chodzić po ulicach nawet późną nocą. Ludzie czuli się bezpiecznie.

Co za czasy nastały.

Oliwia
Luty 2007

– Często tutaj przyjeżdżał? – pyta Przemysław, patrząc w okna naszego mieszkania.

Stoimy na placu odzyskanych domów. Sypie śnieg. Jest przenikliwie zimno. Godzinę temu odebrałam Przemysława z pociągu. Wiem, że w domu czeka na nas mama, tata, no i Piotruś z Zosią. Miała być też ciocia Helenka, ale jest poważnie przeziębiona i zakonna lekarka zabroniła jej się ruszać z łóżka. Może i dobrze, ciocia bardzo przeżyła pojawienie się Przemysława, w jej wieku kolejne silne emocje wcale nie są wskazane.

Chciałabym już wejść na górę, ściągnąć zasypaną śniegiem czapkę, rozgrzać ręce, ale Przemysław stoi jak zamurowany i nie zważając na to, że śnieg zasypuje mu oczy, patrzy w nasze okna. Ciekawa jestem, co myślą sobie rodzice, którzy pewnie doskonale nas widzą.

– Nie jestem pewna. Wiem, że bywał tu dosyć często po tym, jak Zaleska straciła nogi. Choć to babcia Zosia głównie się nią wtedy opiekowała. I chyba właśnie tutaj, na tym placu, twój ojciec pogodził się z dziadkiem Władkiem. Ale moja mama na pewno opowie ci o tym więcej niż ja. Chodźmy.

Delikatnie pociągam Przemysława za łokieć, a on wzdryga się, jakby został wyrwany z głębokiego snu.

– Tak, tak, chodźmy – mówi nieprzytomnie, ale rusza w ślad za mną. Na szczęście.

Powitanie jest dosyć sztywne. Oficjalne uściski rąk, trochę wymuszone uśmiechy. Tylko gościnność, ta nasza legendarna śląska gościnność, jest jak najbardziej prawdziwa. Niewielki stół zdobią najładniejsze talerze i filiżanki. Na środku stoi ogromny półmisek z kołaczem, którym mogliby się najeść goście małego wesela. W dzbankach soki. W kuchni pachnie świeżą kawą, którą mama dopiero co musiała zmielić.

A przecież to jeszcze nie wszystko. Rodzice przyjechali dziś do nas obładowani co najmniej kilkunastoma słoikami i garnuszkami. Na parapecie w sypialni stoi szalot. W lodówce jajka w majonezie, pokrojone w plasterki wędliny i sery. Znając mamę, są też grzybki w occie i pewnie oliwki, aby było bardziej nowocześnie.

Co prawda, jestem przekonana, że nasz gość po męczącej podróży wolałby już zasiąść do tych bardziej konkretnych przysmaków, a kawą z ciastem dopiero zakończyć ucztę. Ale jeśli, szukając materiałów do książki, chce odwiedzać śląskie domy, będzie musiał przywyknąć, że tu, u nas, odwrotnie niż wszędzie, najpierw gości częstuje się słodkim, a dopiero potem można pomyśleć o kolacji.

Albo nie miałam racji, albo Przemysław świetnie udaje. Zachwała mamine wypieki, a nikt z nas nie wygada się przecież, że to nie mama przygotowała ciasto, a maleńka piekarnia z tradycjami, która od ponad trzydziestu lat zajmuje parter bloku zamieszkiwanego przez rodziców. Z minuty na minutę robi się coraz bardziej gwarnie. Jakbyśmy pomału wszyscy tajali. Oczywiście tematy przy słodkim cieście nie mogą być poważne, dlatego rozmawiamy głównie o zimie, która jak co roku wszystkich zaskoczyła, o różnicy między Warszawą a naszym miastem, o pociągu z oblodzonymi przedziałami,

którym podróżował Przemysław. Dopiero między talerzami z szalotem i frankfurterkami robi się jakoś poważniej. Chyba wszyscy czujemy, że nadszedł ten czas.

– Jest pan podobny do Józefa i do mojego ojca – mówi nagle mama. Słyszę, jak bardzo te słowa ściskają jej gardło.

– Wiem, już Oliwia mi to mówiła, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz. Ile Józef, znaczy mój ojciec, miał lat, gdy widziała go pani po raz ostatni?

– Nie możesz mówić do mnie „pani” – mama obrusza się nagle. – Jesteśmy w końcu bardzo bliską rodziną.

Przemysław potakuje.

– Ile miał lat? – pyta ponownie.

Mama wzdycha i zamyka oczy. Zastanawia się. Liczy.

– To było w pięćdziesiątym dziewiątym. Pamiętam, była wtedy u nas impreza z okazji rocznicy ślubu rodziców, a więc to był maj. Ile mógł mieć wtedy Józef?

– Przygląda się Przemysławowi. – Był naprawdę do ciebie podobny. Właśnie takim go zapamiętałam. Ile masz lat?

– Czterdzieści osiem.

– Józef nie mógł być wtedy sporo starszy.

– A co potem? – pyta Przemysław, choć przecież dobrze wie, że potem nie było już nic.

Mama wzrusza ramionami.

– Ojciec bardzo przeżył tę kolejną rozłąkę z bratem. Nawet rozmowy telefoniczne pod koniec życia Józefa nie zmieniły żalu, który czuł. Śmierć brata była dla niego kolejnym ogromnym ciosem. Razem z Józefem umarły przecież wszystkie nadzieje na spotkanie, na ponowne nawiązanie bliskich relacji, których tak naprawdę nie mieli nigdy. Szkoda, że nie wiedział, że Józef miał syna. Ciebie. Ogromna szkoda.

– Myślisz, że Józef nigdy o tym dziadkowi nie wspominał? – pytam. – Przecież czasem ich rozmowy były bardzo długie i... ciche. Pamiętam, gdy wujek Józef dzwonił z Kanady, dziadek zawsze zamykał drzwi.

– Jestem pewna. Gdyby ojciec wiedział, zaczęłby cię szukać. – Mówiąc to, mama patrzy na Przemysława. Usprawiedliwia się przed nim.

– Józef mógł wymóc na dziadku obietnicę, tak jak na cioci Helence – przypominam. – Czego on się aż tak bał, że nigdy nie odważył się na powrót, na odnalezienie rodziny? – zastanawiam się, czując gęsią skórę na plecach. – Po co aż takie tajemnice?

– Takie były czasy – wzdycha ojciec.

– Albo charakter ojca – puentuje Przemysław.

Wyczuwam na sobie spojrzenie Piotrka. Wiem, co myśli. Odpowiedź Przemysława, jego zdaniem, jest bardziej prawdopodobna. Moim też. Choć z drugiej strony wolałabym wierzyć, że wujek został zmuszony do podjęcia takich decyzji. Wolałabym, aby to komunistyczne państwo było tą bestią, która rozdzieliła kochających się ludzi.

– Jesteś pewny, że chcesz w tym grzebać? – pytam Przemysława po dłuższej chwili milczenia. – A jeśli odkryjesz coś, o czym nie chciałbyś wiedzieć?

– Nie ma rzeczy, o której nie chciałbym wiedzieć. Oliwko, ja nie jestem emocjonalnie z tym związany. Chcę opisać historię, chcę, aby powstała powieść o życiu w tamtych latach.

– Jest już ich trochę.

– Ta będzie inna. – Przemysław się uśmiecha. Ja jednak wciąż mam wątpliwości, czy takie poszukiwania nie mogą zbyt mocno zranić. Choć może bardziej rani niewiedza. Ja znam swoją historię, co bym zrobiła, gdyby było inaczej?

Zosia zaczyna być niespokojna. Do tej pory, zadowolona, wędrowała z rąk do rąk. Teraz zaczyna wykrzywiać usteczka, bliska rozplakania się. Widocznie już jej się znudziło to gadanie dorosłych.

– Pójdę ją uspić – mówię, wstając od stołu. – Wy sobie nie przeszkadzajcie. Jak zaśnie, żaden hałas nie jest w stanie jej obudzić.

Wchodzimy do naszej sypialni. To tu w dalszym ciągu stoi łóżeczko Zosi. Jej pokoił nadal czeka na księżniczkę.

Zapalam nocną lampkę i zaczynam spacerować po sypialni, aby mała usnęła. Gdy podchodzę do okna, widzę, że mój telefon, który leży na parapecie, podłączony do ładowarki, mruga zielonym światełkiem – nieodebrane połączenie. Ze względu na Zosię bardzo często wyciszam telefon, a potem zapominam go ponownie ustawić. Choć ciekawa jestem, kto dzwonił, wolę na razie nie brać komórki do ręki. Niech najpierw Zosia zaśnie.

Rytuał usypiania nie trwa długo. Delikatnie odkładam córkę do łóżeczka, przykrywam kocykiem i czekam jeszcze przez chwilę, czy aby na pewno zaśnęła. Gdy jestem pewna, że nic nie jest jej już w stanie obudzić, podchodzę do okna, mogę w końcu sprawdzić, kto dzwonił.

Trzy nieodebrane połączenia. Ignacy. Już chcę oddzwaniać, ale zauważam kopertę na górze ekranu. A więc jest również SMS.

Czytam i aż przysiadam na skraju łóżka. Policzki mi płoną z emocji i podekscytowania, choć treść jest krótka i dla niewtajemniczonego nic nieznająca.

Mamy to. Wiosną zaczynacie remont.

Ignacy, który od samego początku pomagał we wszystkich formalnych sprawach związanych ze złożeniem wniosku o dotację unijną na remont domu i odrestaurowanie, a właściwie odbudowę starej kuźni, szybko został naszym pełnomocnikiem. Mamy do niego pełne zaufanie, a on wiedzę o tym, jak się poruszać po urzędowych zaułkach i odczytywać to, co dla nas stanowiło jedynie ciąg niezrozumiałych sformułowań. I teraz właśnie on pierwszy przysłał informację, że zostały nam przyznane pieniądze na wszystko, o co wnioskowaliśmy. Być może list bądź świstek od listonosza leży również w naszej skrzynce. Nie przypominam sobie, aby w ostatnich dniach któreś z nas tam zaglądało.

Serce przyspiesza. A więc stało się. Teraz nie mamy już wyjścia. Wielki remont przed nami. Odbudowa.

– To też dla was. Aby pamięć nie umarła – szepczę, podchodząc do zdjęcia dziadków, stojącego na półce obok łóżka. Fotografia została zrobiona na wczesnych, na które pojechali, gdy mama była jeszcze całkiem mała. Babcia opowiadała mi o tym wielokrotnie. I choć czasem te powtarzające się historie nużyły i męczyły, nigdy nie

przestałam jej słuchać.

Podchodzę do drzwi. W końcu mamy gościa i jest też okazja, aby wypić lampkę wina. Muszę powiedzieć Przemysławowi, że już wiem, dlaczego chce szukać swoich korzeni. Już to wiem.

Zosia
Marzec 1968

Cała młodzież zabrzańska domaga się oczyszczenia bez reszty szeregów partyjnych z mętów syjonistycznych, zastosowania najostrzejszych sankcji wobec wichrzycieli ładu społecznego, warcholów i bankrutów politycznych. Zabrzańska organizacja apeluje do wszystkich studentów wyższych uczelni w kraju, aby dobrymi wynikami w nauce i pracy dali wyraz swojemu przywiązaniu do socjalistycznej ojczyzny, do PZPR i jej kierownictwa z towarzyszem Wiesławem na czele.[35]

– I ty tak spokojnie sobie tam stałeś, i może jeszcze klaskałeś, kiedy to odczytywali? – Gosia jest wściekła, mnie w rękach gazetę, którą Władek przyniósł z pracy. Był w niej spory artykuł o tym, jak pracownicy jednej z kopalń, w towarzystwie młodzieży i górników, wystąpili przeciw studenckim zamieszkom.

– A co miał zrobić? – wtrącam się i zastawiam sobą Zbyszka. – Gośka, przecież on tam ma praktyki, wszystkim kazano pójść. Jakbyś nie wiedziała, jak to się naprawdę odbywa.

Gosia wzrusza ramionami.

– Mógł uciec albo coś. – Córka wciąż mówi gniewnym głosem, ale na twarzy nie widać już zaciętości.

Kiwam z politowaniem głową. Drugi ojciec.

Gosia jest taka zła, bo kilka dni temu Karol uczestniczył w protestach studenckich w Gliwicach. ORMO go pobiło i został wyrzucony z uczelni. Koniec marzeń o projektowaniu mostów. Choć z drugiej strony w końcu zyskał w oczach Władka.

A myślałam, że uda mi się ochronić moje dzieci od zewnętrznych klótni i potyczek, od polityki, która prowadzi albo do biedy, albo do wojny. Myślałam, że uda mi się wpoić im spokój, którego ja przez te wszystkie lata próbowałam w sobie nie zatracać. Bo na cóż nam, małym prostaczkom, brać udział w tym, co na górze? To tam toczy się partia szachów. Władek przez wiele lat uczył mnie grać w tę grę. Z zasad wpoić sobie tylko jedną – obojętnie, jakiego koloru jest król, pionki i tak upadają pierwsze.

Zbyszek zawsze wiele razy się zastanowi, zanim coś zrobi, i raczej woli pochylać się nad modelami okrętów, które skleja w sekcji modelarskiej w domu kultury, niż wychodzić na ulicę. Gosia poszła w ślady Władka. Gdy tylko szykuje się jakaś awantura, jest pierwsza, żeby wziąć w niej udział. Na nic wszelkie nauki. Przecież omal nie została zwolniona ze szkoły, gdy podczas wizyty de Gaulle'a nie chciała pójść ze swoimi uczniami witać prezydenta Francji na trasie jego przejazdu. Stwierdziła, że dzieci przecież nawet nie wiedzą, kim ten człowiek jest, i zdecydowanie więcej korzyści przyniesie im dodatkowa lekcja historii niż bezsensowne machanie chorągiewkami. Co racja, to racja, bo z całej tej wizyty dzieci bardziej zapamiętają naprędce malowane domy, które spłynęły kolorową farbą podczas pierwszego deszczu, niż tajemniczą postać, która przemknęła ulicami w opancerzonym pojeździe.

Pracy byłoby jednak żal.

Myślałam, że może Karol wybije jej z głowy to wieczne wtykanie nosa tam, gdzie

nie potrzeba. Myliłam się. Ale prawdę mówiąc, może jego udział w zamieszkach był jedynie przypadkowy. Ten chłopak nie wygląda mi na buntownika.

Tutaj, w województwie katowickim, przodującym w realizacji idei socjalizmu, żadnych ekscesów i tym podobnych rzeczy nie będzie! – bije mi po oczach tekst ze zmiętej przez Gosię gazety.

Może to akurat przez te słowa Władek jest taki zły. Przyszedł z pracy, rzucił prasę na stół i wyszedł. Zapewne poszli na piwo z Paulkiem. Może i dobrze, że nie uczestniczył w kłótni dzieci.

Mnie również ich spory się nie podobają. Mają być dla siebie wsparciem i zawsze wyciągać do siebie pomocną dłoń. Gdyby nie moje rodzeństwo, gdyby nie Agnes, Helenka i Antoś, może nie dożyłabym tych lat. Gdyby nie oni, byłabym teraz na świecie sama jak palec.

Przed oczami staje mi jeszcze jedno rodzeństwo. Władek i Józef. Wiem, jak bolały ich rozdarte serca, i wiem, że mimo tylu prób nie udało się naprawić tego, co dawno temu zostało zniszczone. Józef zniknął, a Władek... Władek cierpi, choć nigdy nikomu się do tego nie przyzna.

Wiedziona nagłym impulsem wychodzę do przedpokoju.

– Idziecie ze mną do Madziara? – mówię na tyle głośno, aby mój głos przeniknął przez zamknięte drzwi, za którymi siedzą. Każde w innym pokoju.

Czekam.

– We wtorki bogracz jest najsmaczniejszy – dodaję jeszcze głośniej. Musi poskutkować.

Nie mija chwila, a rozczochrana czupryna Zbyszka pojawia się w uchylonych drzwiach. – A kupimy oranżadę do picia?

Kiwam głową. Jednego już mam. Na Gosię przyjdzie mi czekać dłużej.

– A potem może na lody pójdziemy! – Już prawie krzyczę. Jeśli to nie zadziała, to już nic innego.

Z ulgą widzę, jak klamka w drzwiach powoli opada.

– I na kawę do Delty? – mówi moja dorosła już córka, z zaczerwienionymi od płaczu oczami. Emocji w niej więcej niż u małego dziecka. Martwię się, czy kiedyś z nich wyrośnie.

Aby zjeść bogracz, musimy przejechać kilka przystanków autobusem i wysiąść w samym centrum miasta. Wchodzimy na ulicę, przy której niegdyś pracowałam. Mimo upływu lat wspomnienia nie blakną. Smutno jedynie, że nie ma już jadłodajni, rankiem obsługującej idących do huty mężczyzn, a wieczorem pary wracające ze spaceru. Gorące kiełbaski smakowały wszystkim. Lata temu wystawał przed jej witryną Antoś, czekając, aż wyniosę mu skrawki kiełbas. Kilka lat później czekał tam Władek, aby móc odprowadzić mnie do domu. Nie ma też starego kina. Byliśmy tam na moim pierwszym w życiu seansie, jeszcze przed wojną. Nawet kawiarnia, do której Władek zabierał mnie na galaretkę z bitą śmietaną, została zamknięta. Zmieniono też nazwę ulicy. Zresztą, nie pierwszy raz. Mimo tych wszystkich niebytów wciąż każda kamienica, każdy ajnfart[36] przywołują jakąś historię, jest ich coraz więcej. Czy to możliwe, że tyle już przeżyłam, czy to możliwe, że te dorosłe osoby idące obok to moje dzieci?

– Tam w głębi jest miejsce. – Zbyszek wskazuje palcem, gdy wchodzimy do baru serwującego węgierskie potrawy.

Jest jak zwykle tłoczno. Czasem wydaje się, że kobiety już w ogóle przestały gotować – tylu ludzi siedzi w barach i restauracjach, ale w końcu i ja tu czasem zaglądam, i ja przyzwyczaiałam się do tego, że nie trzeba być bogaczem, aby od czasu do czasu pozwolić sobie na zjedzenie na mieście. Dla matki do końca życia było to nie do pomyślenia.

– Jeśli mężczyzna je w barze, pokazuje wszystkim, że jego żona nie potrafi gotować, jeśli kobieta żywi się w lokalach, widać, że zaniedbuje dom. I jedno, i drugie jest wstydem – mówiła.

Władek i Anna, a potem również dzieci, długo nade mną pracowali, abym wyzbyła się jej myślenia.

Bogracz, który zamawiamy, jest pyszny. Wiele razy próbowałam zrobić podobny w domu, ale zawsze czegoś w nim brakowało. Kucharz musi dodawać przyprawę, której nie znam. Może i dobrze, wszyscy mamy powód, aby czasem tu zaglądać.

– Mamo, zobacz, kto tam siedzi – szepcze Gosia, nachylając się przez stół. – To pani Siwczyk.

Łyżka zastyga mi w pół drogi do ust. Zerkam w kierunku, w którym patrzy Gosia. Faktycznie kilka stolików dalej, bokiem do nas, siedzi Mirosława Siwczyk. Odkąd widziałam ją ostatnio, bardzo posunęła się w latach. Wymizerniała, pomarszczyła jak stare jabłko, ale to na pewno ona. Siedzi z młodym człowiekiem, pewnie wnukiem. Tak jak my, oni również jedzą bogracz.

– Powinnam podejść i się przywitać? – pyta Gosia.

Wie, co myślę o jej byłej wychowawczyni. Gdy skończyła szkołę, opowiedziałam jej o tym, jakie metody nauczania niegdyś stosowała. Zbyszek na szczęście nie miał z nią kontaktu. Przeszła na emeryturę, zanim zaczął pierwszą klasę.

– Grzecznie będzie, jeśli się przywitasz.

– Pewnie i tak mnie nie pozna.

– Pozna, nauczycielki mają z reguły dobrą pamięć. Powinnaś to sama wiedzieć.

– Uśmiecham się do córki, dodając jej otuchy.

Gosia wstaje z krzesła, a ja przestaję oddychać, patrząc, jak podchodzi do stołu, przy którym siedzi Siwczyk.

Ciche „dzień dobry” odczytuję z ruchu jej ust. Kobieta podnosi głowę. Odpowiada. Gosia znów coś mówi i wskazuje na mnie. Tego się nie spodziewałam. Mirosława Siwczyk spogląda w moim kierunku. W pierwszym odruchu chciałam się zapaść pod ziemię, włożyć twarz do talerza z zupą, aby mnie nie zobaczyła. Nie mogę. Już nie chcę.

Patrzymy sobie w oczy. Po raz pierwszy nie uciekam. Widzę, jak twarz tej starej kobiety zmienia się, jak jej policzki bledną, a szyja czerwienieje. Rozpoznała mnie. Nie jako matkę Gosi, ale jako młodą dziewczynę, która przychodziła do szkoły po brata, chowającego za siebie opuchnięte od uderzeń dyscypliną palce. Teraz jestem pewna, że wie, kim jestem. Czy wiedziała to przez wszystkie te lata, czy dopiero teraz dostrzegła, odkryła naszą wspólną tajemnicę?

Już się nie boję. Nie odwracam głowy. Nie wstydzę się mojego pochodzenia. Ta

nieoczekiwana przemiana spływa na mnie przyjemnym ciepłem. Czuję ulgę. Znikają żal, złość i nienawiść.

Obie równocześnie odwracamy głowy. Już nie obchodzi mnie, co teraz sobie myśli, czy ma wyrzuty sumienia, czy nie. Wiem, że już nigdy mi się nie przyśni.

– Wszystko w porządku? – pyta Gosia, gdy wraca do nas.

– W najlepszym – odpowiadam, uśmiechając się do córki. – A teraz kończ jeść, bo już mam ochotę na kawę.

Oliwia
Marzec 2007

– Co za czasy! – wzdycham i odkładam telefon. Na szczęście oprócz Zosi nikt nie widzi łez, które napływają mi do oczu. Nie wiem, czy chce mi się płakać ze złości, czy ze smutku.

– Moja najlepsza przyjaciółka wyjeżdża – mówię, biorąc Zosię na rękę. – Tyle lat spędziłyśmy razem, a teraz ja tu, ona w Norwegii. Zupełnie bez sensu.

Choć podczas rozmowy z Domi starałam się zachować optymizm, aby i jej nie zdołować, wiem doskonale, że wszystkie moje zapewnienia o częstych odwiedzinach i wspólnych wyjazdach na wakacje są raczej nie do zrealizowania. Czasem trudno jest znaleźć czas, aby się spotkać z kimś, kto mieszka kilka ulic dalej, a co dopiero z kimś, kto już za chwilę będzie mieszkał w innym kraju.

Tulę do siebie Zosię, a ona jakby wyczuwała mój nastrój, głaszcze mnie rączką po policzku. Pociesza, pewnie zupełnie tego nieświadoma.

– Chodź, zrobimy kolację. Tata zaraz wróci.

Ocieram łzy i razem z Zosią przechodzimy z sypialni do kuchni. Ale zamiast postawić na piecu wodę na gotowanie kielbasek i wyciągnąć z lodówki masło, aby nie było za twarde, podchodzę do byfyju i sięgam po jeden z albumów, które leżą w dolnej szafce. Tym razem nie chcę oglądać zdjęć babci. Nie chcę przypominać sobie o losach mojej rodziny. Album, który dziś otwieram, jest nowy. Zdjęcia wewnątrz mają nasycone kolory, choć jest też kilka czarno-białych. To, co kiedyś było jedyną możliwością, dziś stało się modą.

Z Zosią na kolanach zaczynam przeglądać zdjęcia, na których jestem razem z Domi. Z liceum, gdy jeszcze stałyśmy od siebie daleko, a potem te ze wspólnych studenckich imprez, rajdów po Beskidach i wakacji nad morzem.

– Jak ona wytrzyma tamtejsze mrozy – komentuję cygańskie spódnice Dominiki, które nosi nawet podczas tęgich zim. – Tam trzeba zakładać buty z futra i ocieplane majtki, aby nie zamarznąć.

Zosia próbuje wziąć w rączki jedno ze zdjęć. Chwila nieuwagi i już róg zgięty.

– I co narobiłaś – mówię głośniej. Mała zaczyna protestować. Płacze. A ja dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, jaka jestem zdenerwowana.

Całuję Zosię w uszko. Lubi to i zaraz się rozpogadza.

– Kto to? – pytam, pokazując ręką na Domi, która uśmiecha się z fotografii. – Ciocia Dominika – odpowiadam za Zosię. – Ciekawe, jak często będziemy się teraz z nią spotykać.

Jeszcze kilka zdjęć, kilka wspomnień, a potem trzeba faktycznie się zająć kolacją. Podchodzę do pieca i stawiam na nim garnek z kielbaskami.

Jedno spojrzenie na Piotrka, który staje w drzwiach akurat w chwili, kiedy wsadzam Zosię do wysokiego krzeselka do karmienia, i widzę, że jego dzień również nie był udany.

– Niby takie bezrobocie, a firmy remontowej nie ma. Nie wiem, czy już wszyscy

do Irlandii wyjechali?

– Niektórzy do Norwegii – mówię ponuro. – Co z tymi, z którymi wczoraj rozmawiałeś? Myślałam, że są zdecydowani.

– Wczoraj byli. – Piotr wiesza kurtkę i zaczyna ściągać buty. – Ale dziś już im się odwidziało. Facet do mnie zadzwonił i tłumaczył, że to za duża robota, że oni jednak się nie podejmą, że nie mają dostatecznej ilości sprzętu. Eh, takie tam. Naprawdę nie wiem, co się dzieje. Myślałem, że znalezienie ludzi będzie najłatwiejsze.

– A w tym dużym sklepie budowlanym? – Wpadam na pewien pomysł. – Tam wisi tablica ogłoszeń, firmy przypinają wizytówki.

Piotrek podchodzi do stołu i całuje na przywitanie mnie i Zosię.

– To fachowcy od kafelków i paneli. My potrzebujemy firmy do dużo większej roboty. W dodatku, muszą przestrzegać wszelkich przepisów i mieć potrzebne pozwolenia. W końcu ten remont jest za unijną kasę, mogą być kontrole.

– I w tym problem?

– Myślę, że głównie w tym.

– To co zrobimy? – pytam, siadając obok Piotrka.

– Może najpierw zjemy kolację? – Piotr zerka na piec, a potem uśmiecha się do mnie. – Chyba coś się mocno gotuje.

– Kielbasa. – Przypominam sobie, że wciąż nie ściągnęłam jej z pieca. Na szczęście nalałam dużo wody, nie zdążyła się wygotować.

– Może Ignacy pomoże – sugeruję, gdy już jemy.

– O wszystko musimy go prosić, chciałbym choć raz sam coś załatwić.

Wzruszam ramionami.

– Przecież zapewniał, że pomoże. On siedzi w tej branży, na pewno ma kontakty.

– A my porwaliśmy się z motyką na słońce i teraz błądzimy jak dzieci we mgle.

Kolację kończymy w milczeniu. Co mogę powiedzieć, przecież wiem, że Piotrek ma rację. Wiedzieliśmy, że będą problemy, ale chyba nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że zaczną się już na samym początku.

– A ty? Co dziś robiłaś? – Piotrek chce zmienić temat. Nie wie, że tym pytaniem wcale nie poprawia mi nastroju.

– Dominika i Maciek wyjeżdżają.

– No coś ty? – Mój mąż jest zaskoczony. – Jednak się zdecydowali?

Kiwam głową.

– Ponoć Maciek od ręki dostał tam pracę, właśnie w jakiejś polskiej firmie budowlanej.

– Ale przecież on jest po psychologii.

– Tu też pracował byle gdzie. Zna język, może za jakiś czas dostanie lepsze zajęcie.

– Powinniśmy pojechać do Norwegii i tam poszukać ludzi do naszej roboty – mówi Piotrek, próbując mnie nieco rozchmurzyć.

– Będę za nią tęsknić. – Kładę głowę na ramieniu męża. – Co to za kraj, z którego wszyscy uciekają.

– My nie. Twoi rodzice i dziadkowe też zostali, moi również.

Nie powiem teraz Piotrkowi, że choć ma rację, bilans i tak jest niekorzystny. Ciocia

Agnes, wuj Antoś, Józef, potem wujek Zbyszek, teraz Domi, w rodzinie Piotrka też wielu emigrantów. Są w każdym pokoleniu.

– Maaama, ma ma.

Zerkam na uśmiechniętą od ucha do ucha Zosię, ubrudzoną zupką, którą ją karmiłam. Patrzy na mnie.

– Słyszaleś? – podekscytowana pytam Piotrka. – Słyszaleś? Powiedziała: mama.

Piotruś kiwa głową.

Wiem, że to za wcześnie, wiem, że to „mama” po prostu jej się udało, to nadal tylko gaworzenie, a jednak nie potrafię powstrzymać wzruszenia.

I znów znika całe zmartwienie. Remont, a nawet wyjazd przyjaciółki, odchodzą na dalszy plan. Tak szybko zapominamy, co jest najważniejsze. O co należy się przede wszystkim troszczyć. Przecież w końcu znajdziemy ludzi do pracy, a to, jak często będziemy się widywały z Dominiką, zależy tylko od nas.

Jakoś sobie przecież poradzimy. Jak zawsze.

Zosia
Kwiecień 1972

– Ale po co się tak spieszyć? Chyba nie musicie?

– Spieszyć? – Gosia robi zaskoczoną minę. – Mamo, chodzimy ze sobą od paru lat.

Wcale się nie spieszymy, wręcz odwrotnie.

– Młodzi jesteście jeszcze.

– Mam dwadzieścia sześć lat. Ty już dawno byłaś po ślubie.

– To były inne czasy.

– Zawsze są inne. – Gosia macha ręką, jest wzburzona. – A ty powinnaś się cieszyć, a nie mi odradzać. Myślałam, że lubisz Karola.

Dopiero teraz reflektuję się, jaki błąd popełniłam.

– To nie tak, córeczko. Lubię Karola – zapewniam. Choć w głębi duszy nie wiem, czy to do końca prawda. Nie potrafię znaleźć w nim niczego, za co mogłabym go nie lubić. Dobrze traktuje Gosię, jest miły, pracowity i rodzinny, nawet Władek się do niego przekonał, a jednak wołałabym, aby Gosia jeszcze poczekała z ostatecznymi decyzjami.

– To dlaczego mi odradzasz?

Żałuję, że Gosia nie poczekała z nowiną o ślubie, aż Władek wróci z pracy. Pewnie chciała przygotować grunt, choć to raczej radość, którą w niej widzę, i rosnące z każdą chwilą emocje nie pozwoliły jej czekać na powrót ojca.

Władek na pewno pomógłby mi znaleźć odpowiednie słowa. Nie ma go, więc stoję, patrzę na córkę wyczekującą odpowiedzi i pewnie aż głowa mi paruje, tak intensywnie szukam w niej właściwych słów. Dlaczego odradzam mojemu dziecku ślub z kimś, kogo kocha?

Nie! Nie odradzam. Ja po prostu się boję.

– Czego, mamo, czego się znów boisz? – Gosia czyta w moich myślach. – Przecież teraz jest dobrze.

Moja córka, moje dziecko, zna mnie lepiej niż ja samą siebie. Ma rację, boję się. Wojny, samotności, czekania. Boję się, że tak jak mnie i Władkowi, im też los porozdziera serca. Boję się, bo to nieprawda, że z kimś przy boku łatwiej znieść trudne chwile. Ktoś przy boku sprawia, że boisz się podwójnie. O siebie i jeszcze bardziej o niego. Małżeństwo, a potem rodzicielstwo, to ciągły lęk. Radość, miłość, szczęście, ale też lęk, który w naszym pokoleniu odczuliśmy szczególnie boleśnie. Obrósł nas wszystkich, wniknął w każdą komórkę.

Nie chcę, aby moja córka poznała, co to znaczy umierać ze strachu o kogoś, kogo się kocha. Nie chcę tego.

– Mamusiu... – Gosia wkłada do kosza poskładane w kostkę prześcieradła; zaniemiemy je później do magła. Podchodzi do mnie i mocno przytula. – Mamusiu, to już inne czasy. Nie stanie się nic złego. Dostaniemy bony dla młodych małżeństw, kupimy nową lodówkę i pralkę, a może wkrótce doczekamy się własnego mieszkania. Nie będziemy wam siedzieć na głowie. Teraz jest dobry czas. Zobaczysz, jeszcze uda nam się pojechać w podróż poślubną na Węgry.

Uśmiecham się i głaszczę córeczkę po głowie. Ona ma rację, nie można wciąż patrzeć w przyszłość z obawą i niepewnością. Jeśli Gosia twierdzi, że wszystko będzie dobrze, to tak właśnie będzie.

Nim nastaje wieczór, informuje o nowinie również Władka i Zbyszka. Oficjalne zaręczyny mają się odbyć za tydzień w sobotę. Tradycyjnie. Rodzice Karola, my. Uroczysty obiad. Natychmiast zaczynam obmyślać, co przygotuję, a co ważniejsze, gdzie mam to kupić. Co prawda zaopatrzenie sklepów ostatnio bardzo się poprawiło, ale to nie znaczy, że nie ma już żadnych braków i że mogę być pewna, że będę miała z czego uklepać rolady. O ciasto się nie martwię, Antoś zrobi. Mam tylko nadzieję, że zrobi też weselny tort.

Ostatnio coraz częściej wspomina o możliwościach, jakie może im dać wyjazd za granicę. O szkołach cukierników, o kursach. Poza tym, może tam za granicą łatwiej będzie znaleźć dobrego lekarza dla Werki. Rok temu okazało się, że ma poważną wadę serca. Dlatego wciąż zwlekają z powiększeniem rodziny. Antoś coraz częściej rozmawia o tym z Agnes. Wiem, że jeśli zechce, siostra pomoże mu zrobić to, czego ja z Władkiem nigdy nie chcieliśmy. Pomoże mu wyemigrować.

Teraz, gdy matka zmarła, nie mam już żadnych argumentów, aby go tutaj zatrzymać. Jakie mogłabym mieć? Rozjeżdża się nasza rodzina po świecie. Rozsypuje jak paciorki naszyjnika. Widać tak jej było pisane. Ważne, że mimo odległości wciąż możemy na siebie liczyć. Wciąż mamy jedną duszę.

Planowanie skutecznie zaprzęta mi głowę. Uspokajam się. Nagły strach o przyszłość Gosi minął, choć chyba już zawsze będzie się pojawiał. W najmniej oczekiwanych momentach.

Cicho przemyskam się przez przedpokój. Jest jeszcze wcześniej, wszyscy odsypiają wczorajsze przyjęcie. Rodzice Karola okazali się bardzo mili i towarzyscy. Bałam się, że będzie sztywno i oficjalnie, a czas między obiadem a tortem okaże się niemiłosiernie długi. Miałam nadzieję, że Gosia i Karol przygotowali sobie wiele tematów do rozmowy, aby nie zapanowała cisza, której w podobnych sytuacjach ludzie boją się najbardziej. Okazało się, że wszelkie moje obawy były bezpodstawne. Karol zachował się tak, jak na kawalera proszącego o rękę panny przystało. Garnitur, kwiaty, pierścionek.

Wszystko było, jak należy, nawet Gośka, zamiast wytartych džinsów, na które wydała pół wypłaty i które stały się teraz stałym elementem jej ubioru, założyła zieloną sukienkę do połowy łydki, co to kiedyś jej uszyłam, i jakimś cudem upięła potargane włosy w koronę. Tak bardzo przypominała mnie sprzed lat, że musiałam zagryzać wargi, aby się nie rozplakać ze wzruszenia. Rodzice Karola wyszli od nas późnym wieczorem. Dobrze, że coś mnie tknęło, aby kupić również produkty na kolację. Władek przyniósł nowości – piwo, coca-colę w puszcze i jakieś zachodnie papierosy, które pomimo swojej ceny śmierdzą tak samo paskudnie jak nasze popularne. Dobrze jednak zrobił, bo oprócz mnie i Zbyszka wszyscy palili.

Teraz, oparta o chłodny piec, patrzę na piętrzące się sterty umytych garnków i talerzy, które pozostawiłam na noc na piecu do wyschnięcia. A więc jesienią moja córeczka weźmie ślub. Na samą myśl o tym mięknie mi serce i drżą nogi. Siadam na krześle i wpatruję się w rozkwitającą za oknem wiosną. Udaje jej się wślizgnąć nawet tu,

między beton i cegłę naszego osiedla.

– I nad czym tak rozmyślasz? – Głos Władka rozsypuje przeszłość i przyszłość układaną właśnie w głowie. – Nadal się martwisz o Gosię?

– Nie – odpowiadam, choć nie jestem pewna, czy jest to zgodne z prawdą. Zresztą, to przecież niemądre pytanie, mama zawsze martwi się o swoje dzieci. – Wiesz, coraz częściej myślę o domu, w którym mieszkaliśmy.

– O tej suterynie? Za czym tęsknisz? – Władek się śmieje. – Za nocnym bieganiem do haźla na placu? Czy za ciepłą przed oknami, w której można było buty stracić? Zosiu, tego ci brakuje?

Potrząsam głową. Władek wie, jak sprawić, żebym się uśmiechnęła. Obraz wiecznie ochlapanych szyb w oknach, a nawet smród buchający z wnętrza ubikacji, jednej na kilkunastu lokatorów, teraz już nie wywołuje odrazy. To wspomnienia, do których potrafię się uśmiechnąć.

– Nie, myślę o naszych utraconych domach. Chciałabym tam wrócić.

Władek poważnieje.

– Zosiu, niedawno mówiłaś, że celowo omijasz tamtą ulicę, że nie chcesz już myśleć o domach. Zmieniasz zdanie co chwilę.

– Bo straciłam nadzieję.

– A teraz?

– A teraz jest jakoś inaczej, chyba coś się zmienia. Może teraz byłoby łatwiej.

– Mam znów próbować?

– Chciałabym – mówię szybko, trochę bez zastanowienia. Być może za kilka chwil myślałabym inaczej. – To jedyna rzecz, która należała do nas. Do mojego ojca. Przecież włożył w te cegły całe serce.

Władek kładzie mi ręce na ramionach.

– W takim razie spróbujemy raz jeszcze. Może masz rację. Może teraz się uda. Ale to zostawimy na jutro. Dziś mam inne plany.

– Jakie? – pytam zaskoczona. – Myślałam, że odpoczniemy po wczorajszym przyjęciu.

– Wybierz się ze mną na piknik.

– Co? Na jaki piknik? – Nie jestem pewna, czy mój mąż mówi poważnie.

– Mnóstwo jedzenia z wczoraj zostało – ciągnie Władek. – Nakupowałaś jak dla armii, szkoda zmarnować. Spakuj w koszyk i pojedziemy do lasu.

– Teraz?

– Teraz. A masz coś lepszego do roboty?

– Nie, ale jest chyba za zimno... I za wcześnie – dodaję po chwili.

Władek wzrusza ramionami.

– Ubierz się ciepłej i weź ten gruby koc, który leży na dole w szafie w antryju[37]. A zanim będziesz gotowa, już wcale aż tak wcześnie nie będzie.

Wiem, że cokolwiek bym powiedziała, Władek będzie upierał się przy swoim pomysle. Właściwie nie mam szans, aby z nim wygrać i chyba w ogóle tego nie chcę. Po wczorajszym zamieszaniu przyda nam się taki odpoczynek.

– To obudzę dzieci – mówię i chcę wyjść z kuchni, ale Władek mnie powstrzymuje.

– Dzieci? Zosiu, ja chcę pójść tylko z tobą.

– Ale jak to tak?

– Po prostu. – Władek się śmieje. – Pamiętasz, kiedyś chodziliśmy czasem gdzieś bez dzieci. Zapominasz, że one są już dorosłe.

– Za niedługo już w ogóle zostaniemy sami. – Smutnieję.

Mąż podchodzi do mnie.

– Nie zamierzam się tym martwić. To dobrze, że wychowaliśmy ich na samodzielnych ludzi, prawda?

Wzdycham, ale przyznaję Władcowi rację. Przecież wiem, że taka jest kolej rzeczy. Wiem, że nie po to rodziłam dzieci, aby mieć je wyłącznie dla siebie. Musiał nadejść moment, w którym pójdą w świat.

– To obudzę ich chociaż i powiem, że wychodzimy.

Władek kręci głową.

– Wystarczy, że napiszemy im wiadomość na kartce. Wyciągnę kosz, a ty spakuj jedzenie i ruszamy.

– Gdzie ty mnie prowadzisz? – pytam, gdy po przejechaniu kilku przystanków i krótkim spacerze poboczem drogi zaczynamy wchodzić coraz głębiej w las. To pytanie jest bez sensu, przecież doskonale wiem, dokąd idziemy. Nigdy, przenigdy nie zapomniałabym tej drogi i miejsca, do którego się zbliżamy.

Z każdym krokiem serce trzepocze coraz bardziej. Ile to już lat? Kilka, kilkanaście. Z dziećmi byliśmy tu, gdy były całkiem małe, a potem? Nie było czasu, nie składało się? Zapomnieliśmy? A może nie chcieliśmy się nawet z nimi dzielić miejscem, które miało na zawsze zostać wyłącznie nasze.

A jeśli coś się zmieniło? Jeśli drzewo o konarach jak motyle skrzydła już nie istnieje? Jeśli ścięto je podczas rutynowego oczyszczania lasów? Albo zwiędło i teraz straszy jedynie martwym pniem i gałęziami bez liści?

Chwytam Władka za rękę i przysmykam oczy. Niech mnie prowadzi, niech pierwszy zobaczy. Władek idzie ostrożnie, nie muszę nic mówić, wie, że nie patrzę, wie, że całkowicie mu ufam.

Oddycham zapachem lasu. Jest słodki i świeży. Jak zapach noworodka. Przyroda też dopiero budzi się do życia. Zeszłoroczne liście, które wciąż jeszcze zalegają na ścieżce, sprawiają, że nasze kroki są miękkie i stłumione, jakbyśmy szli po dywanie.

– Zobacz – mówi po chwili Władek.

Choć jego głos jest spokojny, jeszcze odrobinę niepewnie otwieram oczy.

Jest.

Stoi.

Na skraju niewielkiej polanki, pośród innych drzew. Nasza olcha wciąż stoi. Piękna i wysmukła. Czas był dla niej łaskawy. Nie wyrył swego piętna. Nic, zupełnie nic się nie zmieniło.

Stoimy tak jeszcze przez chwilę. Obok siebie, pieszcząc kciukami swoje dłonie. Jest spokojnie.

I nagle impuls każe mi biec. Więc biegnę. Rozrzucam na bok ramiona i obejmuję nasze drzewo. Dokładnie tak, jak wtedy, gdy zimą czterdziestego piątego, w innym

świecie, ledwie żywa błądziłam po lesie, szukając drogi do domu. Wtedy to drzewo uratowało mi życie, teraz sprawia, że wciąż chcę się nim cieszyć.

Oliwia
Kwiecień 2007

– Zaraz po świętach mają zacząć stawiać rusztowania na przednim domu. Powiedziałem dziś lokatorom. Niektóre kobiety trochę marudziły, że dopiero co okna pomyły i całe im zachlapią.

– Byli źli? – Zaniepokojona odwracam się do Piotrka. Wciąż jeszcze niepewnie się czuję w roli właściciela domów. Chciałabym, aby wszyscy lokatorzy byli zadowoleni.

– No co ty. – Piotruś zamyka laptop, na którym do rana składał zamówienia w hurtowniach budowlanych, wstaje zza stołu i podchodzi do mnie. – Oliwko, wszyscy są podekscytowani remontem i kuźnią. Cieszą się, że domy wyładnieją.

– Ja jestem zdenerwowana – przyznaję. To tak dużo pracy. Tyle rzeczy może się nie udać. No i ten kredyt. Ogromny.

Wzdycham ciężko. Bo chyba teraz, gdy tak naprawdę wszystko rusza i się rozkręca, gdy już nie da się zatrzymać, mnie ogarnęły wątpliwości.

– Jesteś po prostu zmęczona. – Piotrek przytula się do mnie. – Zobaczysz, wszystko się uda. A teraz – łapie moje ręce – ubierzemy Zosię i pójdziemy na spacer. Wszyscy. We trójkę.

Zerkam za okno. Choć to dopiero początek kwietnia, od kilku dni panuje prawdziwie wiosenna pogoda. Powietrze, wpadające przez uchylone kuchenne okno, pachnie już zupełnie inaczej. Ziemią, słońcem, trawą. Aż chce się oddychać głębiej.

– Za godzinkę pójdziemy – mówię. – Chciałabym skończyć tutaj sprzątać. Jak teraz przerwę, potem nie będzie mi się chciało układać. Pobaw się z Zosią. Daj jej zupy, bo pewnie zaraz będzie głodna.

Piotrek marszczy brwi. Udaje niezadowolonego, ale prawie natychmiast uśmiecha się i siada na podłodze obok córki, która już od dobrych dziesięciu minut bawi się pokrywką garnka, robiąc przy tym okropny hałas.

Z niesmakiem patrzę na bałagan, który sama zrobiłam. Przed godziną zabrałam się za porządki w byfyju. Nie miałam pojęcia, ile rzeczy udało tam się zmieścić w ciągu tych kilku miesięcy. W szufladach pełno paragonów i rachunków, smoczki, których Zosia już nie używa, komplet śliniaczków, długopisy, gumki, złamany ołówek, kilka zakrętek od słoików. Krótko mówiąc, masa zupełnie nieprzydatnych szpargałów. Opróżniam więc po kolei każdą z szuflad. Przecieram je i sortuję, co włożyć z powrotem, a co wyrzucić do stojącego obok mnie kosza na śmieci. Cztery szuflady to przecież dopiero początek. Pozostały jeszcze szafki. Zaczynam od tych najniższych. Klękam i wyciągam plastikowe pudełka z makaronem, kaszą i ryżem. Gdy puste już wewnątrz przecieram szmatką, zahaczam ręką o coś, o czym prawie zapomniałam. Słyszę brzęk szkła i aż wstrzymuję oddech. Butelka przewraca się. I turla w kierunku otwartych drzwiczek. Łapię ją szybko i dokładnie oglądam z każdej strony. Płyn obija się o ścianki, jakby wewnątrz butelki trwał właśnie miniaturowy sztorm. Oddycham z ulgą, stwierdzając, że szkło nie zostało uszkodzone. Bieda nie ucieknie.

Dawno temu, nim moja mama przyszła na świat, dziadkowie zamknęli w butelce

wódki wszystkie troski i kłopoty. Nikt, pod żadnym pozorem, nie może tej butelki otworzyć, dopóki cały płyn nie wyparuje. Butelka stała w różnych kuchniach, w szafkach i kredensach. Była u babci, potem u mamy, a teraz trafiła do mnie. Pewnie kiedyś przekaze ją Zosi, a ona, jeśli wciąż ludzie będą wierzyć w magię, przekaze ją swojej córce. Pewnego dnia wnętrze butelki wyschnie. Pewnego dnia...

Sprzątanie zielonego byfyju zajmuje sporo czasu, ale w końcu poleruję szybki w drzwiczkach i piorę w zlewie brudną szmatkę. Skończyłam.

Piotruś i Zosia też już są gotowi. Wciągam dzinsy, na bluzę zarzucam cienką kurtkę.

– Podjedźmy do lasu – proponuje Piotrek. – Zobaczymy, jak się zmienia na wiosnę.

Wystarczy kilka minut podróży samochodem, aby zostawić za sobą miasto. Parkujemy na miejscu utworzonym dla spacerowiczów. Wcześniej ludzie wjeżdżali samochodami głęboko między drzewa. Teraz bramki tego zabraniają. To dobrze, choć z drugiej strony żal, że we wszystko człowiek musi ingerować. Trzeba stawiać bramki, wprowadzać zakazy i nakazy, aby powstrzymać ludzi przed niszczeniem ich własnego domu.

Ruszamy, pchając przed sobą wózek. Zosia wymachuje rączkami i piszczy z zadowolenia. Wszystko ją zajmuje. Suchy listek na ścieżce, kałuża, stukanie dzięcioła.

– Kupimy kota? – pytam Piotrka, bo nagle naszła mnie ochota, aby przenieść choć trochę przyrody do domu.

– Chcieliśmy przecież psa – przypomina mój mąż, bo faktycznie wiele razy rozmawialiśmy o powiększeniu naszej rodziny o czworonoga ze schroniska.

– Pies to duża odpowiedzialność. Jak wrócę do pracy, a Zosia będzie u babci, byłby ciągle sam.

– To może poczekajmy jeszcze. Jeśli uda ci się otworzyć przychodnię w domu, byłoby inaczej.

– To zbyt długo. – Nie podoba mi się pomysł Piotrka. – Poza tym weterynarz bez zwierzaka w domu wygląda nieprofesjonalnie.

Przez chwilę oboje idziemy w milczeniu. Wiem, że Piotruś analizuje teraz wszystkie plusy i minusy posiadania kota. Wiem, że tak samo jak ja chciałby mieć w domu zwierzaka.

– Kot pasuje do starych domów. Babcia Zosia miała kota – szepczę cichutko, tak na zachętę.

– Kot. Ale w prążki – mówi Piotruś z pełną powagą. – Innego nie chcę. Tylko w prążki.

Rzucam mu się na szyję.

– Na święta?

– Przecież to za kilka dni.

– Zdążymy! – prawie krzyczę, podekscytowana jak małe dziecko, i już w głowie układam sobie spis koniecznych zakupów i rzeczy, które muszę przygotować.

Tyle jeszcze przed nami, tyle planów, zadań i marzeń, które będziemy spełniać. Tyle dni, które przyniosą zaskakujące zmiany i nowe możliwości. Tyle życia.

Biorę Piotrka za rękę. Zosia bawi się swoimi paluszkami, walczy jeszcze ze snem,

ale wkrótce ukołysz je ją intensywny zapach lasu.

Idziemy przed siebie. Ścieżka biegnie teraz skrajem niewielkiej polany. Pewnie latem przychodzą tu sarny, aby jeść trawę i zioła. Może my również przyjedziemy tu, gdy będzie cieplej, i urządzimy sobie piknik, rozkładając koc pod jednym z drzew okalających polankę.

– Ładnie tu – mówię cicho.

Piotruś ściska moją dłoń, ale nie odpowiada.

– Co to za ptak? – pyta po chwili.

Dopiero teraz dobiega do mnie ptasi śpiew. Wsłuchuję się przez chwilę, ale nie potrafię rozpoznać gatunku. Ptak śpiewa coraz głośniej. Musi być blisko nas. Obracam się. Unoszę głowę. W gęstych konarach drzewa nie dostrzegam jednak niczego. Śpiew cichnie, a w końcu milknie zupełnie, widocznie ptasi artysta odfrunął. Piotrek rusza dalej, a ja stoję z zadartą wysoko głową i nie potrafię oderwać wzroku od drzewa. Jego konary układają się w przedziwny kształt. Tak wyraźny, że nawet ktoś pozbawiony wyobraźni musiałby zauważyć, że wyglądają jak skrzydła motyla.

– Oliwko, chodź, bo się nam tu zgubisz! – woła Piotrek.

Odrywam oczy od drzewa.

– Wam? Nigdy! – odkrzykuję i biegnę do mojej rodziny z mocnym postanowieniem, że niedługo tu wrócimy, rozłożymy koc i urządzimy sobie piknik pod tą niezwykłą olchą. To będzie nasze miejsce.

Epilog
Kwiecień 2010

– Przemek, chodźcie tutaj. Tu obok są wolne miejsca – wołam, unosząc rękę.

Powinnam zwracać się do Przemysława Zaleskiego „wujku”, jest przecież synem brata dziadka Władka. Moją kuzynką jest Majka, jego nastoletnia córka. Jednak od samego początku naszej znajomości, od pierwszego spotkania w Warszawie, zaczęliśmy mówić sobie po imieniu. Tak zostało.

– Nie myślałem, że będzie aż tak dużo ludzi – mówi Przemysław, gdy w końcu oboje z Mają siadają przy stole. – A tylu sióstr zakonnych to chyba przez całe życie nie widziałem – szepcze mi do ucha i zaczyna się śmiać.

– W końcu ciocia spędziła w zakonie kilkadziesiąt lat, a tu jest przecież zaledwie kilka zakonnic, głównie emerytowanych. Wiem, że trudno im uzyskać zgodę na uczestnictwo w takich imprezach. Ciocia często opuszczała ważne uroczystości rodzinne.

Przemysław kiwa głową ze zrozumieniem. – Oprócz was nikogo tu nie znam – mówi, obiegając wzrokiem Piotrka, który siedzi obok, trzymając Zosię na kolanach, i moich rodziców, zajmujących miejsca po drugiej stronie stołu.

– Ja też nie znam wielu. Wiem, że są byłe uczennice cioci, wiele lat temu pracowała w żeńskiej szkole katolickiej. Obok niej siedzi wuj Antoni. Najmłodszy brat – zaczynam tłumaczyć. – Nie poznałeś go jeszcze. Mieszka na stałe w Niemczech.

– Przyjechał z żoną? – dopytuje Przemysław, patrząc na starszą kobietę siedzącą obok wujka.

Uśmiecham się, rozumiejąc niewiedzę.

– To jest Anna. Można powiedzieć, przyjaciółka rodziny. Choć tak naprawdę głównie babci Zosi. Żona wuja Antoniego nazywała się Werka. Niestety zmarła wcześniej. Cierpiała na wadę serca. Nigdy nie mieli dzieci.

– Anna i jej mąż Paulek? – Przemysław przypatruje się siwiuteńkiej staruszce. – To z nimi mój ojciec kłócił się za każdym razem, gdy tu przyjeżdżał. – Przemysław przypomina sobie to, co opowiadałyśmy mu z mamą jakiś czas temu. Jedną z setek historii.

Przytakuję.

– Mąż Anny miał wylew, przez wiele lat był sparaliżowany. Opiekowała się nim bardzo troskliwie. Zmarł rok przed dziadkiem. Obok siedzi jej syn, Ignacy. – Macham do mężczyzny w błękitnej marynarce. – To on pomógł nam z domami i kuźnią. Dzięki niemu udało się to całe, prawie nierealne, przedsięwzięcie.

Przemysław rozgląda się po sali.

– A jest Zbyszek?

– Brat mamy? Nie. On rzadko przyjeżdża. W końcu Ameryka jest daleko. Był na pogrzebie babci Zosi i pewnie nie zobaczymy go teraz przez całe wieki.

– Rodzina się rozjeżdża albo wymiera – wzdycha Przemysław.

– Ale czasem pojawia się w niej ktoś nowy – mówię, kładąc mu rękę na ramieniu.

– No tak, choć nie wiem, czy wszyscy są równie wartościowi – stwierdza nazbyt

głośno i szturcha w bok córkę, która zajęta jest pisaniem SMS-ów.

– Już, już – Majka odpowiada nieprzytomnie. – Umawiamy się z dziewczynami na majówkę.

Po chwili chowa jednak telefon, patrzy na mnie, chyba przepraszająco, i wyciąga rękę do Zosi. Mała odwzajemnia gest i w następnej sekundzie stoi już obok krzesła nowej cioci, pokazując jej gumowego konika, postać z ulubionej kreskówki, z którym ostatnio się nie rozstaje.

Piotruś przyjmuje te przenosiny z ulgą, przeciąga się i prostuje nogi pod stołem.

– Mogliby już zacząć zupę roznosić. Podczas mszy zgłodniałem. Bardzo długa była – wzdycha.

– A jesteś pewien, że od zupy zaczną? Przecież tu u was przyjęcia zaczynają się od kawy i ciasta – śmieje się Przemysław. Najwyraźniej zadowolony ze swojej znajomości śląskich zwyczajów.

– To wszystko zależy od rodzaju przyjęcia – odpowiada Piotruś, próbując przybrać poważny ton znawcy. – Mówię ci, że teraz będzie rosół z nudlami, a potem rolada, kluski z zołą[38] i modro kapusta.

Mama, siedząca po drugiej stronie stołu, cmoka, udając zdegustowaną fatalnym akcentem Piotrusia.

– Wam młodym to ten śląski już w uchu nie gra – komentuje, choć dobrze wiem, że sama nigdy po śląsku nie mówiła. Dziadek prawie zawsze używał czystej polszczyzny, babcia uczyła nas niemieckiego.

Rozmowę przerywa pojawienie się kelnerek, roznoszących wazę z parującą zupą.

– Miałeś rację – mówi Przemysław. – Rosół.

Przyglądam się Przemkowi, gdy nalewa zupę na podstawiane mu przez nas talerze. To wręcz nieprawdopodobne, że jeszcze kilka lat temu nikt z nas nie wiedział o jego istnieniu. Zastanawiam się, czy to dzięki tej samej krwi, która w nas płynie, genom niedającym się oszukać, mam wrażenie, że znam Przemysława i Majkę od zawsze, że nigdy nie było tego czasu przed. Tych lat, w których nic o sobie nie wiedzieliśmy. Po modlitwie, którą inicjuje siedzący obok cioci Helenki proboszcz bielskiej parafii, do której przynależy zakon, po obiedzie i głośnym „sto lat” wyśpiewanym osiemdziesięcioletniej solenizantce, przychodzi czas na rozmowy i prezenty. Trudno było wybrać odpowiedni podarunek dla sędziwej siostry zakonnej. Długo nie mogliśmy się na nic zdecydować, w końcu przygotowaliśmy dla cioci album, do którego włożyliśmy zdjęcia dotychczas leżące w pudełku w babcinym byfyju. Są tam zarówno te czarno-białe i już mocno zniszczone, z czasów dzieciństwa i młodości Helenki, jak i te całkiem nowe, z naszego wesela, chrzcin Zosi i ostatnich wakacji na Warmii. Osiemdziesiąt lat życia zamknięte w jednej księdze.

Wiem, że ten album będzie powodem wielu wzruszeń, ale patrząc na Przemka i Majkę idących do cioci z niewielką paczuszką trzymaną w dłoniach, przez chwilę zastanawiam się, czy powinniśmy ofiarowywać staruszce aż tyle emocji. Czy to nie zaszkodzi jej zdrowiu? Czy nie powinniśmy jej raczej chronić przed wzruszeniami?

Wiem, co niesie Przemysław. Co kryje błękitny, lekko błyszczący papier owinięty białą tasiemką.

To książka. Po prawie trzech latach zbierania materiałów i pisania Przemysław w końcu wydał historię życia swoich rodziców. Książka *O kobiecie, która czekała* stanęła na półkach księgarni zaledwie kilka dni temu. Jeszcze nie wiadomo, czy odniesie sukces, jeszcze nie można znaleźć recenzji, których szukam codziennie z zapartym tchem, co najmniej tak, jakbym sama była autorką.

Może trochę jestem. Może choć odrobinę pomogłam w jej napisaniu, odkrywając przed Przemkiem historię naszej rodziny, opowiadając o czasie, który minął, o ludziach, z którymi on nie mógł się spotkać?

Tak jak od początku mówił Przemysław. To nie jest biografia, nigdzie nie padają nazwiska ani nazwy. Nam są niepotrzebne. Dobrze znamy bohaterów, choć może częściej poznajemy ich od nowa.

Czytając opowieść, którą Przemek przesłał nam jeszcze przed premierą, widziałam Józefa, dziadka Władka, babcię Zosię, nawet mamę – niemowlę niesione do chrztu, a potem kilkuletnią dziewczynkę z warkoczykami. To nic, że Przemek zmienił imiona, to nic, że oczy dziadka mają inny kolor, a włosy babci już nie są kręcone. To nic. Oni wszyscy tam są. Zamknięci w literach, w zdaniach.

Nie wiem, co musiało się dziać w sercu Przemka, gdy pisał o sobie, nieznanym ojca, i o swojej mamie, która wciąż czekała na jego powrót. Nie wiem, ile jest prawdy, a ile fantazji literackiej w części, która opisuje przyczyny wyjazdu Józefa – książkowego Jana. Nie mam pojęcia, czy nie wybielił swojego ojca, ale wierzę, że naprawdę znalazł dowody, świadczące o tym, że Józef całe życie chronił kobietę, którą kochał i syna, którego nigdy nie widział. Dlatego nie wracał.

Nie zapytam Przemysława, ile jest prawdy w jego opowieści. Nie zapytam. Chcę wierzyć.

Widzę, jak ciocia Helenka bierze ofiarowany przez Przemka prezent. Przesuwa palcami po papierze, pociąga za wstążkę, a potem przez chwilę, z nic niemówiącym wyrazem twarzy, przygląda się okładce, która ma kolor ołowiu, tak jak włosy Józefa i Władka.

Wstrzymuję oddech. Czekam.

Ciocia powoli przewraca kartki książki. Mimo odległości i gwaru toczących się wokół rozmów, mam wrażenie, że słyszę ich szelest. Słyszę też szybkie bicie serca Przemysława. On też czeka, też nie jest pewien, co zobaczy.

W końcu ciocia zamyka książkę i przytula ją do piersi.

Oddychamy z ulgą. I ja, i Przemysław.

Ciocia uśmiecha się, a ja już wiem, że ta opowieść nie złamie jej serca. Historia Józefa sprawi, że ciężar tajemnicy, którą nosiła przez kilkadziesiąt lat, nie będzie daremny.

Drogi Czytelniku,

właśnie przeczytałeś trzeci i ostatni tom opowieści o losach Zosi i Władka Zaleskich, śląskiej rodziny, której przyszło żyć na granicy dwóch krajów i dwóch światów, tego przed- i powojennego.

Los nie pyta nas, gdzie i kiedy chcemy się urodzić, historia nie pyta, czy podoba nam się moment dziejowy, w którym przyszło nam żyć. Trochę w tym zabawy, trochę loterii, ktoś trafił lepiej, ktoś gorzej. Nie mamy na to wpływu.

Zosia i Władek też nie mieli, a pewnie, gdyby ktoś ich o to zapytał, wybraliby sobie inne czasy. Takie, w których nie musieliby wciąż walczyć i wciąż czekać na lepsze jutro. Ale może właśnie dzięki temu czekaniu stali się silni, może właśnie dzięki temu przetrwali. Razem.

Zosia i Władek to nie postaci, które powstały w mojej wyobraźni. Zosia i Władek to moi dziadkowie, to ich historię opowiadają książki, które napisałam. I choć wydawać się może, że nie ma nic łatwiejszego od spisania losów rodziny, ta książka mogła nigdy nie powstać.

Dziadek mógł nigdy nie opowiadać mi bajek „o wojnie”, które z biegiem lat i mojego dorastania stawały się coraz trudniejsze i bardziej dramatyczne, babcia mogła milczeć, gdy pytałam, jak żyło się dawno, dawno temu.

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie moja mama, która jest i zawsze była moim pierwszym czytelnikiem i krytykiem, która opiekuje się wspomnieniami po zmarłych już rodzicach.

Ale to nie wszystko.

Nie byłoby tej sagi, gdyby nie siła i wiara, którą włąli we mnie bliscy mi ludzie. W samotności trudno jest uwierzyć we własne możliwości, a potem cieszyć się sukcesem albo opłakiwać porażkę. Do tego zawsze potrzebna jest rodzina, przyjaciele i wszyscy ci, którzy sięgnęli po *Rozdroża*, a potem po *W obcym domu* i *Zielony byfjy*. Właśnie dla Was powstawały kolejne części.

Nie może tutaj zabraknąć słów podziękowania dla wydawnictwa MUZA, które uwierzyło w tę śląską opowieść i we mnie. Szczególne podziękowania dla pań Małgorzaty Burakiewicz i Adrianny Michalewskiej, redakterek kolejnych części sagi oraz Katarzyny Konior, autorki okładek. Pokonałyśmy razem małe i duże problemy. Nie może tu również zabraknąć słów wdzięczności dla Ani Wasińskiej, stojącej na straży wszystkich książkowych przecinków oraz dla Jacka Dudka, dla którego język śląski nie ma tajemnic.

Ta podróż po wspomnieniach nie była łatwa. Tematy, które poruszam, budzą wiele kontrowersji. Ale piszę mimo to, a może właśnie dlatego. Bo oprócz rodzinnej sagi, chcę pokazać Śląsk taki, jakim ja go widzę. Piękny w swojej wielokulturowości i różnorodności, piękny w swoich tradycjach. Choć nie jest idealny i nie jest wolny od wad. W książkach przedstawiam Śląsk, będący moim miejscem na ziemi – wciąż nie do końca rozumianym i akceptowanym.

Opisana przeze mnie historia budzi emocje, wywołuje dyskusje, czasem niełatwe. Pytania o tożsamość narodową, o nacjonalizm, o to, co Ślązak ma w głowie i w sercu,

pojawiają się podczas spotkań autorskich. Ale oprócz pytań są też opowieści, Wasze historie i Wasze wspomnienia. I to jest chyba największy sukces tej śląskiej sagi. Jedna historia zapoczątkowała wiele innych. Niech płyną.

Sabina Waszut

[1] Bombony – cukierki.

[2] Biglować – prasować.

[3] Geburstag – urodziny.

[4] Plac – miejsce.

[5] Klachać – prowadzić rozmowy, pogaduszki.

[6] Fragment autentycznego tekstu rozsyłanego do szkół po śmierci Stalina.

[7] Garderoba – wieszak w przedpokoju.

[8] Szrank – szafa.

[9] Ancug – garnitur.

[10] Fusbal – piłka nożna.

[11] Sztrykować – robić na drutach.

[12] Karminadle – kotlety mielone.

[13] Ajlauf – zupa z lanymi kluskami.

[14] Krupniok – kaszanka.

[15] Sztamfować – ubijać (ziemniaki).

[16] Komunikat radiowy dotyczący tzw. wypadków poznańskich, wyemitowany 28 czerwca 1956 r.

[17] Józef Cyrankiewicz w przemówieniu radiowym z dnia 29 czerwca 1956 r.

[18] Krepel – pączek.

[19] Szałot – sałatka ziemniaczana.

[20] Roma – kuchenna półka na ozdobne filiżanki.

[21] Sprzezywać – zwymyślać.

- [22] Szrank – szafa.
- [23] Mantel – płaszcz.
- [24] Haderlok – szmaciarz.
- [25] Ajntopf – potrawa jednogarnkowa.
- [26] Hajer – górnik.
- [27] Fedrowanie – kopanie węgla.
- [28] Wetka – rewanż.
- [29] Szpil – gra w piłkę.
- [30] Sfalić – przegrać, zrzucić.
- [31] Gruba – kopalnia.
- [32] Cyganić – kłamać.
- [33] Ryczka – niski taboret.
- [34] Ciaplyta – błoto.
- [35] Rezolucja ZMS po wydarzeniach marcowych.
- [36] Ajnfart – podwórko.
- [37] Antryj – przedpokój.
- [38] Zołza – sos.